

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Nr 5/91

1955

---



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

**FOTOGRAFIE Z DOMU "KULTURY"**

J. MIEROSZEWSKI :

**EUROPA ZNEUTRALIZOWANA ?**

Z. ROMANOWICZOWA :

**PLACKI KARTOFLANE**

## SPIS RZECZY

—	<i>Splacamy dom</i> .....	3
—	<i>Ankieta „Kultury”</i> .....	4
Józef Łobodowski :	<i>Polemiki poetyckie</i> .....	5
Jan Brzękowski :	<i>Literatura wobec historii</i> .....	27
Andrzej Bobkowski :	<i>Z notatek modelarza</i> .....	33
Zofia Romanowiczowa :	<i>Placki kartoflane</i> .....	53



Czesław Miłosz :	<i>Dolina Issy (IV)</i> .....	61
------------------	-------------------------------	----



Bogdan Czaykowski :	<i>Wiersze</i> .....	102
---------------------	----------------------	-----

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>Europa zneutralizowana ?</i> .....	107
Londyńczyk :	<i>Kronika londyńska</i> .....	113

### PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Stanisław Zarzewski :	<i>Szyzyfowe prace Sowieców</i> .....	119
-----------------------	---------------------------------------	-----

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Kazimierz Skarżyński :	<i>Katyń i Polski Czerwony Krzyż</i> ....	127
------------------------	---	-----

### KRONIKA KULTURALNA

Zygmunt Turkiewicz :	<i>Z wystaw londyńskich</i> .....	142
----------------------	-----------------------------------	-----

### KSIĄŻKI

Jan Torosiewicz :	<i>Mowa katalogów</i> .....	145
(j) :	<i>Z krajowej prasy literackiej</i> .....	154
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	155



St. Meyer, Ks. W.A. Rojek :	<i>Listy do Redakcji</i> .....	156
-----------------------------	--------------------------------	-----



—	<i>Résumé en langue française</i> .....	159
—	<i>English Synopsis</i> .....	159
—	<i>Wybory do Skarbu Nar. w Kanadzie</i>	160



WKŁADKA — FOTOGRAFIE DOMU „KULTURY”

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Maj-Mai

1955

INSTYTUT



LITERACKI



## Noty biograficzne autorów

Zofia ROMANOWICZOWA, ur. 1922. W 1940 łączniczka Z.W.Z. Od stycznia 1941 do kwietnia 1945 więziona w Polsce (Skarżysko, Kielce, Pączów) i obozy w Niemczech (Ravensbrück, Neu-Rohlau). Po wojnie filologia języków romańskich na Sorbonie.

Bogdan CZAYKOWSKI, ur. w 1932 r. Matura polska i angielska w Polish Secondary Grammar Schol for Boys, Bottisham, (1950/51). B.A. w historii nowożytnej na University College, Dublin (1954). Obecnie commis-cook w Trocadero Restaurant, Piccadilly. Członek teatralnej Grupy Pro Arte w Londynie.

### KOMUNIKATY

Rezultaty Ankiety na temat nieodwracalności przemian krajowych zostaną omówione w lipcowym numerze „Kultury”.

Przypominamy, że termin nadsyłania prac w związku z nagrodą „Kultury” na rok 1955 upływa w dniu 31-ym października 1955.

Redakcja „Kultury” poszukuje dla swojej biblioteki kompletów następujących pism:

„Salamandra”, miesięcznik żołnierzy I. Dywizji Pancerniej;  
 „Tygodnik Polski” (wychodzący w New Yorku w czasie wojny);  
 „W Drodze” (tygodnik wychodzący w Jerozolimie w czasie wojny);

oraz książek polskich wydanych przed 1-ym września 1939 roku.

## DALSZE WPLĄTY NA DOM “KULTURY”

Marcel Gnitecki, Red Lake, Ont. (Kanada) .....	8.500 fr.
F. Jerzykiewicz-Jagemann, Hannover (Niemcy) .....	1.750 ”
Stanisław Kowalewski, Cleveland, Ohio (USA) .....	900 ”
Halina Taranek, Concord, NSW (Australia) .....	1.000 ”
Aleksander Bobkowski, Genewa (Szwajcaria) .....	1.000 ”
Jessop, Vancouver, B.C. (Kanada) .....	1.000 ”
Wszyscy członkowie Zarządu Okręgu Bawarskiego Zjednoczenia Polskich Uchodźców w Niemczech w osobach: St. Mikiciuk, W. Suchenek-Sucheki, Wł. Gołębiowski, Z. Jędrzejowski i I. Koniak .....	1.000 ”
Robert Korzun, Valencia (Wenezuela) .....	3.500 ”
Adam Paweł Góralski P., Valencia (Wenezuela) .....	17.500 ”
Wit Zbign. Poray-Lukaczyński, N. Brunswick, N.Y. (USA) .....	1.750 ”
Tadeusz Kempa, Bronte Park, Tas. (Australia) .....	2.000 ”
Prof. Jerzy Alexandrowicz, Plymouth (Anglia) .....	3.000 ”
A. Fijałkowska, Londyn (Anglia) .....	500 ”
Emmanuel Nowogródzki, New York (USA) .....	1.400 ”
Andrzej Garczyński, Brooklyn, N.Y. (USA) .....	2.000 ”
Kazimierz Kiedyk, Syrakuse, N.Y. (USA) .....	1.400 ”
Helena Kluz, Ambridge, Pa. (USA) .....	1.400 ”
Z.S. Stachowicz, Cleveland, Ohio (USA) .....	3.500 ”
Henryk Wroński, Paryż .....	5.000 ”
T. Lisiecki, Barquisimeto (Wenezuela) .....	250 ”
Dowództwo 6953 Centrum Wartowniczego w St. Jean d'Angely (Francja), zamiast życzeń świątecznych .....	3.000 ”
Składnica Książki Polskiej w Buenos Aires (Argentyna) ..	1.000 ”
Tow. Klub Polski w Buenos Aires (Argentyna) .....	1.000 ”
Rosemary Zolynski, Chicago, Ill. (USA) .....	1.750 ”
Marian Jaworski, Chicago, Illinois (USA) .....	1.750 ”
Z. H. Kuźma, Amsterdam (Holandia) .....	1.000 ”
Dr S. Malherbe, Flagstaff, East Pondoland (Afryka Pol.) ..	3.000 ”
Kazimierz i Felicja Kranc, Oshkosh, Wis. (USA) .....	3.500 ”
W. S. Rokitowski, Johannesburg (Afryka Pol.) .....	3.000 ”
A. i R. Kowarscy, Tokoroa (Nowa Zelandia) .....	2.000 ”
K. Porwoł, Hillside, High Wycombe, Bucks (W. Brytania) ..	1.000 ”
Stronictwo Ludowe „Wolność”, Okręg w Niemczech, Monachium (Niemcy) .....	2.400 ”
A.H. Cassel-Kokczyński (Haskoba, Ltd), Londyn (W. Bryt.) ..	10.000 ”
Tadeusz Wituński, Dunneville (Kanada) .....	1.000 ”
Marian Wodzianński, Dunneville (Kanada) .....	1.000 ”
Anonimowo, Montreal (Kanada) .....	8.750 ”
Jan Bober, Cardiff (Wielka Brytania) .....	1.000 ”
Tadeusz Zabłocki (Tazab, Ltd), Londyn (W. Brytania) ....	10.000 ”
A. Koch, Rio de Janeiro (Brazylia) .....	1.000 cns.



# Nowa Ankieta "Kultury" Wyprawa Kijowska

W bieżącym miesiącu minęła 35-ta rocznica wyprawy kijowskiej, podjętej przez ówczesnego Naczelnika Państwa i Komendanta Polskich Sił Zbrojnych, Józefa Piłsudskiego, w celu czynnego poparcia Ukrainy walczącej wówczas o niepodległość. Inicjatywa ta spotkała się z nieprzychylną oceną znacznej, jeśli nie większej, części opinii polskiej. Nie tylko w dniach niepowodzeń wojennych ale także w ciągu kilku lat następnych znaczna część prasy — od organów Obozu Narodowego do „Naszego Przeglądu” — uważała wyprawę kijowską za omyłkę, dyskwalifikując jej inicjatora jako polityka. W wyniku tego rozpowszechnionego mniemania, po zwycięskiej wojnie niepodległość Ukrainy znikła z programu polityki polskiej.

Lata, które minęły od tego czasu dają możliwość bardziej spokojnej oceny wypadków. Dawnym obrońcom wyprawy kijowskiej, twierdzącym że bez niepodległej Ukrainy trudno będzie zachować niepodległość Polski, przybyły zapewne nowe argumenty. Być może i krytycy jej dorzucą coś nowego.

Ankieta nasza nie ma na celu wznowienia dawnego sporu, który utracił już chyba swe dawne zabarwienie uczuciowe. Jest ona pomyślana jako próba — zarówno dla czytelników jak i dla samej redakcji „Kultury” — przemyślenia na chłodno, w większej perspektywie czasu, gwałtownej niegdyś kontrowersji politycznej i sprawdzenia w jakiej mierze historia uczy. Z tą myślą stawiamy czytelnikom dwa pytania:

1. Czy sądzi Pan (Pani) że wyprawa kijowska i jej cel polityczny były uzasadnione i dlaczego?
2. Jakie wnioski wyciąga Pan (Pani) z swej oceny tego epizodu historii?

Poza ogólnym opracowaniem wyników Ankiety redakcja zastrzega sobie możliwość przedrukowania w całości lub wyjątkach ciekawszych odpowiedzi.

Termin nadsyłania odpowiedzi: do dnia 31 lipca 1955 roku.

## Polemiki poetyckie

1.

Chociaż w sposób raczej niesystematyczny, dość dorywczy, „Kultura” zamieszcza w ostatnich latach coraz częściej artykuły na tematy poetyckie, nadające się do polemiki, a nieraz wręcz ją prowokujące. Polemik na te tematy mieliśmy w drugim dziesięcioleciu niepodległości bardzo wiele, choć rzadko wynikało z nich coś pozytywnego. W każdym razie tworzyły ferment, zawsze pożyteczny i zapładniający, gdy chodzi o środowisko artystyczne. Trudno o powtórzenie tego zjawiska w warunkach emigracyjnych. Toteż usiłowania nielicznych, pragnących sprowokować dyskusję, miały dotychczas prawie bez echa.

Przed trzema blisko laty Marian Pankowski wyrażał nadzieję, że jego „Uwagi o poezji” nie przejdą bez echa i „obudzą liczne i żywe reakcje u poetów tworzących w innych środowiskach, mających inne doświadczenie”. Reakcyj nie było ani licznych ani żywych. Ukazał się jedynie list Weintrauba, protestujący przeciw recenzji Pankowskiego o „Korcu maku” Wierzyńskiego. I tyle. Dopiero w roku ubiegłym ożywiło się pod tym względem i to właśnie na łamach „Kultury” Artykuły Jeleńskiego o Gałczyńskim i Tuwimie, esesje Miłosza o Czechowiczu i Bujnickim, znowu Pankowski, rzucający kilka luźnych uwag o wierszu nowoczesnym, dawno nie słyszany Brzękowski... A przedtem jeszcze artykuł Winczakiewicza, podjęty z radością, jak okrzyk wojenny zaprzyjaźnionego szczepu, przez samego Gombrowicza. Czyżby, ach, czyżby powracały słodkie czasy lat trzydziestych, gdy między Krakowem, Lublinem i Wilnem przelatywały awangardowe „gromy”, gdy Zawodziński ogłaszał w pierwszym numerze odrodzonego „Skamandra” swój słynny atak na awangardę pt. „Wehikuł bez kół”, a pocziwy Czernik twierdził w „Okolicy poetów”, że Polskę stać nie na sto, ale na sto tysięcy dobrych poetów! Młodzi poeci zaczęli dyskutowali i skakali sobie do gardła, zachowując natomiast



solidarność w walce z uznanymi wielkościami. Piszę: m ł o d z i, bo tak było istotnie. Przecież w okresie największego nasilenia tych dyskusyj (1935) jeden Czechowicz przekroczył trzydziestkę; Miłosz liczył sobie wiosen dwadzieścia cztery, Jerzy Zagórski dwadzieścia osiem, Czuchnowski i niżej podpisany — po dwadzieścia sześć. Na emigracji byliśmy oseskami, o których mówiono by z zachwytem: „Patrzcie, tacy młodzi, a już potrafia pisać!”

Z bardzo mieszanymi uczuciami czytałem recenzję Jana Brzękowskiego z „Siedmiu podków” Wierzyńskiego, zatytułowaną: „Echo minionej epoki”. Tytuł jest kapitalny. Istotnie, ta krytyka, napisana w roku 1954, a która mogłaby prawie bez zmian ukazać się w — powiedzmy — 1932-im, sprawia wrażenie oddalonego echa „minionej epoki”. Jest coś zadziwiającego w uporze — pisze Miłosz w tym samym numerze „Kultury” — z jakim powraca ta przeciwstawność: „Skamander”-awangarda, ile razy się dyskutuje o poezji dwudziestolecia”. Wydaje się że Brzękowski tkwi w tym „uporze”; walka awangardy krakowskiej ze „Skamandrem” i „Wiadomościami Literackimi” jest dla niego tak aktualna, jakby to się działo przed ćwierćwieczem. Bo nawet już nie w roku 1935! Brzękowski wystąpił z twierdzeniem, że to, co „skamandryci mieli do powiedzenia — wyrazili najlepiej w czasie okresu „burzy i naporu”, między 1920-1925. Zarówno Tuwim, jak Lechoń czy Wierzyński wystąpili od razu z dojrzałymi tomami. Na końcu książki Wierzyńskiego znajduje się spis jego poprzednich zbiorów obejmujących siedemnaście pozycji. Nie sądzę, by wśród nich były tomy lepsze od „Wiosny i wina” lub „Wróblu na dachu”. Wydaje mi się, że to samo dotyczy innych „skamandrytów”.

Trudno o osąd bardziej niesprawiedliwy. I nie chodzi o obrońcę poszkodowanych. Chodzi o to, że jeśli istotnie „Wiosna i wina” i „Czyhanie na Boga” stanowią szczytowe pozycje Wierzyńskiego i Tuwima, należałoby poddać nasze poglądy na poezję zasadniczej rewizji. Ktoś tu jest niemuzykalny, albo też mamy do czynienia z zapiekłą literacką wrogością. Bo można całkowicie odrzucić poetykę Tuwima i Wierzyńskiego, ale nie można nie dojrzeć olbrzymiego w jej granicach postępu. O Tuwimie mówić najłatwiej, bo stanowi już zamkniętą całość. Niechże Brzękowski zestawí pierwsze tomy tego poety z „Treścią gorzącą” i niech przeprowadzi granicę słuszności, która powinna obowiązywać nawet w recenzjach z książek przeciwników literackich.

Ze dla Brzękowskiego stare spory poetyckie zachowały swą aktualność po dziś dzień, nie trudno zrozumieć i uzasadnić psychologicznie. My wszyscy w jakimś stopniu podlegamy tyranii młodzińskich wspomnień. Jakże się stało, że w identycznym „uporze” tkwi Marian Pankowski, który w owych zamierzonych czasach był najwyższym pacholeciem? Pankowski poszukał w poetyckiej Sodomie i Gomorze i znalazł bardzo niewielu sprawiedliwych. „W obecnym stuleciu — pisze autorytatywnie —

jedynie poezja Leśmiana, Tuwima i Awangardy (Przybosia i Miłosza) wznosi się na wysokość sztuki...” Nie mam nic przeciw tego rodzaju kategorycznosci, zwłaszcza, jeśli nią grzeszy uroczo wojowniczy młodzieniec. Myśmy w tamtych czasach również układali listy proskrypcyjne i listy tych, którzy zasługiwali na wstąpienie do arki Noego. Gdy się po wyjściu z gimnazjum wkłada pierwsze w życiu cywilne ubranie i kapelusz, jakże łatwo uwierzyć, że się jest osobą najbardziej powołaną do definitywnego rozrachunku ze starszą generacją. Nie będę zaglądał Pankowskiemu do metryki, wydaje mi się jednak, że z zacytowanym zdaniem byłoby mu bardziej do twarzy lat temu dziesięć. Cóż zrobić, wszyscy się starzejemy!

Te cztery nazwiska (Leśmian, Tuwim, Przyboś, Miłosz) budzą jak najdalej idące podejrzenia. Mianowicie, zaczynamy podejrzewać krytyka o dwa grzechy śmiertelne: primo, niekonsekwencję; secundo, niedostateczną znajomość materiału. Dla czego w szczupłej gromadzie sprawiedliwych nie znalazło się miejsce dla Marii Pawlikowskiej i Józefa Czechowicza? Twórczość ich nie wznosi się na wysokość sztuki, czy też jest Pankowskiemu nieznana? Jeśli na ich pominięciu zaważyła nieznajomość ich poezji, Pankowski powinien być pokorniejszy w wydawaniu orzeczeń; jeżeli nie, tego rodzaju pominięcie świadczyłoby o braku wrażliwości poetyckiej.

Postawiłem zarzut niekonsekwencji. Ostro krytykując Wierzyńskiego za „wypowiadanie wątku anegdotycznego”, Pankowski oświadcza jednocześnie, że „Zieleń” Tuwima jest sztuką najwyższej próby”. Czy naprawdę tak trudno dostrzec, że u podstaw wspomnianego poemaciku Tuwima również tkwi anegdota, tyle że filologiczna? I co w takim razie robi wśród czterech „sprawiedliwych” Bolesław Leśmian? Przecież lwia część jego wierszy ma silnie zarysowane wątki anegdotyczne. A w ogóle: gdzie są granice tej anegdotyczności czy też anegdotyzmu? Trzeba by większej precyzji w określaniu tych spraw i zagadnień, aby dyskusja stała się możliwa i nie błąkała się po omacku. Jeśli anegdotyczność typu Wierzyńskiego ma dyskwalifikować, Leśmian, Tuwim i Miłosz natychmiast zlatują z nieba do piekła. Z wymienionej przez Pankowskiego czwórki pozostałby w Raju samotny Przyboś, a i to po odbyciu kwarantanny w czyszcju, bo i on pod tym względem nagrzeszył.

Dość już dawno ukazały się w „Kulturze” trzy wiersze Pankowskiego, tworzące coś w rodzaju poetyckiego manifestu: „Kanonierze Kostrowicki, dziś ja zatacam działo!”, „Daleko siężny zbuduj wiersz!”, „Niewątpliwie, na tle przeciętnej twórczości wierszowej te trzy poemaciki wypadły świeżo i obiecująco, ale nie mogłem nie pomyśleć o Józefie Stachowskim, doskonale zapowiadającym się poecie, który debiutował tuż przed wojną i zapewne zginął, bo nigdzie go nie widać. Najprawdopodobniej Pankowski nawet o nim nie słyszał. Po co to zestawienie? Zapewne, by przypomnieć, że zbyt jurne potrząsanie



„nowości kwiatem” dość często prowadzi z Palos de Moguer na wyspę Guanahani. A przecież karawele Kolumba już dawno trafiły do muzeum.

Pretensje „awangardzystów” do poetyki „Skamandra” i jego kontynuatorów również należałoby poddać daleko idącej rewizji. Nie to, żeby były w całości nieuzasadnione, bo każda pretensja ma zwykle jakieś ziarno prawdy. Ale nigdy jeden kierunek artystyczny nie może uzurpować sobie praw do prawdy *j e d y n e j i w y ł ą c z n e j*. W tym wypadku jest to jak najbardziej oczywiste. Wystarczy wskazać na fakt, że niejeden z piszących wyszedł poza ów stary i przedawniony spór w sposób jak najbardziej naturalny: nawiązując do tego, co u jednych i drugich było wartościowe i użyteczne. Na tym właśnie polega twórcze kontynuowanie tradycji literackich.

Wśród zasadniczych zarzutów anty-skamandryckich znalazł się dotyczący regularności zwrotki i rytmu. Widocznie Pankowski tego zarzutu nie podziela, bo nie mógłby zestawiać Miłosza z Przybosiem. Przypomnijmy zresztą, że już w roku 1936-ym Miłosza uznano za „zdrającą” awangardę, co nieco później spotkało również Jerzego Zagórskiego. Lista tych „prawdziwych awangardzystów”, ogłoszona w warszawskim „Piórze” przez Czechowicza i Frydedo, świadczyła tylko o jednym: że w poezji wszelkie katalogowanie ma wartość wielce względną. Na liście nie było Gałczyńskiego; nie mieścił się im w sztywnych okładkach. Za to znalazł się Piętak, o którym już wtedy było wiadomo, że jeśli nie przestanie drukować, stoczy się ku grafomanii. Bystry, jak zwykle, Bolesław Miciński powiedział, że „gdyby pies umiał pisać, pisałby właśnie takie wiersze”. To nie przeszkodziło, że wyznawcy surowej dyscypliny artystycznej umieścili Piętaka na liście wyróżnionych.

Inny temat, którego należy dotykać ostrożnie, to metafora. Stary Irzykowski twierdził, że awangarda ze wszystkimi swoimi wynalazkami nie umie nawet części tego, co wiedział i umiał Szekspir. Oczywiście, Irzykowski przesadził, ale miał rację o tyle, że odkrywcy Ameryki mieliśmy stanowczo zbyt wielu. Pankowski niekiedy myli metaforę barokową, a więc o trzechsetletniej prozapii z metaforą „awangardową”. Podobnie, gdy Brzękowski pisze: „skrzypiąc, wchodzi do nieba bryczka pełna czarnych księży”, przypominają się mniej wybredni uczniowie mistrza Manuela Gongory. Wiersz nosi tytuł „Odległe wspomnienia”. Istotnie, *o d l e g ł e*.

Bałwochwalstwo metafory — oto konkretne niebezpieczeństwo. Na przykładzie Przybosi nie trudno wykazać, jak świeżość i odkrywczość poszczególnych metafor same w sobie bynajmniej nie decydują o klasie poetyckiej. Jeśli rusztowanie wiersza służy za podparcie kilku metaforom, choćby najpiękniejszym, twórczość liryczna zamienia się w kolekcjonerstwo. To dlatego u autora „Wgłęb las” tyle pięknych metafor i tyle martwych poematów. Był w Krakowie taki zapoznany poeta, nazwiskiem Kaden. Imienia dobrze nie pamiętam, Adam zdaje się, wiem

tylko, że nie miał nic wspólnego z Kadenem-Bandrowskim. Otóż wydawał on szczupłe tomiki, a w nich wiersze składające się z samych metafor. Dwie, trzy, czasem sześć do ośmiu linijek, wypełnionych przez jeden obraz poetycki, przez jedną samodzielną i samowystarczającą metaforę. Kaden był przynajmniej konsekwentnym kolekcjonerem metaforycznych wynalazków. Wklejał je do albumu i nie budował całych ciągów algebraicznych, którym w nowszej poezji odczuje Mallarmé, a które tak bardzo podobają się Przybosiowi i Pankowskiemu, gdy zapuszcza się w knięję polskiej mowy na rozhukanym „Zielonym żrebcu”.

Przy okazji: trzeba by coś zrobić z wielkimi nazwiskami w poezji, które sytuują się poza jakąkolwiek teorią o metaforze. Należałoby przeprowadzić jakieś generalne porządki w domu poetyckim, które dotknęłyby np. Kochanowskiego i lwia część lirycznych wierszy Mickiewicza. Prawie całą wielką poezję rosyjską XIX stulecia. Pietrkiewicz zahaczył o tę sprawę w pracy „Metafora ruchowa w poezji Słowackiego”, ale pisząc o „obrazach poetyckich niezawsze zbudowanych na metaforach” i o „konwencjonalnych zestawieniach słownych, dających czytelnikowi przeżycie estetyczne, uwarunkowane w dużej mierze przez smak epoki”, ułatwił sobie zadanie. Zamiast cytować Tetmajera i jego „złote przymglenia”, należało raczej zabrać się do kogoś większego kalibru. Puszkina nadaje się tu, jak mało kto. Wielki poeta — a przynajmniej uważany za wielkiego — który niemal nie używa metafor! Mimo to magia jego słów, jest niewątpliwa i trwa już drugie stulecie.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości i stwierdzono to od dawna, że myślenie obrazami to *d i f f e r e n t i a s p e c i f i c a* poezji lirycznej, ale obrazowość stylu osiąga się nie tylko przez metaforę. Magia poetycka wynika z wielu związków pozalogicznych i to właśnie te impoderabilia ekspresji (według określenia Zawodzińskiego) i ich niezwykłość odgrywają niekiedy identyczną rolę co metafora. Gdyby było inaczej, musielibyśmy Kochanowskiego, częściowo Mickiewicza, Puszkina, Lermontowa uznać za zwykłych wierszorobów.

## II.

„Fundamentalną zasadą, na której budowałem swoją praktykę i teorię poetycką, była i jest *z a s a d a r y g o r u*. Dążyłem i dążę do najsurowszej dyscypliny twórczej, do selekcji treści wewnętrznej i do największej celności wyrazu; do zwartości takiej, aby nie tylko żadne słowo nie było zbędne, ale żeby jego najdalszy odbłask znaczeniowy działał w ścisłej zgodzie z odcieniami znaczeń wszystkich słów, wszystkich zdań — i wszystkich wzruszeń w poemacie. Wobec takich wymogów (niewłaściwe byłoby powiedzieć, że je sobie stawiam — wynikają one z mojej natury) ostać się mogą wzruszenia, których stłumić nie sposób, treści nieodparte już, jedyne, takie, które się nie powtarzają i które angażują całego człowieka. Abym dać wyraz, trzeba znaleźć za każdym razem na nowo nową zasadę układu, trzeba wynaleźć kształt tak niepodobny do dawniej



narysowanych, jak niepodobne jest wciąż nowe doświadczenie poetyckie. Każdy utwór ma być równaniem serca, matematycznie określoną definicją stanu lirycznego. To jest ideał, jakże rzadko — może nigdy — nieosiągalny”.

Oto credo poetyckie Przybosia. Poeta francuski Léon-Paul Fargue powiada to samo znacznie lakoniczniej: „W sztuce trzeba, aby matematyka poddała się rozkazom widm”. Dobrze, ale bardzo trzeba uważać, że środek nie stał się celem, aby matematyka nie zapanowała nad widmami. Pankowski zacytował w swoim artykule kilka odkrywczych i pięknych wierszy Przybosia. Mimo pozornej trudności, zwłaszcza dla kogoś nieoswojonego z tego rodzaju poezją, są one najzupełniej czytelne. Ale przeczytajmy uważnie taki fragment:

*Jacyś cieśle przejaśnieni na wznoszonej przez się ścianie  
— patrz! — podnoszą słup powietrza, by ustawić go pionowo  
i wygładzić, do słońca go wylśnić —  
runął w śnieg pod chmurami, wszystko — w oczach — pomylił  
i jak gdyby znów w górę niespodzianie! —*

Klucz do tego wiersza pozostał w ręce poety. Można żmudnie domyślać się o co chodzi — i tyle. Końce drutów są od siebie zbyt oddalone, iskra lirycznego wzruszenia nie przeleciała. Ktoś powie: potknięcie się, od jakiegoś nie może być wolny żaden poeta. Otóż takich potknięć się jest u Przybosia tak dużo, że mamy prawo podejrzewać, iż zawiniła sama, zbyt rygorystycznie stosowana poetyka.

Ale nie piszę tu traktatu o poezji Przybosia. Chodzi mi za ledwie o lekkie ostudzenie zachwyty Pankowskiego, na pewno bardzo jednostronnych i krzywdzących warsztat twórczy innych poetów. W recenzji o Wierzyńskim cytuje on słuszne ale niebezpieczne zdanie Mallarmé: „Wiersze pisze się przy pomocy słów, a nie przy pomocy idei”. Talmudyczne przestrzeganie tej zasady doprowadziło do całkowitej de-humanizacji, odczłowieczenia liryki samego Mallarmé, który według celnego określenia Ortegi y Gasseta — o czym już pisałem kiedy indziej — stał się twórcą samowystarczalnej „algebry metafor”. Wiersze piszą się przy pomocy słów, ale dlaczego im nie kazać, żeby wzięły się za bary z ideami? Ze trudne? Ze łatwo prowadzi do klęsk? Poeta rygoru nie powinien obawiać się trudności ani klęsk. Przyboś w swoim programowym dążeniu do oczyszczenia liryki z uczuciowości odrzucił powiązania pojęciowe, zamknął się w ciasnych migawkach obrazowych, które w najlepszym razie przyniosą jeden odosobniony stan uczuciowy. To decyduje o niedosyć i ograniczeniu tej poezji, w której części nie wychodzącej poza laboratorium. Oto jeden z powodów — może najważniejszy — dla którego wymawianie jednym tchem nazwisk Przybosia i Leśmiana, Tuwima, Miłosza musi budzić protesty, a przy najmniej daleko idące zastrzeżenia.

W polemikach poetyckich, toczących się w kraju po wojnie,

zawsze podkreślano racjonalizm Przybosia, który powinien był ułatwić mu zbliżenie się do „soc-realizmu”. Wskazywano na brak uczuciowych, po-romantycznych obciążeń, na awersję do metafizyki, na z i e m s k o ś ć nie tylko w sensie biologicznym ale i światopoglądowym. Mimo to Przybosiu było i jest trudniej niż komu innemu, włączyć się w proponowany przez reżym nurt, ponieważ „socrealizm” podporządkowany jest pewnej idei, wstecznej, nie dającej się obronić, ale zawsze i d e i. Liryka, realizowana konsekwentnie według kanonu artystycznego autora „Miejsca na ziemi”, żadnej idei udźwignąć nie jest w stanie. Nazywano Przybosia „wielkim alchemikiem, którego eksperymentów nie ograniczają żadne martwe formuły”. Niech będzie i tak. Szkoda tylko, że ten „wielki alchemik” nie potrafił zaprząć „algebry metafor” w służbę „poetyckiej astrofizyki”. Liryka Przybosia miała swój okres wielkiego powodzenia wśród piszącej młodzieży. Przelotne to były sukcesy. Czyż mogło być inaczej, zwłaszcza w czasach namiętnego głodu wielkich uczuć i wielkich idei?! Dziś bardziej niż kiedykolwiek chcemy się wywyższyć ponad rzeczywistość przy pomocy wizji, niedostępnej dla formistów typu Juliana Przybosia.

Mianując Miłosza czołowym obok Przybosia poetą awangardy, Pankowski popełnia grzech całkowitej dowolności. Jakiej awangardy, proszę pana? Nic bardziej bałamutnego i mniej sprecyzowanego. Jeśli za awangardę uważać peiperowską „Zwrotnicę” i późniejszą „Linie”, w której z poetów i teoretyków naprawdę liczyli się tylko Przyboś i Brzękowski (bo już Jalu Kurek był nieporozumieniem), to Miłoz odszedł od tej grupy zbyt daleko, by nazywanie go „awangardzistą” nie stało się zwykłą uzurpacją i nadużyciem. Jeśli zaś chodzi o „awangardę” według frazeologii z lat trzydziestych, mamy do czynienia z workiem tak obszernym, że mieścił się w nim właściwie każdy, kto urągał skamandrytom i pisał wierszem uwolnionym od rygoru strofy. Rację ma Miłoz, gdy zaznacza na marginesie swego artykułu o Czechowiczu: „Kogo zaliczyć do owej awangardy, nie wiadomo”. Co do awangardy w ścisłym znaczeniu tego słowa, sam Przyboś do artystycznego pokrewieństwa, czy nawet koleżeństwa z Tuwimem i Miłozem przyznać by się nie zechciał.

Powiedzmy też sobie od razu, że ze swego stanowiska miałby pełną rację. Funkcja metafory u Miłosza jest zupełnie inna i w ogóle cała jego natura poetycka jest, powiedziałbym, anty-przybosiowa. Pankowski nie dostrzega, jak bardzo niektóre z cytowanych przez niego przykładów nie tylko nie potwierdzają jego teorii, ale kłócą się z nią i przeciwstawiają. Podkreślając, że narracja zabija poezję, powołuje się na Piusa Servię, który przeprowadził rozróżnienie między językiem n a u k o w y m, to znaczy komunikatywnym, jednoznacznym, a l i r y c z n y m, więc wieloznaczeniowym. Otóż, rozróżnienie to nie wystarcza, gdyż nie obejmuje wszystkich stylów poetyckich, a poza tym komunikatywność i jednoznaczność wiersza bynajmniej nie prze-



sądza o jego niedostateczności lirycznej. Gdyby jednak tak było, nie należy powoływać się na Miłosza, bo od samego początku poeta ten chciał być komunikatywnym i jednoznacznym. Udowodnić to i owo na podstawie kilku linijek, wyrwanych z kontekstu, nie trudno; ciekaw byłbym obszernej recenzji, napisanej przez Pankowskiego ze „Światła dziennego” Miłosza. Musiałby ocenić tę książkę negatywnie, albo wycofać się z zajętych pozycji teoretycznych.

„Światłoienne”. Jeśli się nie mylę, ukazały się dotychczas d w i e krytyki, w tym jedna w „Kulturze”. Może zdecydował tu nagminny brak krytyków na emigracji, a może powody, których — jakby powiedział don Kichot — „nie życzę sobie zachowywać w pamięci”. „Poeta i historia” — taki jest tytuł krytycznego szkicu Jeleńskiego. Zawiera on bystre spojrzenie na jeden z aspektów pisarstwa Miłosza, ale w niewielkim tylko stopniu przybliży czytelnika do jego warsztatu poetyckiego.

Rzadko kiedy bierze się do ręki książkę tak zarazem różnorodną i nierówną, co w tym wypadku wychodzi na jedno, bo nierówność jest wynikiem różnorodności. To samo zresztą, choć w dużo mniejszym stopniu, można powiedzieć o tomie „Ocalenie”. Mało który poeta dwudziestolecia nie wkładał głowy w jarzmo poezji publicystycznej. Była to pańszczyzna dobrowolna i nacechowana szczerością, toteż wszelkie próby analogii z dniem dzisiejszym muszą chybić. Główny nurt dawniejszej poezji Miłosza przebiegał się między Scyllą katastrofizmu i Charybdą eschatologii, wyrzucając na brzeg zarówno szczerolote grudki skupionych w oszczędnym wzruszeniu liryk osobistych, jak i podłej próby kamienie diatryb publicystycznych. Miłosz zawsze starał się być poetą aktualnym, przy czym niejednokrotnie wywodził krytykę na manowce, skoro wydarzenia zewnętrzne przynosił z pierwszej strony dzienników w pozornie inny wymiar stylizacji na ostateczne i nieodwracalne. W tej metodzie każde takie wydarzenie stawało się Sfinksem, zastępującym drogę i żądającym odpowiedzi. Nie wielu dostrzeżało, że Sfinksa wyklejono z papier-mâché i że jego głos zanadto przypomina głos samego autora.

„Stąd tyle wierszy w „Świetle dziennym”, będących właściwie esejami w formie poetyckiej” — zauważa Jeleński. Z ostatniego tomu Miłosza można by wykrócić dwa, albo trzy zbiory; wówczas każdy z nich mógłby pretendować do zawartości, której „Światłoienne” nie posiada. Wiersze, zbliżające się do pojęcia „czystej liryki” towarzyszą tu bolesnemu persyflawowi, poematy, odkrywczo nachylone nad tajemnicą stawania się i zguby idą w parze z satyryczną inwektywą, konkret poetyckiej wizji przeplata się ze zwykłym pamfletem, który ma rozładować gorzkie wspomnienia i osobiste urazy uatora. Na scenie, poruszanej ręką Miłosza, jednocześnie rozbrzmiewają klasyczne chóry, słychać tupot wysokich koturnów, wdziera się szydery śmiech i świszcze różga arlekina: zbyt wielka instrumentacja wydaje

się stworzona po to, by zagłuszyć oczywistą bezradność reżysera. Kazimierz Wyka, który nawet po przyjęciu marksizmu z rąk moskiewskich Danaów nie stracił ostrości widzenia, określił istotę postawy Miłosza, jako „profetyczne nieprzystosowanie do świata”.

Słowo „bezradność” usprawiedliwione jest o tyle, że Miłosz jak gdyby z góry zrezygnował z możliwości poskromienia żywiołów. Raz po raz wypuszcza się na wzburzone ocean historii, ale gdy odcumowuje od wybrzeża, gest jego ręki jest niechętny. Dlatego to żagiel jego łodzi przechyla się jak wahadło od elegii do inwektywy, a jeśli co pozwala mu zachować równowagę osobistą i artystyczną, to chyba ów zamierzony dystans wobec spraw i rzeczy, ów wysiłony obiektywizm, zaprawiony sporą szczyptą gorzkiego sceptycyzmu.

To są luźne uwagi na marginesie głównego tematu. Na przykładzie Miłosza chciałbym przeprowadzić rehabilitację pewnych rodzajów literackich, nazbyt już poniewieranych przez kapłanów „czystego obrządku” lirycznego, do której to sekty najwidoczniej pragnie zapisać się Pankowski. Polemizowałem swego czasu z Gombrowiczem, ale muszę przyznać, że jego powiedzenie „kapłani w krótkich majtkach” dobrze pasuje do purystów i talmudystów, którzy usiłują sprowadzić poezję do alchemii słów i algebry metafor.

„Czysta” liryka? Ależ proszę! Jak najbardziej! Ale tym, którzy się nie mieszczą w niej bez reszty, pozwólcie uprawiać inne rodzaje, takie np., które nie stronią od narracji i wątków anegdotycznych, sytuują się na pograniczu poezji i prozy, należąc poszczególnymi elementami do jednej i drugiej. Tak było z „Panem Tadeuszem” i „Beniowskim”; tak jest, jeśli chodzi o poezję powojenną z drukowanym w „Kulturze” „Poematem nielocnym” Przyłuskiego i z dłuższymi utworami Miłosza, exemplum „Toast” i „Traktat moralny”. Dlaczego w literaturze współczesnej ma zabraknąć miejsca na poezję dydaktyczną, satyryczną, czy epistolarną? Chodzi tylko o to, by umieć dać tym rodzajom nowy wyraz i żeby autor był dobrze świadomy uprawianego rodzaju.

O „Strofach o malarstwie” Bronisława Przyłuskiego Pankowski napisał, że książka jest oparta „na zasadniczym nieporozumieniu”, ponieważ autor „spróbował napisać historię malarstwa... a takiej książki nikt nie potrafi napisać, gdyż poezja i historia to d w i e r ó ż n e rzeczy”. „Strofy o malarstwie” oceniam wysoko, ale nie o to chodzi. Mniejsza nawet o bardzo niezręczne sformułowanie myśli: pejzaż również jest czymś od poezji różny, a jednak podlega poetyckiemu opisowi. Rzecz w tym, że Pankowski dyskwalifikuje samo założenie, tym samym odmawiając prawa do uprawiania rodzajów pośrednich czy też „mieszanych”, w których obronie mam przyjemność wystąpić. Książka Przyłuskiego nie mogła być napisana prozą. Jest to ambitna i moim zdaniem całkowicie udana (skazy znajdują się, oczywista!) próba odrodzenia i o d n o w i e n i a poematu



opisowego. Wolno Pankowskiemu uznać ten rodzaj za podrzędny w hierarchii wartości poetyckich, ale niechże mu nie odmawia prawa bytu, bo to prowadzi jedynie doubożenia literatury. Konsekwentnie postępując, musiałyby Pankowski uznać większą część „Światła dziennego” za równie „zasadnicze nieporozumienie”.

W pogoni za czystością liryki „zgęszczonej” Pankowski zbyt często wylewa dziecko razem z brudną wodą. Kiedy indziej drobnym sprawom przypisuje wielkie znaczenie. Nieobecność łącznika dwóch członów porównania i a k ma decydować o nowocześnieści wiersza. Przewracam kartkę po przeczytaniu artykułu i trafiam na wiersze Jana Brzękowskiego. Łącznik i a k występuje siedem razy. Ich obecność niczego nie decyduje i o niczym nie przesądza. „Kiedy pierwsze wspomnienie jak szyszkę wylupuję z drzewa...” Brzękowski mógłby równie dobrze napisać: „Kiedy szyszkę pierwszego wspomnienia wylupuję z drzewa...” — i nie wiele by się zmieniło. Decyduje więc typ metafory a nie obecność owego, podobno „kompromitującego” łącznika. Baczmy uważniej, aby drzewa poszczególnych chwytów i chwytików stylistycznych nie przesłoniły nam lasu poezji. Bo w zbiorowej recenzji z ostatnich wydawnictw poetyckich „Mowa bez ziemi” natrafiłem na niepokojący passus: „W pięknej „Scenie ulicznej” poeta, wskoczywszy na chodnik po przejściu pełnej aut jezdnii, zauważa, „że tuż obok /przycumowany niewinnością/ stał wózek /a w nim niemowlę/ ukolysane wielkimi ulicy, z buzią w krainie czarów”. Użycie wyrażenia p r z y c u m o w a n y n i e w i n n o ś c i ą uderza przez swoją trafność...”

To prawda, że uderza, ale z powodów zgoła odmiennych. Spróbujmy porozumieć się, panie kolego! Uważam powyższe wyrażenie za wręcz fatalne poetycko. W zasadzie obraz metaforyczny powstaje przez zbliżenie dwóch konkretów, czegoś, co można sprawdzić zmysłami. Wprowadzanie pojęć abstrakcyjnych jest bardziej niż niebezpieczne, a coś dopiero w tym wypadku! Cumuje się okręty, grubą, ciężką liną. Ta więc c u m a, łącząca niczym pępownia wózek niemowlęcia z niewinnością, po pierwsze — nie tworzy żadnego obrazu, po drugie — wywołuje efekt raczej zabawny. To prawie jak „dziewica opancerzona niewinnością”, a od tego już niedaleko do „lilii niewinności, wyrosłej na bruku ulicy” i innych podobnych arcydzieł.

Zdarza się też Pankowskiemu wywalanie otwartych drzwi, jak w artykule „O wierszu nowocześnie”, gdy, cytując Gottfrieda Bennę, kpi z tzw. „stylu serafickiego”, to jest osiagania „pseudo-głębokich nastrojów przy pomocy chwytów grających na sentymentalności czytelnika. Wprowadzanie harf, ciszy, nocy, szmeru źródła i tym podobnych słodkości”. Już Stojński wśmiewał poetów rymujących serce z „kwiatów kobiercem”. „Skamander” zlikwidował wiele typowych dla młodopolszczyzny pseudo-poetyckich zwrotów i nastrojów; następne pokolenia prowadziły dalej to oczyszczanie ogrodu poetyckiego z chwastów udających drzewa i niezabudek podszywających się pod róże.

Ale nie w słowach rzecz. I serce i harfa, noc i cisza i szmer źródła mają pełnię praw obywatelskich. Nie ma banalnych słów, są tylko banalne ich zestawienia. Każda epoka poetycka ma skłonność do popełniania nadużyć pod tym względem. Od czasu gdy w „Linii” ukazał się wiersz Mili Elin, w którym zjawiała się „głębina ryba”, zarybiły się wiersze młodych adeptów awangardy. Pamiętam, na wieczorze Klubu „S”, urządzonym w dostojnej kamienicy Baryczków (Kott, Pietrzak, Matuszewski et tutti quanti), co chwilę jakaś ryba wypluwała na zmąconą toń metafory. Broniewski nie wytrzymał nerwowo tej rymowanej ichtiologii i pociągnął śmiejącego się Czechowicza do wyjścia: „No, to chodźmy na jednego. Pod dzwonko śledzia, albo pod minogę!” Ale i te ryby byłyby strawne, gdyby je chwytano na właściwe haczyki, gdyby je wyciągano z i n d y w i d u a l i z o n y m w i ę c i e r z e m. Najbardziej nawet zużyte słowo i wyświechtany zwrot odzyskują pierwotną świeżość w nowym, oryginalnym zestawieniu.

## III.

Parokrotnie w ciągu dotychczasowych rozważań padło określenie: „nowoczesny”, „nowoczesność”. Oto zagadnienie, nad którym warto się zastanowić. Jeśli poeta nie idzie krok w krok ze swoim wiekiem, tym samym zasługuje na miano epigona. W numerze wrześniowym „Kultury” z roku 1953-go Jan Winczakiewicz zaliczył do epigonów romantyzmu czterech poetów: Balińskiego, Lechonia, Wierzyńskiego i niżej podpisanego. Natychmiast został pochwalony przez Gombrowicza, który dodał, że ci czterej niejako ilustrują tezę marksistów o schyłkowości przedstawicieli wymierającej klasy.

Z Marksem nie należy igrzać, bo można się poparzyć. Gdyby solidnie uzbrojony w wiedzę marksistowską krytyk zabrał się do autora „Ferdydurke” i „Transatlantyku” nie zostawiłby na nim suchej nitki. Wykazałby mu i schyłkowość i reakcję i całą resztę grzechów śmiertelnych, cechujących „wroga ludu”. Umówmy się zatem, bo aż ręka śwędzi, żeby napisać o Gombrowiczu właśnie ze stanowisk marksistowskich.

„Wszyscy czterej — pisze Winczakiewicz — zapatrzeni są w przeszłość. Więcej: patrząc w przeszłość, patrzą oczami przeszłości. I więcej: spoglądając na wypadki bieżące, patrzą na nie również oczyma przeszłości. Więcej jeszcze: to zanurzenie się w przeszłości jest jeśli nie całkowicie, to w dużej mierze świadome”. Po czym zadaje niecierpliwe pytanie: Czemu... zatrzymali się w połowie drogi, gdy inni przechodzą do kontrofensywy, czemu nie towarzyszą narodowi w pracy nad rozsypywaniem problemów współczesności, czemu nie dopuszczają do swych utworów trosk ogółu o przyszłość? Odpowiedzi dawać nie potrzeba, bo ją daje sam Winczakiewicz. Świat współczesny jest antyromantyczny, nie więc dziwnego, że poeci, „hołdujący poezji romantycznej, nie znajdują do niego pomostu i tkwią w ghettie



minionej epoki, minionej umysłowości". I właśnie dlatego obecna emigracja wieszca „nie wydała i nie wyda”, bo „dostroić się do obecnej rzeczywistości mogłoby tylko poeta intelektualny”.

Sądzę, że akt oskarżenia zbudowany jest na bardzo kruchych podstawach, wynika z przesłanek kontrowersyjnych, a niekiedy wprost z grubego nieporozumienia. Jeśli romantyzm jest dziś anachronizmem, to poezja polska dzieli winę z całym narodem, który w minionej katastrofie zachował się właśnie „po romantycznemu”. Zgodzi się ze mną Winczakiewicz, że na przykład we frazeologii romantycznej prym na emigracji wiodli i wiodą nie poeci, lecz politycy i wojskowi. Tym samym oskarżenie należałoby rozszerzyć. Ale prokurator jest wielce nieścisły i operuje pojęciem „romantyzmu” w sposób zbyt dowolny. Toteż w stosunku do wielu punktów oskarżenia nie trudno wykazać całkowite alibi rzekomych winowajców. obrońca ma sytuację ułatwioną.

Zacznijmy od charakterystyki naszej epoki. „Dziś w erze einsteinowskiej, w okresie kiedy dominują zawikłane problemy społeczno-gospodarcze, kiedy między przeciwnymi obozami polityczno-ideowymi toczy się par excellence „walka na rozumy”, kiedy nagle religie traktowane są przede wszystkim jako systemy filozoficzne, dziś uczuciowy romantyzm schodzi do rzędu sentymentalizmu... Nawet miłość, domena zdawałoby się najbardziej romantyczna, wymknęła się spod władzy romantyków od czasu odkryć dr Freuda”.

Nie, w tym portrecie nie poznajemy modelu! Paradoxem naszych przełomowych i kolejnym katastrofom poddawanych czasów polega na pomieszaniu najbardziej przeciwstawnych skrajności. Jakaż tam walka na rozumy, gdy o kataklizmach dziejowych decydują irracjonalne odruchy mas, a motorem procesów politycznych stają się instynkty zbiorowe! Cóż bardziej kompromitującego nasze czasy od wielkiej i wciąż jeszcze nieukończony kariery marksizmu, doktryny wstecznej, reakcyjnej i dawno odrzuconej przez prawdziwą naukę? „Naród filozofów” dający opętać się jarmarczemu demagogowi, sam lecący w przepaść i innych pociągający za sobą w imię tak bardzo „filozoficznej” idei, jak zew krwi i ziemi. Widocznie, zanim włożył na zaznaczony łeb rogaty hełm, wykopyany spod dębów Puszczy Teutoburskiej, zapomniał wszystko, co wyczytał u Einsteina i Freuda. Nasza epoka stoi pod znakiem rozkładowego chaosu, a nie żadnej myśli koordynującej i pod tym względem jesteśmy bardziej „romantyczni” od najsłabszych i najbardziej rozwiniętych romantyków. Oskarżenie zawisa w powietrzu; trzeba by je zredagować na nowo i oprzeć na innych przestankach.

A cóż się działo i dzieje w poezji innych narodów? Gdzie są ci poeci intelektualni, jedyni według Winczakiewicza, którzy mogliby dostroić się do obecnej rzeczywistości? Jak to się stało, że do niedawna dominującym kierunkiem był surrealizm? A jakie są reakcje mas? Masy w ogóle poezji nie czytają, ani takiej ani owakiej. Idą do kina, starannie wybierają filmy działa-

jące na uczucie, a omijające wszystko, co wymaga większego wysiłku umysłowego. A gdy masowy czytelnik sięga po książkę, najbardziej mu odpowiada awantura i pasja, krew i sentyment. Oto wymowne a nieprzychylnie przyczynki do obrazu nakreślonego przez Winczakiewicza.

Wydaje się, że w dużej mierze chodzi tu o brak zgrania poezji z technicznym postępem współczesnej cywilizacji. Ma to mnie pretensję, że nie włączyłem do żadnego wiersza lokomobili i że na moich drogach poetyckich „nie ustawiono jeszcze słupów telegraficznych”. Myślę że o współczesności pisarza nie decydują akcesoria cywilizacyjne jego epoki. Aby być współczesnym, Goethe nie musiał pisać o wynalazku maszyny parowej. Słowacki wystylizował „Anhellego” na Biblię, a w swoich dramatach późnego okresu kontynuował twórczo styl barokowy i nikt na podstawie jego utworów nie domyśliłby się, że poeta żył w epoce wielkich wynalazków technicznych. Obecność tego, co bym określił jako „regionalizm czasu”, niczego nie przesądza. Wiersze współczesne dają świadectwo epoce nie dlatego, że w jednym z nich Murzyn wręcza niemieckiej dziewczynie „paczkę Cameli”, a w innym buldozer wdiera się w puszcę i wzdłuż dróg stoją „fioletowe kaplice Amoco i Esso”. Za sto lat nikt nie będzie wiedział, co to znaczy „Amoco”, i profesorowie zopatrzą wiersze w uczone przypisy. Jeśli więc „Trzy chóry do dramatu Hiroshima” Miłosza świadczą o epoce, to nie na podstawie tych akcesoriów, które już jutro mogą nabrać archaicznego posmaku. Co zostało z tych wszystkich entuzjastów „maszynizmu”, którzy czynili tyle hałasu przed trzydziestu laty?

Współczesność jest funkcją czynnego udziału w centralnym dramacie epoki. W imię czego? Tu proszę nie narzucać żadnych formułek. W imię samego siebie. Można swoją epokę akceptować, buntować się przeciw niej albo ją odrzucać, ważne jest, aby się jej powiedziało coś istotnego i własnego. Winczakiewicz zdaje się nie dostrzegać, że czterej krytykownicy przez niego poeci współczesną im epokę odrzucają z mniejszą lub większą siłą. Nie w imię przeszłości, bo wówczas sąd musiałby wypaść zdecydowanie negatywnie, ale w imię tych wartości, które im przeszłość przekaże i które pragną kontynuować. A to nie jest to samo, jak nie trudno się domyśleć.

Dam tu kapitalny przykład. Siergieja Jesienina poniosła wzburzona fala rewolucji i czuł się na jej grzbiecie znakomicie, dopóki jeszcze nie zatracił całkowicie swego na pół chłopskiego, pługaczowskiego charakteru. Później przyszła klapa. Już stawiano fundamenty przyszłych kolosów fabrycznych, a on po dawnemu opiewał uroki prymitywnej wsi (słupów telegraficznych również nie chciał dostrzegać w swoim krajobrazie), marzył o stepowej swobodzie i pod adresem parowozu, ploszącego końskie tabuny, rzucał takie inwektywy:

*Gościu sły! Ach, bodajby cię czart,  
w naszej pieśni twój rytm nie zadudni...*



Marksistowsy krytycy orzekli z czasem, że samobójczo zmarły poeta miał psychikę anarchistycznego drobno-mieszczanina i reakcyjnego chłopskiego posiadacza, zatrzasnęli wieko trumny i przywalili ją stosami komunistycznej makulatury. I cóż się stało? Znikła rizańska wieś, jaką znał i kochał Jesienin, industrializacja zasadniczo zmieniła pejzaż, nikt nie wydaje niezgranych ze współczesnością wierszy „kułackiego” poety. Ale jest on czytany, zwłaszcza przez młodzież, bardziej niż kiedykolwiek. Nie genialny Blok, nie jedyny w swoim rodzaju Gumilow, nie prorocy Wołoszyn, nie egzotyczny Balmont, nie trudny i mistyczny Pasternak, ale właśnie naiwnie sentymentalny Jesienin. Ludziom zmiążdżonym żelazną maszyną kolektywu i przemysłu, wplecionym w miarowo obracające się koło technokracji, „rozmażany sentymentalizm” Jesienina smakuje jak łyk świeżego powietrza duszącym się. W jego wierszach nie ma traktorów, o Marksie mówił, że nigdy go nie przeczyta, i mimo to, a raczej właśnie dlatego ręczne odpisy jego wierszy krążą z rąk do rąk, a młode komsomołki należą do na pół nielegalnych kółek, których celem jest rzewne szerzenie kultu tego niezgranego z epoką poety. Sądzę, że warto zastanowić się nad tym przykładem.

Ciekawe, że tłumacząc poetów hiszpańskich, Winczakiewicz najbardziej upodobał sobie Fryderyka Lorkę. To mi pachnie zdradą własnego stanowiska. Dlaczego Lorka a nie Rafael Alberti, albo Pablo Neruda? Czy Winczakiewicz nie razi, że Lorka obraca się cały czas na wsi i w małym miasteczku, a jeśli zajrzy do Sewilli, to na cygańskie przedmieście, gdzie nie ma fabryk, zaś samochód bywa rzadkim gościem? Zwiedził kiedyś Nowy Jork i nie podobało się. Wybuchnął gwałtowną inwektywą przeciw olbrzymiej metropolii. Zatem Lorka również nie jest poetą współczesnym, bo jego Cyganie jeżdżą konno, albo chodzą na piechotę. Ó istnieniu stałych linii autobusowych nic nie wiedzą. Otóż Lorka jest poetą w i e c z n y m, bo mówi o rzeczach i sprawach elementarnych: o śmierci i miłości, o nienawiści i zdradzie, o krwi i płaczu, o ziemi, winnicach i drzewach oliwnych; bo Cyganki w jego „Romancach” dyszą potem i gniewem, zrywają lśniącymi zębami goździki, czarne jak przyschnięta rana, i nic nie słyszały o psychoanalizie, a nad jego nocną Andaluzją świeci księżyc zamiast elektrycznej żarówki. Jak widać, nawet w XX wieku można zajechać w nieśmiertelność bez użycia autobusu

Na marginesie jeszcze jedna niemaloważna sprawa, którą poruszając pozornie tylko występuję we własnej obronie. Winczakiewicz napisał, że „w wierszach (Łobodowskiego) dygresje historyczne górują na ogół nad motywami chwili bieżącej, nie mówiąc już o takich utworach, jak „Kasydy i gazele”, które w całym swoim zamyśle stanowią nawrót do tradycji”. Głębokie nieporozumienie. Po pierwsze: ta „tradycja” dla p o l s k i e g o czytelnika tradycji n i e s t a n o w i, gdyż jest zjawiskiem nowym. Po drugie: „Kasydy i gazele” powstały na tle lektury poetów arabskich i studiów nad ludową poezją andaluzyjską, przy

przyjęciu założenia, że każda żywa kultura narodowa powinna dbać o najszerze stosunki z innymi kręgami kulturalnymi i przyswajać sobie ich zdobycze. Stąd doniosła rola przekładów z literatur obcych. Im więcej wiatrów z czterech stron świata przewiewa przez kulturę danego narodu, tym większe otwierają się przed nią możliwości i widnokregi. Pałace wiatry północno-afrykańskie i południowo-hiszpańskie nie docierały dotychczas do nizin nadwiślańskiej. Sądzę przeto, że „Kasydy i gazele” w jakimś tam, choćby najwęższym zakresie, choćby w minimalnym stopniu wzbogacają nasz stan posiadania, otwierają jeszcze jedno, choćby niewielkie, okienko na świat. „Powstały one nie z pasji szperacza po starych bibliotekach i archiwach, lecz z żywego zainteresowania całym wielkim zespołem kulturalnym, który, budząc się dziś do nowego życia, z natury rzeczy musi oprzeć się o jakąś tradycję. Poznanie jej ułatwia zrozumienie teraźniejszości.

Tytułem analogii: jeśli w „Złotej Hramocie” ogłądał się co krok na dawno minionych ludzi i sprawy, czynię to, aby znaleźć w nich remedium na dramatyczną teraźniejszość. Odwiedzanie cmentarzy nie zawsze ma na celu elegijne wspominki. Niekiedy rozmowa z widmami umacnia krok idącego i wytycza mu właściwy kierunek. Obawiam się, że Winczakiewicz traktuje zjawisko obcowania ze zmarłymi w sposób zbyt mechaniczny. Dla mnie nie ulega najmniejszej wątpliwości, że umarli widzą nadchodzące lata jaśniej i ostrzej niż żywi.

Ktoś mi mówił w roku 1937: „Wygląda tak, jak gdyby pan nie mógł wygramolić się z wieku XVII. Tu Gdynia, tam rozpoczyna się budowa COP-u, niedługo będziemy regulować Wisłę, a pan ugania się z mołojcami po stepie. Większość pańskich wierszy tonie w tym tatarsko-kozackim sosie aż do znudzenia...” Cóż, przyszedł rok 1939 i tatarski sos rozlał się krwawą mazią po Polsce i Ukrainie. Przypomnił się na ludzkiej skórze i o d n o w i ł wiek XVII. Poeci powracają raz po raz do przeszłości, ale należy odróżniać, w jaki sposób to czynią. Niekiedy jest to mus, bo widocznie rozrachunek z nią był niedostateczny. A bez takiego rozrachunku w sumieniu i myśli przeszłość zawsze powraca i mści się tym okrutniej, im bardziej ją zlekceważono.

Sprawa jest więc o wiele bardziej skomplikowana, niżby to wynikało ze zbyt uproszczonego i jednostronnego artykułu Winczakiewicza.

#### IV.

A teraz zagadnienie zasadniczej wagi: język poetycki. Okazuje się oto — raz jeszcze muszę zacytować Winczakiewicza — że poezja emigracyjna mówi językiem niewspółczesnym. Baliński „używa bajronowskich wyrażeń”, Lechoń w ogóle nie zna słów, które istnieją dziś, a które nie istniały pięćdziesiąt czy sto lat temu”, Wierzyński jest zanadto retoryczny, zaś „o dawności wszystkich utworów Łobodowskiego bez względu na temat



decyduje jego język. Jest to mowa przemyślnie stylizowana i często archaizowana; swą składnią, rytmem i słownictwem bliższa prozy poetyckiej Żeromskiego, niż naszej m o w y p o t o c z n e j'. Umyslnie podkreśliłem dwa ostatnie słowa, bo tu tkwi sedno rzeczy: potoczność mowy jako postulat, więcej jako s p r a w d z i a n współczesności (\*).

Tak się złożyło, że sprawę potoczności języka poetyckiego poruszył Czesław Miłosz w tym samym numerze „Kultury”, w którym ukazała się krytyka Winczakiewicza (nr 9/71, wrzesień 1953). Obszerny to temat i nie mam zamiaru pisać o nim — przynajmniej na razie — wyczerpująco. Miłosz powołuje się na T.S. Eliota z jego rozróżnieniem „common language” i literackich dialektów, i podaje Mickiewicza jako przykład najdoskonalniejszy poety „władającego mową potoczną”. Przykłady można mnożyć w nieskończoność i tylko tyle z tego nam przyjdzie, że powrócimy do starego jak świat stwierdzenia: każdy używa takiego języka i stylu, jaki mu najbardziej odpowiada. Poza tym potoczność i komunikatywność to nie są pojęcia jednoznaczne. Cóż komu przyjdzie z „common language” Eliota, jeśli jego „Ziemię jałową” może czytać swobodnie tylko erudyta i znawca poezji! Dalej powstaje zagadnienie: czy aby dążenie do potoczności nie zuboża języka i nie redukuje środków ekspresji? A wreszcie rzecz najważniejsza — intonacyjność, wewnętrzny rytm języka poetyckiego, jego pewna solennność, która nie musi koniecznie przechodzić w nadętą celebrę ani patetyczną retorykę. Czy kobieta w sukni balowej i płaszczu z nurków m u s i celebrować własną urodę? Są tacy, którzy celebrować i stąpają na koturnach nawet w źle skrojonej i pomiętej marynarce: inni sprawiają wrażenie całkowitej naturalności we frakach i szytych złotem mundurach. Tak samo i z mową poetycką, której sztuczność nie musi być funkcją braku potoczności. Jeśli język przylega do wypowiedzianych treści poetyckich, jak skóra do ciała, jeśli organicznie wtapia się w styl wiersza, żaden zarzut nie zachwieje solidnymi fundamentami utworu. Współczesność poety z natury rzeczy przejawia się w jego słowniku, ale na ten stop składa się zbyt wiele elementów, aby kwestia lingwistyczna mogła cokolwiek przesądzać. Na reakcje czytelnika nie ma się co powoływać, bo i tu czyhają liczne niespodzianki. „Nieładne” — krzywił się rozmitowany w literaturze wiejski cieśla, który sam

(\*). Myślę, że Winczakiewicz nieco przesadził; ani tak bardzo stylizowana, ani archaizowana, zwłaszcza w odniesieniu do „wszystkich utworów”. Może ta różnica zdań wynika po prostu z różnicy używanych słowników. W recenzji z mojej „Złotej Hramoty”, drukowanej w „Ostatnich Wiadomościach”, Winczakiewicz zrymował się nieco na takie regionalizmy, jak „duszehubka”, czy tytułowa „hramota”. Co to była „Złota Hramota” powinniśmy pamiętać z lekcji historii w siódmej klasie; straszliwą duszehubkę każdy znajdzie u Kraszewskiego, Czajkowskiego, Weysenhoffa, Rodziewiczówny. Gdy zacząłem drukować powieść w „Orle Białym” pytano mnie: — Co to są „komysze”? A podobno „Trylogię” co drugi Polak co wieczór czyta do poduszki...

w wielkiej tajemnicy parał się piórem. „Dlaczego nieładne?” „Bo niby wiersz, a wszystko takie zwyczajne, jak w rozmo- wie. Tak każdy potrafiłby, gdyby umiał wiersze układać”.

A cóż zrobić z rytmem i metaforą, których mowa potoczna nie zna, a jeśli, to w zupełnie innej wersji i nasileniu? No, bo konsekwentnie realizując postulat potoczności, doszlibyśmy z czasem do zanegowania i odrzucenia tego wszystkiego, co stanowi dynamiczny nerw i mięsień poetyckiego języka. Dzieje poezji powojennej w kraju stanowią wymowne pod tym względem ostrzeżenie: widzieliśmy, jak prostota prowadziła do prostactwa, a potoczność ułatwiała toczenie się ku wulgarnej grafomanii. Nie u wszystkich, naturalnie, wybitna indywidualność dysponuje licznymi środkami ratunkowymi; nie zmienia to ogólnego kierunku procesu. Nie mogę zgodzić się z Miłoszem, który w latach 1945-1948 dostrzeża „niedługi okres rozkwitu poezji”, a w latach następnych „niewątpliwy wkład... jeśli chodzi o rzemiosło wersyfikacyjne”. Ów pozorny rozkwit, to z bardzo nielicznymi wyjątkami żniwa wyrosłe z lat wojennych: „Ocalenie” Miłosza, „Serce granatu” Ważyka, „Godzina strzeżona” Jastruna, „Półki my żyjemy” i po części „Równanie serca” Przybosia, wiersze Romana Kołonieckiego, który później całkowicie zamilkł, powstały przed rokiem 1946. W „rzemiosło wersyfikacyjnym” widzę i mniejszą precyzję i większą jednostajność, niż u poetów dwudziestolecia. Do tego dochodzi lęk przed eksperymentem, nawet w takim wąskim zakresie, na jaki jeszcze stosunkowo niedawno pozwalali sobie starsi poeci rosyjscy: Pasternak, Antokolskij, Sielwinskij...

Reasumuję: żądanie, aby poezja programowo i w każdym wypadku używała mowy potocznej, jest w moim pojęciu równoznaczne z żądaniem, aby malarze kopiowali przyrodę, a muzycy naśladowali śpiew ptaków i szum wiatru. Wiejski cieśla miał rację: na to nie potrzeba być artystą, wystarczy opanować rzemiosło. Właśnie tylko tyle marksistowscy biurokraci, przed którymi już Aleksander Błok bronił prawa poety do „tajemniczej swobody”, wymagają od zastraszonych „inżynierów dusz”.

## V

Od czasu do czasu ktoś kolejny wkłada biret i togę, i sadza poezję emigracyjną na ławie oskarżonych. Najdalej pod tym względem poszedł Winczakiewicz, bo i poetów i czytelników i samego siebie wpędził w ślepią uliczkę, postawił w sytuacji bez wyjścia. Emigracja wielkiego poety nie wydała i nie wyda, bo wielkość Mickiewicza powstała na skutek całkowitego zgrania się z epoką (\*). Podobną rolę mógłby dziś odegrać poeta-inte-

(\*). Tę absolutną rzekomo synchronizację Mickiewicza i innych wielkich romantyków ze współczesną im epoką należy, oczywiście, postawić pod wielkim znakiem zapytania. Wystarczy wskazać na fakt, że pod wieloma względami rozchodzili się oni i przeciwstawiali romantyzmowi europejskiemu.



lektualista. Ale i to jest niemożliwe, bo w społeczeństwie polskim oddźwięku by nie znalazł. „...Na skutek wychowania i przyzwyczajenia uznaje wyłącznie poezję romantyczną, chociaż poezja taka nie daje mu pełnego zadowolenia”. Na tradycyjną potrawę krzywi nosem, innych potraw nie uznaje. Cóż nam więc pozostało? Wiekuista pielgrzymka między placem Alma i cmentarzem w Montmorency. Requiem polskiej poezji już zostało odśpiewane!

Pesymistycznie wypowiedział się Czesław Miłosz. „Dotknięta śmiertelną chorobą”, poezja „zamiera w kraju, dotknięta inną chorobą, zamiera na emigracji”. „Uwiad jej na emigracji stanowią wdzięczny temat dla socjologa”. „Poeci na emigracji nie panują nad światem zewnętrznym w tym sensie, w jakim panował np. Słowacki, czy Sienkiewicz...” Poezja musi być odkrywczą a przez to konieczną, a tu środowisko emigracyjne jest bierne, „żyje przyzwyczajeniami i nie potrzebuje odkrywczosci odczuwanej jako nieprzyjemna i nawet groźna”. Miłosz zastrzega się zresztą, że nie wygłasza proroctw na temat dalszych losów poezji emigracyjnej, po prostu chce pomóc poetom „w ich wysiłkach wyrwania się z pułapki”. Jednak końcowy wydzwięk jest pesymistyczny, bo „poeci wyrzuceni poza jakiegokolwiek środowisko tym samym musieliby być gigantami żeby przezwyciężyć brak konieczności słowa”. Któż jest tym gigantem, który by umknął spod ogólnego wyroku? Znów beznadziejność.

Poczekajmy chwilę z dokładnym przyjrzeniem się tej diagnozie, bo z sukcesem Winczakiewiczowi i Miłoszowi nadciąga Marian Pankowski. Poeci emigracji „zajmowali się postawą moralno-polityczną poety, a cierpiała na tym poezja. Mówiąc inaczej, poeci emigracyjni, przez nikogo nie zmuszeni, dobrowolnie podporządkowali formę i jakość wiersza aktualnej tematyce i znaleźli się w takiej sytuacji, w jaką udało się reżymowi warszawskiemu zapędzić poetów krajowych po ośmiu latach, przy użyciu dwóch wymownych środków, wysokich honorariów i terroru”.

Wynikałoby z tego, że poeci emigracyjni ugrzęźli całkowicie w zjawisku, celnie określonym niedawno przez Józefa Mackiewicza jako *p o l - r e a l i z m*. W kraju socrealizm, na emigracji — polrealizm. Przerzucam tomy wierszy i komplety czasopism. „Korzec maku” i „Siedem podków” Kazimierza Wierzyńskiego: tematyka „narodowa” (moralno-polityczna, polrealistyczna) zredukowana do minimum. Wiersze o żonie, lis węszący mroźne powietrze, jabłka Cézanne’a, pijani Argonauci w porcie sztyletują Cyganke, „Rubinstein gra w Valldemosa”, koń w nowojorskim barze... Erotyki Bronisława Przyłuskiego, „Ivy idzie na koncert”, w strofach o malarstwie ozywają cienie Leonarda, El Greca, Goyi, van Gogha. Coraz bardziej samowystarczalna metaforyka miniatur Czuchnowskiego. Tadeusz Sułkowski: „Oprócz wina i liści nic tu nie dostaliśmy, ale liście zielone, ale wino czerwone...” Liryczne notatki podróżnicze Stanisława Balińskiego, kiedy przechadza się po pokładzie angielskiego okrętu i siedzi w autobusie, jadącym do Salamanki, tym

razem już bez „wygnańczego płaszcza” i bez sztambuchu Ludwiki Sniadeckiej w czulej ręce. Niżej podpisany z katalońską „Sardaną”, andaluzyjskim „Tańcem ognia” i wiązanką „Kasyd i gazeli”... Gdzież jest ta aktualna tematyka, której terror rzekomo narzucili sobie poeci? Oczywiście, nie brakuje jej, ale już od lat zepchnięta została na drugi plan i coraz rzadziej zbliża się do proscenium. Zarzuty Pankowskiego wiszą w powietrzu, rozwiewają się po konfrontacji z rzeczywistością. Proces należy umorzyć z braku podstaw do oskarżenia.

Jedynym wybitnym poetą, który tkwi całkowicie w problematyce narodowo-politycznej, jest Miłosz, a przynajmniej wolno tak twierdzić na podstawie wierszy, drukowanych dotychczas w „Kulturze”. Zakładam, że jest to etap przejściowy, całkowicie usprawiedliwiony u kogoś, kto po wybraniu nowej sytuacji, czuł wewnętrzną potrzebę przeprowadzenia rozrachunku i podsumowania bilansu.

Podjąłbym się ułożyć obszerną i artystycznie jak najbardziej reprezentatywną antologię poezji emigracyjnej, w której nie zabrakłoby żadnego z liczących się nazwisk, całkowicie wypraną z polrealizmu. Po iluś tam latach nikt nie pozna, że powstały na emigracji. Już choćby w tym zawiera się częściowa odpowiedź na diagnozę Miłosza. Ale ponadczasowy charakter najlepszych wierszy emigracyjnych niczego jeszcze nie przesądza. Chodzi o sprawdzenie, czy poezja ta jest twórcza, czy odpowiada choćby w części definicji Miłosza nowoczesnego pojęcia tej sztuki: „eksploracja rzeczy nienazwanych”. Jeśli nie — nie ma o czym gadać — pesymiści mają rację. Ale...

Nie tu miejsce na panoramiczny przegląd poezji emigracyjnej. A i pióro bodaj nieodpowiednie, bo zbyt bezpośrednio zainteresowane. Zatrzymam się na dwóch tylko nazwiskach: Przyłuski i Sułkowski.

Przed wojną Przyłuski nie miał szczęścia. Szedł raczej samopas, potem związał się z nieciekawą grupą „Promu”, w której tylko on jeden był prawdziwą poetycką indywidualnością, objął się stale po prowincji, aż utkwil w białostockim garnizonie. Poznawali się na nim nieliczni: Czechowicz, Napierski... Podobno gdy Przyłuski, który w korespondencji ani zająknął się, że jest zawodowym wojskowym, zjawił się w domu przy Narbutta z zapowiedzianą wizytą, Napierski chciał uciekać z pokoju na widok oficera w artyleryjskim płaszczu. Przestraszył się, że zostanie spoliczkowany za jakieś nieznanne mu przewinienie, czy zniewagę w druku którejś z narodowych świętości.

Sam przyznający się do wpływu Leśmiana, autor „Obrony mgieł” stał się w pewnym sensie kontynuatorem tej bardzo specjalnej i niezmiernie trudnej do naśladowania czy podrobienia poezji. Nie Leśmiana z ostatnich lat życia, manierującego się coraz bardziej, szukającego „dziwności istnienia” w na pół baładowych historiach o nieboszczykach, planetnikach i dziwożonach, ale Leśmiana z „Sadu rozstajnego” i „Łąki”, zagubionego w zieleni, nasłuchującego głosu ziemi w „malinowym chróś-



niaku", obcującego z przyrodą w codziennym i nigdy nie powszedniejącym misterium. Przyłuski terminował u Leśmiana, ale wyzwolił się z tego terminu jeszcze przed wojną, dojrzał i okrzepł ostatecznie na emigracji. Nie ma najmniejszych podstaw do podejrzenia, że proces ten w kraju potoczyłby się innymi drogami. Nie mogę rozpisywać się szerzej, a nie chciałbym — jak niegdyś Lechoń w sporze o poezję Marii Pawlikowskiej — gwarantować Miłoszowi słowem honoru, że Przyłuski, obcując po swojemu z przyrodą, uprawia „eksplorację rzeczy nienazwanych”. Jestem przekonany, że jeśli Miłosz weźmie do ręki jego książki bez uprzedzenia i zapomniawszy na chwilę, kto je pisał (jeden ze „znienawidzonych w kraju londyńczyków”), zgodzi się z moją opinią.

Tadeusz Sułkowski. Chyba nie spotkałem się z jego nazwiskiem przed wojną. Coś mi się błąka w niejasnym wspomnieniu, ale nie mogę tego wspomnienia umiejscowić. Czy co czytałem, nie pamiętam — co naturalnie nie jest żadnym komplementem dla jego przedwojennej twórczości. Przed moim pobytem w Londynie miałem go za człowieka raczej młodego. Zdziwiłem się, gdy w czerwcu 1953 roku zapukałem do drzwi Domu Pisarzy na Finchley Road i otworzył mi pan z siwą głową. Ale mniejsza o kalendarz. Ważne, że poetyckie freski i wypukło-rzeźby Sułkowskiego nie mają nic wspólnego z żadnym emigracyjnym ghettem. Jego „Tarczę” wykuła ręka sprawna z trwałego materiału. Osłoni się nią skutecznie przeciw pociskom pesymistów, ogłaszających uwiad poezji na wygnaniu. W sąsiedztwie takiego tarczownika i samemu czuć się bezpieczniej.

Wybrałem te dwa przykłady, dwóch poetów mniej znanych, aby mnie nie posądzono, że ulegam łatwej sugestii nazwisk „uświęconych”, co łatwo nastąpić by mogło, gdybym zająknął się o Wierzyńskim czy Balińskim. Sądzę, że na razie wystarczy i tych dwóch sprawiedliwych, aby emigracyjną Sodomę i Gomerę ocalić przed deszczem gorejącej siarki. Spełniają oni zacytowany przez Miłosza postulat Jaspersa o panowaniu nad światem zewnętrznym, w tym sensie, że w warunkach narzuconych im przez przymus historyczny pozostają wierni swej wizji osobistej. To ona stanowi tarczę, mocno wbitą w ziemię — nic, że w tej chwili angielską — tarczę, odgradzającą ich od funkcji szpitalnianego pielęgnowania i zamiatacza liści na ścieżkach chudego ogródka przy „Finczlejowie”. Nie czynią przy tym hałasu i nie rozwiewają na wietrze patetycznych płaszców wygnania. Bez retoryki i bez goryczy.

Z pułapki historycznej nie ma wyjścia. Ale zawsze pozostaje możliwość zachowania się tak, jak gdyby owa pułapka w ogóle nie istniała. Mój towarzysz, z którym znalazłem się w jesieni roku 1941 w więzieniu w Figueras, zaciekle uczył się języków. Uzpełnił francuski i niemiecki, nauczył się hiszpańskiego, angielskiego, zaczął włoski. Dziś wyklada na uniwersytecie w Chartumie. Powiedziałem mu po wyjściu na wolność: „Nie siedziałeś w więzieniu; byłeś na półtorarocznym kursie obcych języków”.

Nie mogę wrócić do kraju, zgoda, siedzę w środowisku obcym, ale nie poza nim, ponieważ je poznaję i tym samym przezwycięzam. Gdy w myśli i wyobraźni spaceruję po kwietnych uliczkach Kordoby z czasów Abd-el-Rahmana Wielkiego, nie jestem emigrantem i gwizdzę na Jaltę. Ktoś powie, że to oszukiwanie samego siebie. Być może, ale jeśli to, co przyniosę z moich spacerów, oszustwem nie jest, ściany pułapki historycznej nie istnieją. Jeden jedyny liryczny wiersz może zdobyć się na taką samą moc, co trąby Jozuego, gdy oblegał Jeryho.

Podchodząc do zagadnienia z innej strony: już sam moralny osąd wytworzonej sytuacji, pod warunkiem że nie redukuje się do bezsilnego wygrażania pięścią doznanej krzywdzie, oczyszcza i wyzwala. Trzeba by więc udowodnić, że emigracyjna poezja tego trudu w ogóle nie podjęła, a nie sądzę, aby ktokolwiek potrafił tego dokonać.

Chętnie pójdę na dalszą polemikę na ten temat. Byle tylko zasadnicze rozważania i kategoryczne twierdzenia się odnieły do konkretnych realiów: nazwiskach, tekstach. Wówczas i o porozumienie nie trudno.

Józef ŁOBODOWSKI

## PREUVES

REVUE MENSUELLE LITTERAIRE ET POLITIQUE

publie dans son numéro de mai

DENIS DE ROUGEMONT : *Le château aventureux*; GEORGES VEDEL : *Capitalisme et révolution*; GEORGES GORSE : *Le chemin de Damas* (récit); JEAN RABAUD : *Robespierre et la mort*; GEORGE MIKES : *L'humour cruel de Ronald Searle*; T.R. FVVEL : *L'Angleterre : une seconde Amérique*.

Le numéro de 104 pages, dessins et hors-texte : 180 fr.

En vente partout

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8<sup>e</sup>)

C.C.P. 178-00 Paris



## Książki - Książki - Książki

A. Carrel. PODRÓŻ DO LOURDES. W oprawie .....	750 frs
W. Hugo. NEDZNICY. 2 duże tomy w oprawie .....	1.440 "
" KATEDRA MARIII PANNY W PARYŻU, 2 t.	720 "
A. Mickiewicz. LISTY, 2 tomy .....	1.200 "
J. Wiktor. ORKA NA UGORZE .....	440 "
T. Zajączkowski. ŚLAD BOSEJ NOGI. W oprawie ..	750 "
M. Winowska. SZALENIEC NIEPOKALANEJ. Oj- ciec Maksymilian Kolbe. W oprawie .....	750 "
J. Łobodowski. UCZTA ZADZUMIONYCH .....	675 "
A. Bochenek-M. Reicher. ANATOMIA CZŁOWIE- KA, Tom I. Anat. ogólna. Kości, stawy, więzadła	1.200 "
K. Ajdukiewicz. ZARYS LOGIKI .....	160 "
St. Brzóska. PRAKTYCZNE PSZCZELARSTWO ..	520 "
St. Kluźniak. MIERNICTWO BUDOWLANE .....	520 "
A. N. Ogłoblin. PORADNIK TOKARZA .....	520 "

*Warunki sprzedaży książek:* Ceny książek podane są we frankach francuskich. Przeliczenia na inne waluty należy dokonywać po kursie oficjalnym, a więc 1 dolar — fr. 350; 1 DM — fr. 80 itd. Do Niemiec, Belgii, Holandii, Szwecji, Szwajcarii, Luksemburga oraz na terenie Francji, książki wysyłamy za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze. Do innych krajów po uprzednim otrzymaniu należności za pośrednictwem poczty „international money order” lub czekiem na jakikolwiek bank, wystawionym na „Libella”. Do ogólnej sumy zamówień, należy doliczyć 15% na koszt przesyłki poleconej.

Zamówienia należy przysłać pod adresem:

**“ LIBELLA ”**

**SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ  
12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4<sup>e</sup>**

Telefon: DANton 51-09.

Metro: Sully Morland albo Pont Marie. Autobusy Nr 86 oraz 67.

*Żądajcie naszych kompletnych katalogów  
książek oraz płyt gramofonowych.*

## Literatura wobec historii

Rzeczy ważne rodzą się często w mało ważnych momentach. Nieraz nosimy się z nimi przez szereg tygodni, nawet miesięcy lub lat — aż nagle małe, na pozór nie ważne wydarzenie wyłamuje jakiś obraz z normalnego toku skojarzeń, maści ustaloną hierarchię i rzeczy zwyczajne nabierają wtedy wyjątkowej intensywności, powiększa się ich waga i opada na dno skonkretyzowana myśl, jak wykrystalizowany diament.

Przemieszczenie w przestrzeni pociąga za sobą przesunięcie w czasie. Dlatego tak często w podróży nachodzą nas nowe pomysły, nieuświadomione dotychczas myśli napastliwie domagają się wyrazu i żądają prawa obywatelstwa. Nowe relacje przestrzenne i czasowe powodują zaburzenie istniejącej hierarchii, wytwarzają nową wagę, wymierzalną w czasie. Na początku — była hierarchia. Wytwarza się ona skoro tylko przejdziemy od indywidualium do zbiorowości, od liczby pojedynczej — do liczby mnogiej. I historia jest wypełniona tylko zaburzeniami hierarchii. Każdemu przesunięciu — towarzyszy zmiana hierarchii ważności zdarzeń i ludzi.

Gdy zastanawiam się nad obecną sytuacją w dziedzinie literatury i sztuki — wydaje mi się, że należałoby tu również rozpocząć od rozważań na temat hierarchii i ważności. Są epoki, gdy poezja nabiera tak wielkiej wagi, że może zastępować chleb powszedni. Przez cały wiek XIX Mickiewicz, Matejko lub Grotger — zajmowali to miejsce w skali uczuć. W okresie dwudziestolecia nastąpiło pewne przesunięcie tej kolejności, ale po klęsce wrześniowej, w 1939-1940, poezja znów wysunęła się na pierwszy plan. Trwało to jednak krótko i w ciągu lat dziesięciu zaczął się powolny spadek, zarówno w kraju, jak na emigracji.

Aby tworzyć rzeczy wielkie i trwałe — trzeba przede wszystkim, by w hierarchii celów — cel literacki zajmował miejsce Nr 1. Jeśli tak nie jest powstają rzeczy dobre, udatne, błyskotliwe, dobrze pomyślane, ale nie zawierają one w sobie tego ziarenka wieczności, które zapewnia im życie w czasie. Punktem wyjścia wszelkiej wartościowej działalności literackiej jest bo-



wiem cel, jaki jej przyświeca. Może on być rozmaity: filozoficzny, religijny, narodowy, społeczny, lub nawet — czysto artystyczny. Konieczne jest jednak, by w okresie powstawania dzieła literackiego — miał on znaczenie zasadnicze, by stał się prawdziwym motorem ożywiającym twórcę. W początku dwudziestolecia odzyskanie niepodległości spowodowało, iż motywy narodowej działalności artystycznej — straciły na znaczeniu. Przebudowa formy literackiej, stworzenie nowych środków ekspresji — wysunęło się na pierwszy plan. Nieco później, nacisk rzeczywistości społecznej stawał się coraz bardziej mocny i w latach poprzedzających wojnę toczyła się walka o pierwszeństwo między tymi dwiema tendencjami.

Sytuacja w jakiej znajdujemy się obecnie nosi wszelkie cechy długotrwałego kryzysu. Literatura i sztuka weszły w okres przesilenia, z którego nie mogą się wywikłać. Jest to okres chwilowego ustabilizowania się pewnych metod, form i koncepcyj, ale równocześnie zdajemy sobie sprawę z tego, że nie są one zgodne z nadchodzącą epoką. Jest to także okres rozczarowania, braku wiary, „bezwierza”, załamania się dotychczasowych motorów twórczych, które obracają się w pustce. W kraju zwyciężył realizm socjalistyczny, ale nie wydał on dzieł o dłuższym oddechu. Podobne rozczarowanie budzi literatura powstała na emigracji. Jedynie wartościowe rzeczy — pochodzą od pisarzy z pokolenia które zadebiutowało przed wojną: mają one czasem wysoki ciężar gatunkowy, są może nawet lepsze, niż pierwsze książki tych autorów, ale nie tworzą nowej epoki. Jest rzeczy zadziwiająca, że ten ogromny wstrząs, jaki przeszła Polska i cały świat, wstrząs, który rozrucił Polaków po wszystkich kontynentach, który wyraził się w tak bardzo tragicznych przejściach i ofiarach — pozostawił tak mało w literaturze. Niewątpliwie, pojawiło się wiele książek, które tematycznie były związane z tym okresem, ale dotychczas nie znalazł on swego *artystycznego* wyrazu.

Epoki literackie i epoki historyczne nie zawsze rozpoczynają się w tym samym momencie. Synchronizm jest w tym wypadku raczej rzadki. Zdobyć Konstancynopola było bezspornie punktem zwrotnym, który przyczynił się do narodzin humanizmu kończąc okres średniowiecza, pseudoklasycyzm i literatura francuska XVII wieku były związane z panowaniem Ludwika XIV, ale np. Wielkiej Rewolucji, która była faktem o wyjątkowym znaczeniu historycznym i społecznym, nie tylko dla Francji, ale dla całej Europy — nie towarzyszyły, w zakresie sztuki, równie ważne zmiany. Romantyzm pojawił się o wiele później, Victor Hugo urodził się w kilkanaście lat po wybuchu rewolucji, i nie widać związku przyczynowego łączącego ten prąd z przemianami społecznymi, które zapoczątkował rok 1789. Natomiast pisarze XVIII wieku, których działalność poprzedziła tę datę, Diderot, Beaumarchais, Rousseau, Voltaire, odegrali niewątpliwą rolę w wytworzeniu się nowej umysłowości, która przyczyniła się o wiele więcej do wybuchu Rewolucji, niż poszczególne fakty

krzywdy społecznej. Encyklopedyści byli więc jej literackimi prekursorami, pisma ich przygotowały grunt i uczyniły możliwym zdobycie Bastylli, tak jak np. dzieła Marksa, Engelsa i Lenina wytworzyły pomyślne warunki do rewolucji rosyjskiej z 1917 roku. Literatura często *poprzedza* więc przemiany społeczne, rola pisarzy i inteligencji bywa czasem nawet większa, niż ta, którą odgrywa właściwy proletariatus. Nie widać również związku między np. romantyzmem a wojnami napoleońskimi lub Europą po kongresie wiedeńskim. Kierunek ten pojawił się niezależnie od wydarzeń społeczno-politycznych, jedynie na skutek wytworzenia się sprzyjających po temu warunków, będących wynikiem niezwykle skomplikowanego procesu, w którym element społeczny i polityczny odgrywał drugoplanową i pośrednią rolę. Podobnie linia rozwojowa literatury i sztuki w okresie powojennym została zapoczątkowana jeszcze przed rokiem 1914, przez nardziny futuryzmu i kubizmu, ale dopiero po wojnie nastąpiło ogólne rozszerzenie się warunków, które pozwoliły na rozkwit nowych prądów w sztuce. Rzecz charakterystyczna, *analogicznym zjawiskom literackim nie towarzyszą pokrewne tendencje społeczno-polityczne*. Futuryzm był oficjalnym kierunkiem literackim faszystowskiego, ale futurysta Majakowski był oficjalnym poetą rewolucji rosyjskiej. Z przytoczonych powyżej faktów można wysnuć następujące wnioski: 1. SYNCHRONIZM MIĘDZY ZJAWISKAMI SPOŁECZNO-POLITYCZNYMI I LITERACKIMI ICH ODPOWIEDNIKAMI JEST ZJAWISKIEM RZADKIM, A NAWET — WYJĄTKOWYM. 2. LITERATURA I PISARZE NIEJEDNOKROTNIENIE POPRZEDZALI ZJAWISKA REWOLUCYJNE PRZYGOTOWUJĄC POD NIE TEREN.

W świetle tych rozważań mniej nas będzie dziwić widoczny obecnie brak związku między zjawiskami politycznymi i literackimi. Wstrząsem, jakie spowodowała druga wojna światowa, nie towarzyszą zmiany artystyczne wyrażające nową epokę. Również w tym wypadku, nie było więc synchronizmu między wydarzeniami historycznymi, a przebudową artystyczną, i dlatego nowa epoka dotychczas nie znalazła swego własnego wyrazu. Dotyczy to nie tylko literatury polskiej, ale i literatury obcych. Okres powojenny nie przyniósł we Francji żadnej rewelacji, gdyż Sartre był bardziej zjawiskiem filozoficzno-politycznym, niż literackim, co potwierdza np. fakt, iż egzystencjalizm, w przeciwieństwie do nadrealizmu, nie miał przedłużeń w poezji i w malarstwie. Powojenna powieść angielska jest o wiele bardziej blada, niż literatura sprzed wojny, a nowy ton wniesiony przez Amerykanów (Faulkner) pochodzi jeszcze sprzed 1939 roku. Nie inaczej jest w Z.S.S.R., gdzie na ostatnich kongresach pisarzy również rozległy się głosy ubolewające nad miernością produkcji literackiej. Obecny kryzys nie jest wyłącznym przywilejem odcinka polskiego, jest on zjawiskiem powszechnym, występującym we wszystkich krajach. Specyficzną cechą odcinka polskiego jest jednak to, że miał on cięższe warunki, niż np. Fran-



cuzi lub Anglicy, gdyż suma doświadczeń i cierpień przez które przeszli Polacy była o wiele większa, *potencjalnie* istniała więc większa suma możliwości do powstania nowej literatury. Podłożem sztuki jest bowiem najczęściej cierpienie.

Jeśli tak się stało — to nie są temu winne warunki zewnętrzne. Młody pisarz debiutujący obecnie na emigracji, ma stonkowo duże możliwości drukowania swych utworów, a do niedawna jeszcze — otrzymania stypendium itp. Nie są one mniejsze, niż te, z których mogła korzystać generacja rozpoczynająca swą działalność literacką w latach 1925 lub 1930. Nie można również twierdzić, że konieczność pracy zarobkowej nie pozwoliła na napisanie tego rodzaju dzieła. Przyczyna jest niewątpliwie bardziej ogólna i znajdujemy ją także w innych literaturach świata.

Dotychczas stwierdziliśmy jedynie sam fakt istnienia tego zjawiska i jego powszechność. Nie zastanawialiśmy się nad jego przyczynami. Wiemy już, że literatura zazwyczaj nie odzwierciedla epoki, w której się rozwija, że często ją wyprzedza i powołując się odpowiednich warunków społeczno-kulturalnych wpływa na upowszechnienie tych zjawisk, które poprzednio istniały już w grupach o ograniczonym zasięgu. Literaturę obecną cechuje wyczekiwanie na pojawienie się nowych form wyrazu, które by wyprzedziły obecną epokę i ukazały drogi przyszłości.

Jeśli chodzi o odcinek polski — to niewątpliwie dużą rolę odegrał moment zawodu. Rozwój wydarzeń politycznych przyniósł tak dużą dozę rozczarowań, że wytworzył się stosunek krytyczny do wszystkich przejawów obecnej rzeczywistości, zarówno krajowej, jak emigracyjnej. Zakłamanie stało się ogólne, przybrało ono — jak powiedziała Witkacy — wprost kosmiczne rozmiary. Wszystkie wydarzenia, jakie zaszły od lat 20-tu — przyniosły tylko rozczarowania i zawody; dzisiaj, nawet najbardziej idealistyczny młodzieniec nie wytrzymałby już nowej porcji otręźwiających natrysków i dlatego stara się ich uniknąć wyrzekając się górnolotnych słów i uciekając od pięknych idei do codziennego życia. Aby stworzyć rzeczy wielkie i trwałe — trzeba jednak mieć wiarę, przeświadczenie, iż mają one wyjątkową wagę, że ich artystyczne wyrażenie zajmuje w hierarchii faktów najwyższe miejsce, że jest problemem Nr 1 naszej epoki. Dr Judym w „Ludziach Bezdomych” wyrzeka się ukochanej kobiety, aby poświęcić się walce o swe idee. Gdy byłem jeszcze uczniem gimnazjalnym razila mnie ta decyzja, wydawało mi się niezrozumiałe, że można rezygnować ze szczęścia osobistego dla „walki o kanalizację”. Żeromski jednak dobrze postawił zagadnienie, był to właśnie problem Nr 1 dla Judyma, a zarazem symbol tego prymatu — dla samego autora. Dr Judym z roku 1950 nie miałby już tego rodzaju skrupułów i bez wahania ożeniłby się z Joasią. Jakżeż nieliczni są ci, którzy zechcieliby, dziś jeszcze, twierdzić, że ofiara dla ideału i oddanie zań życia — jest ważniejsze od problemów czysto życiowych. Wielu Polaków myśli, że zamiast umierać dla rzeczy wielkich — lepiej jest żyć dla rzeczy mniej ważnych. Hierarchia problemów uległa całkow-

temu zburzeniu. Coraz więcej osób sądzi, że na odcinku moralnym — jedynie rozsądną postawą byłoby „dekowanie”, a „dekowanie się” może wydać dzielnych wojaków Szwejków, a nie — wielką literaturę.

Równocześnie problem moralny przybiera coraz to większą wagę normatywną i tego rodzaju rozwiązania są zbyt symplisytyczne. Zdajemy sobie bowiem sprawę, że najważniejszą rzeczą dla pisarza jest to, *by dzieło było zgodne z przekonaniem*, by wypływało z głębokiego przeświadczenia o jego ważności i konieczności, by było napisane z pełnym poczuciem *odpowiedzialności*. Słowo jest równie ważne jak czyn i w tej samej mierze jest się za nie odpowiedzialnym.

Pozycja „sztuki dla sztuki” jest dziś, bardziej niż kiedykolwiek, równoznaczna z obroną „Okopów św. Trójcy”. Ważność dzieła literackiego nie wydaje się wystarczająca, by usprawiedliwić odcięcie się od rzeczywistości. Moment społeczny odgrywa obecnie coraz większą rolę i nie można go pominąć, ani zapomnieć o jego istnieniu. Nasza epoka zmierza coraz bardziej do utrwalenia prymatu tego elementu, ale też zdajemy sobie sprawę, że nawracamy do średniowiecza, do dogmatyzmu i scholastyizmu, że jeśli „wolność dla wolności” jest pozycją nie do obronienia, wolność twórcza pisarza jest jednak rzeczą najcenniejszą, która dominuje nad wszystkimi innymi problemami. Wolność zaczyna stawać się coraz bardziej pojęciem Sartre'owskim, zawiera w sobie równocześnie jako antytezę — antywolność. Wolność jest coraz to mniej możliwością wyboru, a coraz więcej — faktem wynikającym ze splotu przyczyn natury historycznej, politycznej lub socjalnej. Jeśli jest ona sytuacją w której istnieje możliwość wyboru — to jednak nie od nas zależy możliwość znalezienia lub nie znalezienia się w tej sytuacji. Pragmatycznie biorąc we wszystkich prawie sytuacjach życiowych wolność ma coraz to bardziej obcięte skrzydła, lub jeśli zachowała skrzydła to — jak Nike z Samotrake — nie ma ramion. Wszelkie idealistyczne rozwiązania, w znaczeniu filozoficznym i życiowym zaczynają nabierać cech anachronizmu.

Ale obecnie problemy nie mają już tej prostolinijności, jaka cechowała je z początkiem wojny lub podczas okupacji niemieckiej. Wtedy wszystko, co było przeciw Niemcom leżało w interesie Polski i dyktowało nam linię działania. Wierzyliśmy w zwycięstwo aliantów i w wolność. Teraz problemy stały się o wiele bardziej skomplikowane, rozczarowania przez które przeszliśmy, zachęcają do ostrożności, do angażowania się z pewnymi zastrzeżeniami, do zachowania częściowej swobody decyzji. Dlatego pisarz ma skłonność do odrzucania gotowych rozwiązań, jest daleki, coraz to bardziej daleki, od dogmatyzmu. Trzeba jednak pamiętać, że rolą pisarza byłoby sięgnąć w głąb, postawić i ukazać we właściwym świetle te problemy, wobec których stoi nie tylko emigracja, ale wszystkie literatury świata. Są one tak skomplikowane, że ich jakiegokolwiek praktyczne rozwiązanie pisarz musi uznać za niezadowolające. Mogą one zawierać, jak



równania matematyczne wyższych stopni, kilka rozwiązań, niektóre z nich będą wyrażać się w liczbach urojonych, wydadzą się nawet absurdalne, ale zawsze — pogłębią one naszą wiedzę o człowieku.

Zaden pisarz polski, ani obcy — nie podjął tego zadania. Jeśli były pewne próby — to nie wybiegły one poza fazę naiwnego realizmu, nie wyszły poza rozbicie rzeczywistości na czynniki proste. Być może, iż epoka obecna nie dojrzała do tego i wydarzenia zewnętrzne są jeszcze zbyt bliskie, nie mamy wobec nich wystarczającego dystansu, zbyt głęboko tkwimy w nich, by móc je wyrazić.

Zadania tego nie wypełni prawdopodobnie jeden pisarz. Będzie to dziełem zbiorowego wysiłku. W pewnym momencie pojawi się, może nawet równocześnie w wielu krajach, kilku lub kilkunastu pisarzy, intuicja pozwoli im na wyznaczenie miejsca, gdzie należy założyć lewar, który podważy świat. W tym dniu rozpocznie się nowa epoka w literaturze. Być może, jest nawet prawdopodobne, że nie będzie ona zbieżna w czasie z nową epoką w historii.

Jan BRZEKOWSKI

## POLSKIE SŁOWO NA OBCZYŹNIE

KSIĘGARNIA POLSKA W LONDYNIE

# ORBIS

38, Knightsbridge, London S.W.1.

Nowe Książki:

DWA KSIĘŻYCE Marii Kuncewiczowej. 3-cie wydanie, str. 240, 29 ilustr. T. Terleckiego. Cena 13/—; w USA. 2 dol.

DROGA DONIKAD Józefa Mackiewicza. Tom zwiększonej objętości. Str. 384. Cena 18/—; w USA. 2 dol.

W przygotowaniu:

O ŻOŁNIERZU CIULACZU Janusza Kowalewskiego. Zbiór opowiadań. Str. 234. Cena 13/—; w USA. 2 dolary.

Na Rok Mickiewiczowski:

PAN TADEUSZ. Cena 10/—; w USA. 1.50 dol.

WSPOMNIENIA O MICKIEWICZU. Wydawnictwo artystyczne, 35 ilustracji, na papierze kredowym. Cena 8/—; w USA. \$1.25.

Ceny łącznie z przesyłką. Wszystkie książki w oprawach płóciennych i w artystycznych obwolotach.

Do nabycia we wszystkich polskich księgarniach.

We Francji: Księgarnia „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris 4<sup>e</sup>

## Z notatek modelarza

2. 6. 54.

Zamierzam wziąć udział w światowych mistrzostwach modelarskich, mających się odbyć 24-go i 25-go lipca w jednej z amerykańskich baz lotniczych na Long Island, pod Nowym Jorkiem.

Mnóstwo pracy. Zaprojektowałem mój model odbiegając zupełnie od powszechnie przyjętych kształtów w tej bardzo specjalnej kategorii i nadając kształt odrzutowca modelowi o napędzie na gumę. Dalsze rozwinięcie konstrukcji i rysunku, które wzbudziły spore zainteresowanie na zeszlórocznych mistrzostwach w Anglii. Tam latał za mnie „proxy” — zastępca; tym razem chcę skorzystać i wziąć udział w zawodach osobiście, bo do Nowego Jorku blisko — niecałe 4.000 km. Poza tym planuję otwarcie większego sklepu, wszedłszy do spółki z jednym z tutejszych przyjaciół. Mój osobisty udział w tak poważnych zawodach byłby dobrą reklamą dla nowego przedsięwzięcia nie mówiąc o własnej przyjemności. Sklep jest przewidziany jako duży i pierwszy w mieście „Hobby Shop”.

Po sześciu latach straszliwej pracy, zaczynając z niczego; wyrzekając się wszystkiego, doszedłem do punktu, w którym muszę się znowu „powiększyć”. Jeżeli tego nie zrobię ja, zrobią to za mnie inni. Zerwam owoce z drzewka, które zasadziłem i pielegnowałem cierpliwie, z zaciśniętymi zębami, przez cały ten czas od osiedlenia się tutaj. Mój kapitalik, stworzony przy pomocy uporu, oszczędności i takich poświęceń, że wydaje mi się to wszystko nieprawdopodobne gdy spoglądam wstecz, jest obecnie za mały. Wprawdzie od roku usamodzielnilem się, przestałem już być białą nędzą, wyzyskiwaną przez kolorowych (*figurez-vous, mon cher...*) i żyję już tylko z moich modeli, ale trzeba znowu skoczyć naprzód.

Wyczuwam niemal pod palcami zbliżające się niebezpieczeństwo. Jeżeli i teraz nie będę pierwszy, byle jaki sklepikarz z kapitałem, nie znajdujący się w ogóle na modelarstwie, sprowadzi du-



zo towaru; da większy wybór i usunie mnie z rynku z całym moim znanstwem, doświadczeniem i pionierską przeszłością w tej dziedzinie. Bezlitosne prawo kapitalistycznej gospodarki na wolno-konkurencyjnym rynku. Błogosławione! Gdyby nie ono, zamartwiałbym w bezruchu, w rutynie, interes wzięliby diabli, a ja miałbym pretensje do żony i do „Free Europe”, że nie pomagają intelektualności. Nie — „primum vivere”.

Specjalna kasta ci tutejsi właściciele sklepów i bogaci (*ricos*). Są leniwi i bez żadnej inicjatywy, bez wynalazczości. Bierność, a równocześnie kolorowa podstępność i przebiegłość z dodatkiem absolutnie doskonałego zmysłu naśladownictwa. Teraz już kręcą się koło mnie, nawet kłaniają się na ulicy, podpatrują, i w uśmiechach ich, gdy wyrażają obłeśnie uznanie, czai się za- wiść. Widzą nagle, że to „poszło”. Ale dostrzegają wynik i tylko wynik. Do dostrzeżenia łańcucha równań układanych w nie- ludzkim wysiłku, które doprowadziły mnie do tego skromnego wyniku, nie są zdolni. To jeszcze jeden z tych białych „extran- jeros”, który ich oszukał. Oszukał ich pracowitością i rzutkością tak, jak nas oszukiwali niegdyś Niemcy, a potem Żydzi. Gdy siedziałem w którymś z ich sklepów za nędzne sto dolarów mie- sięcznie i byłem dobrym pracownikiem, gdy dawałem się wyzy- skiwać, wszystko było w porządku. Byłem nieszkodliwy i po- trzeba. Natomiast teraz, to co innego.

Rozumiem ich i nie dziwię się im. Bezustanny kompleks niż- szości, leniwość, brak inicjatywy i przedsiębiorczości powodują zawiść i nienawiść, podsycają ślepy nacjonalizm. Stara śpiewka. W tej chwili komuniści zarabiają tu na tym na czysto. Nie tyl- ko w Guatemali. Przeżywam tu teraz na sobie w małej skali to, na co wystawieni są Amerykanie w skali światowej. Pracowici „oszuści i wyzyskiwacze”.

## 3. 6. 54.

Jak za żelazną kurtyną. Jestem ciekawy, do czego tutaj w końcu dojdzie. Radiostacja Castillo Armas, koncentrującego swe siły w Hondurasie, nadaje bardzo bojowe programy, ale jeszcze ciągle trudno mi uwierzyć, aby udało mu się coś zrobić. Krąży mnóstwo plotek, mówi się o uwolnieniu Guatemali cał- kiem poważnie. W takim razie będzie to mała wojna; będzie to o wiele gorsze niż normalna, tutejsza rewolucja.

Atmosfera jest naładowana i odbezpieczona. Amunicję re- wolwerową można już kupić tylko na czarnym rynku. Jeden z moich znajomych oferował mi dzisiaj polskiego, oryginalnego „Visa” za 70 dolarów. Serce mi się krajało, że nie miałem dosyć pieniędzy, żeby kupić to cacko. W doskonałym stanie, jak nowy. Najprawdopodobniej przywieziony tu przez jakiegoś byłe- go oficera niemieckiego. A może to już z tych nowych zapasów broni, które w maju przyplłynęły ze Szczecina?

Nie daję za wygraną. Robię dalsze starania w związku z za-

mierzonym wyjazdem. Byłem dziś w konsulacie amerykańskim wnieść podanie o wizę. Leje. Tropikalna ulewa. Bije tak w dach, że musiałem puścić radio na cały głos, żeby w ogóle było je słycać. Trzeba rozmawiać podniesionym głosem. Wszystkie koty siedzą na poręczu werandy i chłoną chłód. Chciałbym być kotem w moim domu. Tym się powodzi... Palmy bananowe przy kuchni rosną niemal w oczach. Rulony olbrzymich liści rozwi- jają się jeden po drugim, soczyste i mokre. Z resztek sałatek po- midorowych, pestek z octem wylewanych przez okno na podwór- ko, wyrosła cała plantacja pomidorów. Teraz czekam, kiedy z fu- sów kawowych zacznę kielkować kawa. Tropik zakasuje Miczu- rina.

## 5. 6. 54.

Nie ma na co chodzić do kina. Jak w jakimś satelickim kra- ju. W jednym kinie sowiecki film o Rymskim Korsakowie, w dru- gim sowieckie zdobycie Berlina, w trzecim jeszcze jakaś inna szmira sowiecka z nieuniknionymi łańcami zboża w słońcu i gzi- nami na traktorze. W innych tandeta meksykańska, argentyń- ska lub europejska. Od czterech miesięcy zamknęli dopływ fil- mów amerykańskich. I teraz jest się skazanym w najlepszym wypadku na gołe płuca Martine Carol, na ten niby „esprit” ob- racający się zawsze wokół tego samego (*coucheries et décou- cheries*), na ubożuchne bzdury w rodzaju „La Ronde”, „Caro- line Chérie”, „Adorables Créatures” i inne „Belles de Nuit”; albo na niedomyty seksualizm i soerealizm „à rebours” Wło- chów brudno-czarno-biały. Schamiałem do reszty. Lubię techni- kolor i cinemascope.

Dziś na „Salaire de la Peur”. Arcydzieło. Romain Gary opowiadał mi o tym z zachwytem. Szczytowy przykład do jak wyrafinowanej deprawacji można doprowadzić intelekt. Cały film, cała intryga wykręcone z zupełnie już suchej mózgownicy i podane zręcznie, cieniutko; wkręcające się w widza spiroche- towo razem z całym (przede wszystkim) antyamerykanizmem tej historii z nieprawdziwego zdarzenia.

Czytałem o tym zachwyty. Grand Prix Cannes. Głupota te- go filmu przekracza wszelkie granice, a poświęcenie rzeczywi- stości dla nicości, w której jedynie tępy, intelektualny antyamery- kanizm jest uchwytny, graniczy z obłąkaniem. Gdzie w środkowej Ameryce można znaleźć miejsce w dzungli, z którego dostanie się samolotem do najbliższej położonej miejscowości w świecie cy- wilizowanym kosztowałoby 100 dolarów? Bilet lotniczy z Gua- temali do Nowego Jorku kosztuje 140. Jaki koncert amerykań- ski, w tym wypadku naftowy, otwierałyby szyby naftowe bez wy- budowania uprzednio drogi albo linii kolejowej? Jedna bzdura na drugiej.

Dlaczego ci panowie, ci jaskiniowcy intelektu nie przyjadą, nie popatrzą, nie spróbują sami? Zdumiewające do jakiego stop- nia nieuczciwości i ciemnoty, przesądów i zakłamania doszliśmy



my po tej stronie, po wolnej stronie. Amerykanie. Nic na to nie poradzę, że muszę oglądać ich inaczej, niż nakazuje moda europejska i w ogóle moda „sfer oświeconych”. Nie potrafię uśmiechać się z wyższością i podrzucać intelektualnymi sloganami. Nie mówiąc o tym, że po sześciu latach wspamiętej walki o życie nie mogę już mieć nic wspólnego z tym otumaniającym onanizowaniem się społecznym „Weltschmerzem”, z tymi „chrześcijanami” bez żadnej religii i wiary, obnoszącymi „poczucie winy” po kawiarniach, ksiązkach, filmach i teatrze. Poczucie winy zawsze jednostronne: od Łaby na zachód.

Gdzie otrzymuje się prawdziwą i nędną zapłatę za strach? Dlaczego taki Clouzot, a z nim dziesiątki płaczków ekonomiczno-społecznych, nie próbują wysilić swojej szarej wyobraźni poza pewne granice? Bo branie do rąk błota po tej stronie i przetwarzanie go na gnój, fabrykowanie wytworów literackich i filmowych według zasad socrealizmu „à rebours” jest poważne, głębokie, filozoficzne; natomiast posłużenie się gnojem z tamtej strony — nie brak naprawdę dokładnych relacji — i zrobienie z tego choćby tylko błota, to byłaby amerykańska propaganda antykomunistyczna. Na każde z tych trzech słów z osobna otrzymują się te storczyki, wyhodowane w klimacie „caves” Paryża, Rzymu, Londynu czy Manhattanu i w naftalinowych oparach lewicowej ciemnoty. Ślinić się, opuszczać kąci ust, taplać się po urojonych sytuacjach, żerować na nędzy ludzkiej z lotu ptaka, nie proponując w tym nie tylko żadnego rozwiązania, ale nie dochodząc nawet do żadnego wniosku — to jest mądre, głębokie, ciekawe. Wszystko inne, to krzepa, amerykańskie chamstwo, brak finezji, zupełne niezrozumienie problemu.

Amerykański film, lodówka (byłby już naprawdę raz czas skończyć z tą lodówką, zamrażającą europejski rozsądek) lub aparat telewizyjny, to upadek kultury, triumf zmaterializowanego kapitalizmu nad człowiekiem. Sowiecka lodówka i podły samochód — a, to co innego: to budowa nowej cywilizacji, to klejnot, który oglądany na fotografii (pewne dlatego) wzbudza rozrzewnienie. To muzyka sfer. Dla wielkich wtajemniczonych, tych od znaków równania, i jedno i drugie są tym samym. Ale do tych wyżyn już nie dosięgam. Toną one w pyle gwiazdnym, w którym właściwie spędzają oni ich życia.

Ciemnota, wyrafinowana ciemnota intelektualna. Ironia i pogarda, a równocześnie stężony slogan. Niewiara i wyższość. Ale przeskocz tam. Ach, tam, w Europie, to co innego. Tam balwan Helvetius jeszcze ciągle jest mędrcom. Tam z pastucha alpejskiego czy turkiestańskiego można dowolnie zrobić Likurga lub Newtona. Bo tam jest k u l t u r a. Jaka? Jak Robespierre rozciągający na cały lud swą rzekomą nieomyślność (Francuzów udało mu się przekonać), tak oni swą elitarną kulturkę roślin inspektowych rozciągają na całe narody. Jaka kultura? Gdzie? Odmalowywanie, przygrzewanie w coraz to innym sosie wszystkim, od czego zbiera się już na mdłości. Smutni, z technicznym poczuciem winy, bez serca, nudni, wiecznie nie-

szczęśliwi. A kupże sobie jeden z drugim zegarek za dolara, to będziesz potem ciągle, co minutę szczęśliwy, że to jeszcze chodzi.

## 7. 6. 54.

Wydaje mi się, że z mojego wyjazdu do USA nic nie wyjdzie. Znosi się tu na małą Koreę. Castillo Armas przygotowuje się poważnie do obalenia obecnego rządu, o którym już nie tylko w Europie, ale nawet w pewnych kołach amerykańskich jeszcze ciągle się pisze, że jest demokratyczny. Pewnie dlatego, że cenzura szaleje, ludzie giną, więzienia są wypełnione antykomunistami, z obozu koncentracyjnego, utworzonego po raz pierwszy w historii Guatemali przez tenże rząd „demokratyczny”, dochodzą wiadomości o metodycznych okrucieństwach, o jakich w Ameryce na ogół się nie słyszało; bo do metody w okrucieństwie nigdy tu od czasów hiszpańskich nie doszło. Na ulicach pełno wydawnictw sowieckich, w kinach zapowiadają filmy polskie, czeskie i węgierskie. Czeski towar wpycha się wszędzie i w gazetach pełno olbrzymich i drogich ogłoszeń — czeskich awionetek i szyboców. Dla kogo? Typowe.

Przygotowują ustawę o wywłaszczeniu nieruchomości w obrębie miasta, o upaństwowienie handlu mięsem i inne tym podobne. Obdarowani reformą rolną Indianie sprzedali zbiór kawy z przypadających im w udziale kawałków plantacji, pieniądze w większości wypadków przepili albo przejeździli taksówkami jeżdżąc z odległych miasteczek i wiosek do stolicy po zakup elektrycznych gramofonów, żelazek, ubijaczek, wyciskaczk soków itd. choć po wsiach nie ma elektryczności, a teraz karczują plantacje kawy i sieją kukurydzę i fasolę. Postęp. Demokracja też, bo „bosi Indianie jeżdżą taksówkami” jak mi powiedział z zachwytem jeden z tych zaślinionych „demokratów”. A teraz ślini się z zachwytem nad „Le Communisme” Mascolo, który mu powiedziałem, zaopatrując to w dopiski „odchyleniowe”. Że to całe „dzieło” jest odchyleniem od zdrowego rozsądku, monstrualnym zboczeniem przegniętego intelektu, zdzieraniem plewki z g... jak mówi się po rosyjsku, to mu nie przyjdzie na myśl. Przystajemy albo i już przestaliśmy widzieć rzeczywistość; zginiemy przez abstrakcję, znieczuleni abstrakcją, jak eterem.

Rzeczywistość widzi nie Mascolo i jemu podobni — widzi ją raczej abbé Pierre i — działa. I dlatego, że działa, jest już niemal świętym. Teraz pewnie znowu plejada orchidej nakręci o nim film i napisze powieści w dziesięciu wariantach. Mam ochotę napisać opowiadanie o takim abbé Pierre z nieoczekiwanym wariantem: na końcu, po całym szale zachwyty i hysterii, okazuje się, że skromny ksiądz jest — przebrany Amerykaninem. Cóż za skandal. Jak on nas oszukał. To wszystko był ordynarny „business” w który zamieszana była na pewno jakaś firma domków prefabrykowanych.

Gdyby teraz okazało się, że Simone Weil przeszła jednak



przed śmiercią na katolicyzm, jakże nisko upadłaby w oczach wielu z tych, którzy dotąd cmokają i cmokali z zachwytu. Bo jeżeli się intelektualnie szanujesz, to nie wolno ci wierzyć, nie wolno ci praktycznie działać, wolno ci tylko mieć „poczucie winy” wpięte w butonierkę elegancko wymiętej marynarki i krygować się z okna twojego „studio”.

Świetna powieść. Nareszcie dobra, solidna powieść. Przekulem się przez 800 stron „From here to eternity” i jestem pod wrażeniem. Jak tarcica zsuwająca się z cyrkularki w leśnym tartaku. Gruba, chropowata, ale pachnąca razem z jej żywicznymi sękami. Zakrawa ta powieść na jedną z najlepszych epopi wojska, tej wstrętnej, ale koniecznej instytucji. Obawiam się jednak, że nie w oczach naszych wojskowych (jeżeli to czytali) i podobno nawet amerykański „brass” też się na to krzywił. Romans sierżanta z kapitanową — moja pani, moja pani. Do tego zawodowy sierżant inteligentniejszy od kapitana, a zwykły zupak z Kentucky chce być indywidualistą. Dobrze mu tak. Mężczące dialogi, ale doskonałe; pozornie nieociosane, ale jakże subtelne w robocie.

Wieczorem u moich amerykańskich przyjaciół. On jest sierżantem-mechanikiem w lotniczej misji w Guatemali. Virginia, jego żona, była sama i czytała „Time”, pokazując mi z oburzeniem, że cały artykuł o Guatemali w dziale „The Hemisphere” został wydarty zanim oddano egzemplarze do sprzedaży w kioskach. Wyjaśniłem jej tajniki „demokratycznej” cenzury. Mówiliśmy o sytuacji politycznej. Virginia czytała Koestlera i Orwell’a (swoją drogą do czego to doszło) toteż nie było trudności w dogadaniu się.

Siedziałem w mieszkaniu sierżanta, myślałem o tylko co skończonej powieści i od czasu do czasu spoglądałem tęsknym okiem na półkę z książkami, gdzie panoszyła się cała „Encyclopedia Britannica” z ostatnim dodatkiem włącznie. „Do rozwiązywania krzyżówek” — powiedziałem sobie w duchu, wykrzywiając się ironicznie. Po chwili nadeszli sierżant Fred i kapitan Mike, obydwa po cywilnemu, w luźnych koszulach. Fred przygotował dla wszystkich whisky i rozmawialiśmy o doskonałym filmie angielskim „The sound barrier”.

Potem dyskutowaliśmy nad regulaminem zawodów modelarskich, które chcą tutaj urządzić. Ponieważ ocena ma w tym być oparta na ilości punktów, przyznawanych każdemu zawodnikowi, muszę mieć jako sędziów Amerykanów. Tylko ich punktacja zostanie przyjęta bez sprzeciwu i podejrzeń. Miejscowi sędziowie zostaliby na pewno obici i postrzelani, bo na pewno daliby więcej punktów temu, a nie tamtemu, bo go bardziej lubią itd. Mike i Fred są bardzo przejęci swoją rolą sędziów.

Zabieramy whisky i przenosimy się do warsztatu Freda nad garaż. Szkicuję im mój model. Cała dyskusja o aerodynamicznych właściwościach różnych profilów żeberek, o numerach Reynold’a, o punktach nacisku na wklęsłą powierzchnię skrzydła. I to się potem nazywa „bawienie się samolocikami”. Z mo-

im modelem jest tylko jedna komplikacja: polityczna. Przypomina w sylwetce rosyjskiego MIGA 15. „Jak przyjedziesz z t a - k i m modelem, i to do tego z Guatemali, powołają cię na pewno przed komisję Mac Carthy’ego” — zaśmiewa się Mike.

## 9. 6. 54.

Trudności z paszportem. Okazuje się, że wszędzie jako miejsce urodzenia miałem notowane: „Wiener Neustadt — Polonia”. I nagle jakiś pedant w Ministerstwie Spraw Zagranicznych odkrył, że Wiener Neustadt nigdy nie leżało w Polsce. Dyskusja z naczelnikiem wydziału paszportowego, któremu dialektycznie staram się udowodnić, że to nie jest całkiem ściśle, bo jeżeli w tym czasie kawałek Polski należał do Austrii i np. Kraków uważany był za miasto austriackie, to równie dobrze Wiener Neustadt można uważać w tym czasie za miasto do pewnego stopnia polskie itd. Wszystko zależy od tego, w jakim czasie, a zresztą sam powinien to zrozumieć na przykładzie Belice, które dla każdego Anglika leży w British Honduras, a dla Guatemalczyka zawsze będzie należało do Guatemali. Poza tym wyjazd jest dla mnie ważny — jadę reprezentować Guatemalę na najważniejszych zawodach w tej dziedzinie. Mój model jest własnej konstrukcji, podobny do MIGA 15...

— Ach, podobny do MIGA 15? Co pan mówi, to bardzo interesujące.

Wspomnieć tylko coś rosyjskiego, od razu zmasłają się, robią się śmietankowi, mgła zasnuwa im oczy. I teraz już pyta mnie o MIGA.

— Pan się na tym zna. Prawda, że szybszy? I także zwrotniejszy? Słyszałem, że lata wyżej od amerykańskich „Sabre”, prawda?

— Wszystko prawda — mówię — ale na Korei „los gringos hicieron polvo de los MIGS”, czyli roznieśli je w pył.

— No tak, ale tam latali na nich Chińczycy. Żeby to byli Rosjanie... — i uśmiecha się porozumiewawczo. — Jakoś się to załatwi — powiada. — Ale wątpię, czy Amerykanie dadzą panu wizę. Polak, podnosi jeden palec, z Guatemali — drugi palec, i w obecnej chwili — trzeci palec. Porozumiewawcze mrugnięcie.

Wychodzę na osłoneczniony plac, przystaję w cieniu katedry, jestem w Ameryce i duszę się. Duszę się z bezsilnej wściekłości i zazdrosczę Leszkowi. Bo Leszek, porucznik armii Bieruta (nie matura, lecz chęć szczerą), uciekł z Polski w 1948 roku, przedostał się do Guatemali, ożenił się z tutejszą nauczycielką, wybielił już z nią dwoje dzieci i gospodarował teraz na kawałku ziemi z jej posagu. Wczoraj przyszedł do mnie do sklepu pożegnać się. „Gdzie pan wyjeżdża?” — pytam. „Do Castillo Armas bić tych sk... Żebyś pan siedział na wsi, tobyś pan dopiero widział, co się tu naprawdę dzieje”. Ciężką pracą doro-



bił się małego traktora. Teraz mu go chcą odebrać tworząc gminne stacje traktorów. Tym razem wygląda to na dobrze zorganizowane przedsięwzięcie. Leszek dostał mapę z punktami przejścia, dokładne wskazówki na drogę i kontakty. W wyprawie Castillo Armas zaangażowana jest olbrzymia ilość ludzi wewnątrz kraju. Pracują kobiety i młodzież, bogaci i biedni. Wszystko razem nazywa się potem „interwencja amerykańska”.

Przywiązałem się do nich i do ich kraju. Nie czuję się obco, nie czuję się przedzielony na „my” i „wy”. Są okazami ludzi wolnych w tym zbaraniałym świecie. Gdy kiedyś, już dawno, w czymś na kształt ogonka do kasy pod kinem zwróciłem uwagę jakimś „caballero”, że powinien stanąć na końcu, a nie wypychać się na nieswoje miejsce, stanął, spojrzął na mnie z nieopisaną pogardą i niemal spluwał przy każdym słowie:

— Senor — no t e n g o g a n a s, comprende usted?

Nie miał „ochoty” jeździ „gana” jest w ogóle przetłumaczalne. Oburzyłem się, ale w następnej chwili miałem „ganas” wiwatować na jego cześć. Ma rację. Stanie w ogonku jest wstrętne, a karne stanie w ogonku jest ohydłą oznaką upadku, niewolnictwa, rezygnacji ze wszystkiego, co człowiekowi najdroższe. Ameryka łaćńska nie chce stać karnie w ogonku, nie chce być karna i nie ma „ganas” być zdyscyplinowaną. Zmienia swoje rządy i swoich polityków tak, jak wszyscy politycy na całym świecie zasługiwali, ażeby ich zmieniano: po męsku, z pistoletem w ręce. Polityka jest tu ryzykiem, grą, w której prawie zawsze naraża się życie. Tu przetrwały i jeszcze nie zostały do reszty zabite płodne bakterie anarchizmu, indywidualizmu, wyniosłego „no tengo ganas”. Powinni to zachować, bo może właśnie tym mogą w tym naszym świecie ocalić bardzo wiele. Gdy z nimi rozmawiam, mówię im zawsze: Bądźcie sobą, starajcie się pozbyć przekłętego kompleksu niższości, nie przejmujcie się, gdy się śmieją z waszych rewolucyj. Pamiętajcie, że dziś miliony ludzi zazdroszczą wam; że coraz to trudniej dać wyraz uczuciu, kiedy „ma się dość”, bo dziś milionom ludzi już nawet głosożno zakląć nie wolno. Bądźcie natchnieniem buntu.

W całej Guatemali ciśnienie wzrasta. Panuje trudne do ukrycia, radosne oczekiwanie. Będzie awantura. Tym razem naprawdę poważna.

11. 6. 54

Jeden z moich klientów przyszedł dziś do sklepu i powiedział mi z tajemniczą miną, że ma okazję — „ganga”. „Tanie i świeże” — powiada mrugając. Wychodzę z nim za przepierzenie. Wyciąga cztery granaty ręczne: 5 dolarów sztuka, albo mu dam motor do jego modelu za 18 dol. Przesolił. Można dostać po 3 dol. — i nie zawieramy żadnego „trato” czyli transakcji.

Ktoś kupuje radio i obsługująca panienska próbuje je, nastawiając na jedną z rządowych stacyj. Nagle zgrzyty i po chwili mocny głos: „Tu stacja wolnej Guatemali. Bóg, Ojczy-

na, Wolność”. Przemówienie soczyste, orzeźwiająca. Potem znowu miesza się stacja rządowa. Radość. Paniencie sklepowej błyszczą oczy, bo ona też jest w organizacji i jest przekonana, że tym razem uda się. Przypominają mi się dni przed uwolnieniem Paryża.

Okazuje się, że modelarstwo lotnicze też może zagrażać państwu. W bardzo ładnie zrobionym wydawnictwie o drugich międzynarodowych (oczywiście tylko satelickich) zawodach modelarskich, które odbyły się w Polsce we wrześniu 1951 roku jest taki ustęp we wstępie: „Jakże inne są cele modelarstwa państw kapitalistycznych od celu, jaki przyświeca modelarstwu Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej. W jakże odmiennej atmosferze u nas i u nich odbywają się zawody małego lotnictwa. Tam, u nich — zabawy w zautomatyzowane rzucanie bomb z modelu odrzutowca na model plastyczny otwartego miasta, tu u nas — planowe zdobywanie podstaw wiedzy lotniczej, sport przyszłych pilotów i konstruktorów dużego lotnictwa służącego sprawie pokoju”. Prawdopodobnie tutejsza policja ma te same przekonanie.

Koło dwunastej przyszła do mnie żona kapitana C., wystraszona i zdenerwowana. C. nie może wrócić do domu i musi się ukrywać. Na szczęście gdy przyszli nie było go w domu. Co takiego? C. robił wielki model, kierowany radiem. Pomagałem mu, bo model wielki — 9 stóp rozpiętości skrzydła, skomplikowany. Dziś rano przyszła policja, rozbebeszyli cały model, poniszczyli aparaty odbiorcze, bo mieli wiadomość, że C. robi ten model aby umieścić w nim 10-ciofuntową bombę i zabić nim Arbenza. Nie mogłem się śmiać przy uroczej, załęknionej kobiecie. Wyszedłem, wyśmiałem się, i potem już poważnie rozważaliśmy, co C. powinien teraz zrobić. Najlepiej niech szuka azylu w którejś z ambasad. I mówią, że te modele, to zabawki.

14. 6. 54.

Zaczęło się. Poszedłem do prefektury policji po odbiór zaświadczenia „de buena conducta”, które mi jest potrzebne do paszportu. Wszystko zamknięte. Budynek obstawiony policją z rozpylaczami, nikogo nie wpuszczają. Wracam do sklepu. Cały personel przy radiu. O 7-ej rano nieznanne samoloty ostrzelały i podpaliły zbiorniki z benzyną w Puerto San José i w Rethaluleu. Stan obłędzenia. Na całym terytorium kraju obowiązuje od dziś racjonowanie benzyny. Komunikaty, potem marsz wojskowy Prokofiewa, znowu komunikaty w stylu „silni, zvarci, gotowi” i marsz Prokofiewa, na odmianę pomarańczową. Od dwóch lat radia rządowe nadają niemal wyłącznie muzykę rosyjską. W kółko Czajkowskij, Rimskij Korsakow, Borodin(uf), Musorgskij, Prokofiew i Kaczaturian i Szostakowicz. Można mdłości dostać. Mam już na całe życie dosyć rosyjskiej muzyki.

Wojna. Weszli już, czy nie? Nie wiemy. Podniecenie. Ni-



komu nie chce się pracować. Wychodzę na ulicę. I tu wyczuwa się świąteczny nastrój. Idę kupić trochę jedzenia na zapas, bo może przez kilka dni nie będzie można wychodzić z domu. W wędliniarni pełno ludzi, wszyscy kupują konserwy, ożywienie jak przed Bożym Narodzeniem. Komentarze, uśmiechy. Wracam do sklepu. Tam już grupa „moich” chłopców. Wniebowzięci. Rozpuścili ich ze szkół do domów, wakacje. Aż mi zazdrość. Za to ruch w interesie. Też kupują na zapas. Julio ma jechać ze mną do USA i brać udział w zawodach, w kategorii modeli z motorkiem. Rysuję mu szybko projekt w skali, wybieramy drzewo, daję mu motor i tłumaczę, jak ma go dotrzeć. Gwar, zamieszanie.

Mówią mi, że Benjamin, którego poznałem kilka lat temu gdy był 13letnim chłopczykiem, uciekł cztery dni temu do Castillo Armas. Ricardo, młody fotograf i jeszcze w dziewięciu dzieciętych Indianin, uśmiecha się złośliwie i jest przekonany, że rząd da sobie radę i tym razem. „A jak się zacznie naprawdę, to lepiej niech pan nie wychodzi na ulicę” — powiada z jadowitym uśmiechem. „Dlaczego”? — pytam. „Bo będą strzelać do wszystkich blondynów” — śmieje się; udaje żarty, ale pod śmiechem kryje się źle maskowana przyjemność, że może mnie nastraszyć moim kolorem włosów.

Komunizm w krajach, w których kolor skóry nie jest biały albo miesza się tylko z białym jak tu, rozpoczął dziś grę na nienawiści rasowej i wsunawszy ją zrećnię w swój klasyczny repertuar, wygrywa na niej najsilniej. Nienawiść do białego wsączana jest w sposób niemal niedostrzegalny ale metodycznie. Pod powierzchnią oficjalnej taktyki komunistów wyczuwa się już najdokładniej przemyślaną taktykę rasizmu kolorowego. Komuniści mają w nim sprzymierzeńca, który w tych krajach jest bodaj że silniejszy od wszystkich argumentów gospodarczo-społecznych. Posługują się nim na każdym kroku wyzwalając z pęt kompleksu „niedobielenia” miliony ludzi. Czekoladowy tubylec (szczególniej nie analfabeta) doszukujący się dotąd z dumą wszystkich białych domieszek od chwili wejścia Hiszpanów i pętany równocześnie ciągłym strachem, że jakiś biały lub — co gorsze — o jeden odcień bielszy od niego chłaśnie mu nagle w twarz obelżywe „tu Indio desgraciado”, czuje się nagle wolny. Nie tylko wolny; czuje się teraz tym bardziej dumny, czym jest ciemniejszy. Tej dumy uczą go komuniści na każdym kroku.

Jest to taktyka doskonale przemyślanej prowokacji wobec białego, wobec budowniczego całej cywilizacji zachodniej. Moskwa doskonale wie, że w obecnej sytuacji może niemal w mgnieniu oka rozbić tę cywilizację, gdyby udało się jej przesunąć akcent z konfliktu ideologicznego i rozpętać wojnę rasową. Rozbudzając rasizm i kolorowe nacjonalizmy, stara się rozbudzić rasistowską reakcję po naszej stronie. Jeżeli nie wytrzymamy nerwowo, możemy łatwo zginąć.

Toynbee ma rację. Jest to zresztą jedno jedyne spostrzeżenie, które nie jest wyślizgiwaniem się w całym tym mocnym

jak lemoniada zbiorze esejów „Civilization on trial”. Goncourtowie mówią raz o „Candide” Voltaire’a, określili to jako „Rabelais wymiszkwany, La Fontaine prozą”. Toynbee to Spengler wymiszkwany, Le Bon, Frobenius i Keyserling dla grzecznych dzieci. Chwyć wszędzie, bo jest z gatunku tych środków przecyszczających, które działają łagodnie nie przerywając snu. Jajogłowcy zachodni nie są w stanie przekonać niczego gwałtowniejszego.

Myślę o tym, gdy Ricardo z kolorowym zadowoleniem wyszeptuje wiadomości z tzw. pewnych źródeł: „Jeżeli Castillo Armas miałby wygrać, to żaden Amerykanin nie wyjdzie stąd żywy”. Amerykanin to „pars pro toto” w tej szerokości. Każdy biały jest tu właściwie „gringo”. Patrzę mu spokojnie w oczy: „Nie boję się. Wiesz dobrze, że nie uważam się za nic lepszego od ciebie i mało mnie to obchodzi”. I wtedy najwyraźniej widzę w jego oczach przygaśnięcie płomyka, jakby rozczarowanie. Nie skoczyłem, wytrzymałem. Od tego bardzo wiele zależy.

17. 6. 54.

Nastrój wojenny. Cenzura gazet, wszystkie ściany domów wzdłuż ulic oblepione bardzo patriotycznymi i bardzo komunistycznymi afiszami. Nic się nie wie. Ogólne podniecenie, nikomu nie chce się pracować. Sklepy otwierają, ale stalowych żaluzji w oknach wystawowych nikt nie podnosi. Wszystkie prywatne stacje radiowe otrzymały rozkaz retransmitowania jednolitego programu stacji rządowej. W radio, pomiędzy jednym marszem Prokofiewa a drugim, powołują członków syndykatów i partyj politycznych na zebrania, szefowie komunistycznych „piątek” zwołują podwładnych przy pomocy szyfrowanych haseł, odczytują telegramy z prowincji, przysyłane przez różne organizacje komunistyczne. Wszystko w jednakowym tonie, w jednakowym żargonie. Rozpracowali cały kraj doskonale.

Koło południa krzyki i warkot samolotów. Ludzie wybierają na ulicę. Z daleka dolatuje brzęk nurkujących maszyn i trzopot karabinów maszynowych. Zamykają sklepy, autobusy pędzą do remiz, w jednej chwili całe życie zamiera. Wracam do domu.

Popołudniu ulewa, punktualna ulewa pory deszczowej. Koło 5-ej przejaśnia się i tylko nad górami kłębią się chmury. Odległe brzęczenie motorów. Wychodzę na werandę i po chwili przelatują nisko nad domem dwa Thunderbolty. Oblatują łukiem miasto. Bezladna strzelanina, seria karabinów maszynowych obrony przeciwlotniczej. Z werandy widzę jak przechylają się na skrzydło i nurkują. Poprzez warkot silników słychać ich karabiny maszynowe i widać płomyki na krawędzi skrzydeł. Atak jest bez zarzutu. W trzecim nawrocie zrzucają bomby.

Wydaje się, że nad całym miastem przeszedł przeciąg. Odlatują i znowu cisza, łagodny spokój mokrego, nasyconego wil-



gocia i zapachami popołudnia. W sąsiednich domach mężczyźni powyłazili na dachy i rozmawiają od dachu do dachu. Castillo Armas zaczyna imponować. Widok samolotów pocieszył mnie. Przeszarżałe AT-6 rządowe nie mogą się mierzyć z tymi maszynami. Może im się uda. Wracam do mojego warsztatu i dalej pracuję. Wieczorem przyleciał znowu jakiś samolot. Zgaszono światło. Wojna na całego z zaciemnieniem włącznie.

18. 6. 54.

Rano w mieście. Pusto, Sklepy pozamykane, cisza. Spotykam jednego ze znajomych urzędników Min. Spraw Zagranicznych. Jest wyraźnie przestraszony. Pierwszy raz w życiu widział i słyszał coś w rodzaju nalotu. Opowiada mi, że jego żona dostała ataku hysterii. Pyta mnie z powagą, czy nie baliśmy się. Nie wytrzymałem i wybuchnąłem śmiechem. Spoglądał na mnie jeszcze bardziej wystraszony. Śmiejąc się mówię mu, że takie nalociki, do tego skierowane wyłącznie na dwa obiekty wojskowe, można spokojnie oglądać i że to nic groźnego. Ale nie mogę go uspokoić, z czego jestem w głębi serca zadowolony. Jeżeli oni wszyscy już tak się boją, to dobry znak. Żal mi tylko tych biednych żołnierzy indyjskich, atakowanych w koszarach, bo podobno ogarnęła ich taka panika, że opuszczali stanowiska karabinów maszynowych i uciekali do jarów podmiejskich. Opyta mnie, co ja o tym myślę. Mówię mu, że jeżeli powstańcy potrafią użyć i wykorzystać lotnictwo, któremu rząd nie może nic przeciwstawić, to wynik jest z góry przesądzony. Dowiaduję się od niego, że wkroczyli już na terytorium Guatemali. Ilu ich jest? Nie wie. Może około 600 ludzi.

Jeżeli Castillo Armas zdoła obalić ten czerwony rząd i uwolnić kraj, można się bać tylko jednego: bogatych. Jeśli dopuści do głosu ten najgorszy element tutejszy, którym są bogaci (ricos) i ulegnie im, wszystko to nie będzie miało sensu. Najgorszymi wrogami kapitalizmu w tych krajach są kapitaliści. Każdy z tych panów, z tych „platusów”, pomiatający i pogardzający wszystkim poniżej jego dochodów, jest stokroć lepszym propagandystą komunizmu niż wszyscy wyszkoleni agenci Moskwy razem wzięci. Ci ludzie są przekleństwem Guatemali.

Inwestując dziś tysiąc dolarów chcą nazajtrrz wyciągnąć pięć tysięcy i odesłać cały zysk do jednego z banków w USA. Inwestycje? Wyższe stawki płac? Lepsze warunki dla pracownika? Niech to robią głupi Amerykanie. I kiedy przychodzi Amerykanin i zaczyna się ruszać, zaczyna lepiej płacić robotnika, dawać mu opiekę, udogodnienia, wtedy podnoszą patriotyczny wrzask, wtedy gotowi są zrobić wszystko, byle by nie dopuścić do żadnego rozwoju. Pójdą na współpracę z najbardziej czerwonym rządem, tak jak poszli tu. Połowa najbogatszych rodzin i kupców współpracuje po cichu z rządem Arbenza. Toteż propaganda komunistów nie jest tu skierowana przeciwko nim;

komuniści wiedzą, że te przeżytki minionej mentalności kapitalistycznej nie są dla nich groźne, że są tchórzliwe i dają się szybko obłaskawić idąc na współpracę wzamian za przejściowe korzyści materialne. (Zamówienia rządowe, stanowiska itp.). Na przestrzeni pewnego etapu komuniści nawet ich potrzebują, rzucając do nacjonalistycznej walki przeciwko największemu wrogowi na tych terenach — postępowemu kapitalizmowi Amerykanów.

Antyamerykanizm we wszystkich odcieniach jest w gruncie rzeczy walką z nowym kapitalizmem amerykańskim, który zimnymi cyframi, stawkami płac robotniczych z reguły najwyższymi w całym kraju, opieką i udogodnieniami dla pracownika, który codziennym przykładem i praktyką miesza w teorii i propagandzie komunistów wśród elementu, na którym im najbardziej zależy. Od sześciu lat wszystkie strajki w przedsiębiorstwach amerykańskich były tu organizowane i wprost wymuszane na pracownikach przez rząd. W tym leży sedno walki.

Nowy amerykański kapitalizm (ça existe, mon cher...) na pewno nie jest doskonały i na pewno nie rozwiązał jeszcze wszystkich problemów, ale na pewno ma przed sobą możliwości, choćby dlatego, że kształtuje się w klimacie wolnym i nie jest obudowany dogmatami. Na własnym terenie potrafił rozwiązać już wiele zagadnień, o rozwiązaniu których komunizm tymczasem marzy. Nieraz wydaje mi się, że w obecnej chwili jedynie komuniści w i e d z a czym naprawdę jest nowoczesny kapitalizm amerykański i jaką siłę przedstawia. Oni jedni wydają się oceniać go właściwie i w i e d z a, że w tym wydaniu ustroj ten nie jest jeszcze skończony i wykończony. Dla nas kapitalizm amerykański jest w najlepszym wypadku „zjawiskiem wyjątkowym”; w bieżącym osądzie jest to organ szczytkowy przynależnego ustroju. Ano bądźmy przekonani o tym, w co komuniści nie wierzą. Jeszcze jeden slogan ekonomiczno-intelektualny bez pokrycia, idący całkowicie po linii życzeń komunistów. Czy walka Moskwy przeciwko zjednoczeniu Europy podyktowana jest obawą wojskową? Nie — panicznym strachem przed konsekwencjami gospodarczymi, przed możliwością utworzenia się rynku wewnętrznego o takiej chłonności, w której nowoczesny kapitalizm zacząłby z powrotem grać na terenie europejskim tak, jak gra na terenie USA. Stąd czerwona propaganda oszalałego nacjonalizmu, o jakim dotąd nikomu się nie śniło, choć mogło się wydawać, że hitleryzm doprowadził to zbroczenie do szczytu. Dziś mała Guatemala bije pod tym względem o dziesięć długości hitlerowskie Niemcy i francuski szowinizm.

20. 6. 54.

Nic się nie wie. Komunikaty radiowe z sąsiednich krajów, z USA i z Europy są mętne i świadczą o zupełnym braku dokładniejszych informacji.



Od dziś obowiązuje godzina policyjna i zaciemnienie. Policja otrzymała rozkaz strzelania do każdego okna, z którego wymykałby się choć promyk światła. Wczoraj zgasili światło na dwie godziny w całym mieście. Ale już wiadomo, że wyłączenie światła służy głównie do wywożenia antykomunistów z więzienia. Prawdopodobnie na masowe rozstrzelanie.

Siedzę przy świeczce z Coltem na stole i boję się. To bardzo romantyczne, ale jakoś trudno mi być Gregory Peck'iem w technicolorze. Staram się sobie wyobrazić co zrobiłbym, gdyby przyszli po mnie. Najprawdopodobniej uciekałbym do lasu bambusowego za domem. W razie potrzeby bronilibym się. Przed Basią udaję jednak spokój i zdecydowanie. Kobieta w takich wypadkach jest jak te „underdeveloped countries” spoglądające jeszcze w stronę wolnego świata i oczekujące od niego energii. Wobec tego na zewnątrz jestem jak Gregory Peck. Chodzę po domu, podzwaniam ładunkami w kieszeni, palę fajkę, popijam whisky i uśmiecham się do mojej „underdeveloped country” żeby nie utracić jej szacunku. Teraz żal mi, że jednak nie kupiłem paru granatów ręcznych. Kiedy strach załazi mi głębiej za skórę, mam zrywy odwagi. A niech spróbują, niech przyjdą, niech mnie zastrzelą, ale przedtem ja też postrzelam. Czego bronilibym w tym wypadku? Jaki sens miałoby to wszystko? Nie wiem. Ale wiem, że zaczepiony poszedłbym na udry, a nie na pertraktacje choćby dlatego, że czuję się kawalkiem tej cywilizacji, której tu na tym malutkim skrawku ziemi wypowiedziano w tej chwili otwartą walkę. Wcale nie jako Polak i nie jako biały. Zwyczajnie, po prostu, dla obrony odbicia w lustrze, spojrzenia we własne oczy. I dla przykładu i obrony wyobrażenia, jakie dwie godziny temu miało o mnie i nadal ma pięciu mężczyzn z sąsiednich domów, którzy przyszli do mnie po radę i w poszukiwaniu kierownictwa.

Mają zacząć wydawać broń syndykatom robotniczym; podobno ciężarówka są już pełne i czekają tylko na wyznaczenie punktów, w których ma się odbywać rozdawnictwo. Grozi palenie i mordowanie wszystkich, którzy mieszkają w tzw. lepszych dzielnicach. Grozi „Bogotą” jak się to określa tutaj skrótem. Odbiliśmy naradę wojenną. Podyktowałem coś w rodzaju planu. Z bronią jesteśmy nadspodziewanie dobrze, bo mój najbliższy sąsiad przyniósł mi się na osobności, że ma ręczny karabin maszynowy i ponad siedemset sztuk amunicji. Wybałuszylem oczy. Okazało się, że ma nad Pacyfikiem kawałek ziemi, bezludną plażę i jeździ tam polować na rekiny z karabinu maszynowego. To jego „hobby”. Pomimo całej powagi sytuacji i otrąskania z tutejszymi obyczajami, już dawno tak się nie uśmieiałem.

Myślę o nich i myślę już po raz nie wiem który, że Kali i Nel zaczęli szanować naprawdę Stasia Tarkowskiego od momentu, w której najpierw zastrzelił lwa, a potem Beduinów. Gdy myślę o przyszłości naszej cywilizacji, o Kalich, którzy spoglą-

dają na nią ze wszystkich części świata, wydaje mi się, że ten jeden epizod z „W pustyni i w puszczy” jest wspaniałym skrótem istoty zagadnienia. Szkoda, że Toynbee go nie przeczytał. Nie — nie jesteśmy tylko jedną z wielu, z tych dwudziestu kilku cywilizacyj, które minęły. To jednak coś więcej i może warto tego bronić, bo nic się w tym nie skończyło. Raczej dopiero zaczyna.

W mieście ciągle pojedyncze strzały. Prawdopodobnie policja gorliwie wypełnia rozkaz strzelania do okien. Dlaczego tych pięciu panów przyszło właśnie do mnie, do mojej budy trzęsącej się nad garażem autobusu? Dlaczego tylko mnie zwierzył się z posiadania „Schmeissera”? Dlaczego oczekują więcej ode mnie, niż od innych z sąsiedztwa?

22. 6. 54.

Zupełny brak dokładniejszych wiadomości. Oczywiście poczta nie działa już od tygodnia, samoloty linii lotniczych nie lądują. Tylko na chwilę udało mi się złapać komunikat wolnej stacji. Wynika z tego, że siły Castillo Armas zajęły Esquipulas, miasteczko i lotnisko położone o 15 km. od granicy Hondurasu i że posuwają się w kierunku Chiquimula. Drugie uderzenie skierowane jest na Zacapa. Chcą przeciąć linię kolejową do Puerto Barrios nad Atlantykiem. Gazety natomiast zapewniają, że wojska rządowe w ciągu kilku dni zlikwidują incydent. Poza tym Guatemala odwołała się do Rady Bezpieczeństwa i rząd Arbenza robi wszystko, aby w opinii międzynarodowej uchodzić nadal za niewinną demokrację, jedyną „imperializmu amerykańskiego”. I na pewno uda mu się wprowadzić tutaj zamęt i wywołać współczucie.

Osobliwe zjawisko: potracenie jednego komunisty wywołuje protesty w całym wolnym świecie; krzyczą komuniści i niekomuniści, protestują intelektualni, manifestują, podpisują, potępiają, solidaryzują się. A kto potępił, kto manifestował, kto w ogóle w i e d z i a ł, że 12 lipca dwa lata temu „demokratyczny” Arbenz dał rozkaz strzelania do manifestacji antykomunistycznej? Kto protestował gdziekolwiek, że zabito sześć osób i poraniono ponad czterdzieści? Milczenie. Czy ktoś protestuje, że od dwóch lat antykomunistów zamyka się tu w więzieniach, torturuje, deportuje?

Giniemy w abstrakcji, rozpuszczamy się w sloganie. Reforma rolna, szyta ordynarnie czerwonymi nićmi, zaślepiła zupełnie. Konieczna? Oczywiście, ale jaka i jakimi metodami wprowadzana w życie? Nie taka. Tego jednak nie dostrzegano się. Bo jeżeli konieczna, to wszystko jedno jaka — do tego w jakiejś tam Guatemali. Dżicz. Nie, mon cher, twój chłop bretoński czy normandzki nie jest ani o odrobinę na wyższym poziomie, niż tutejszy Indianin. Co się pod płaszczykiem tej reformy wyprawia,



co dzieje się pod płaszczykiem „demokracji” Arbenza? Nieuniknione konsekwencje — odpowiedzą. I tak się bzdurzy tam gdzie na górze, w kołach oświeconych i liberalnych, postępowych, bez znajomości krajów, ludzi, warunków, geografii, klimatu; powtarza się brednie o Hiszpanii, o Formozie, o Guatemali, o wszystkim. Teraz, tu, w zupełnym odcięciu od świata, w oku konfliktu pozornie małego, ale jakże dziś ważkiego, słuchając komentarzy ze świata dostrzegam, że nie ma żadnej różnicy: po tamtej stronie znany żargon, po tej równie tępy i abstrakcyjny żargon liberalny, prześlizgujący się wśród rzeczywistości, byleby nie potracić czegoś mocniej, byleby nie zawadzić o coś, po czym komuniści mogliby podnieść jeszcze większy wrzask. Wolność? Oni jej nie chcą. Śnią o kajdanach zwanych o p i e k a. Byle ręk nie powalać, byle nie musieć wypuścić z palców gotowego na wszystko pióra. Oni pierwsi, spece wolności, pogodziliby się z jej utratą tu tak samo, jak inni potrafiliby ją sobie „wytłumaczyć” tam. Od totalnego przeczenia najłatwiej przechodzi się do totalnego potakiwania. Wolność bez oparcia o coś, o jakąś prawdę (czyżby o Boga?), nie jest niczym, jest niewymierzalna i do niczego nie służy. A o jakież prawdy opierają się oni? O tę jedną, która mówi, że nic nie jest prawdą. Wszystko jest płynne. Nadawać kształt wydarzeniom? Gdzież tam. To wydarzenia nadają im kształt. Koegzystencjaliści.

W południe telefonował do mnie mój współnik. Z Chicago przyszedł telegram, żeby wysłać 3.700 dol. bo zamówienie gotowe do wysyłki. Powiedziałem mu, żeby to wysłał. Był przerażony. Na szczęście linie telegraficzne są prywatne i jeszcze działają. Popołudniu nalot. Ulice wyludniają się, wszyscy wylazą na dachy oglądać. Z dachów okrzyki radości, entuzjazmu, jak w czasie „corridy”. Czuje się najwyraźniej jak z każdym dniem, z każdym nalotem, szala sympatii przechyla się na stronę Castillo Armas. Siła imponuje. Ulica przechrzcila już Thunderbolty na „Sulfato” i przy najlżejszym odgłosie motorów słysząc radosne okrzyki: „Viene el sulfato”. Przechodziłem dziś w czasie nalotu koło jednego z hoteli, przed którym stała grupa korespondentów amerykańskich. Byli zdezorientowani. „It's the first time in my life I see people enjoying to be bombed” — usłyszałem. Podobno wojsko sprzeciwiło się rozdawnictwu broni. W gazetach zapowiedź natarcia i zlikwidowania wroga przy pomocy „manewru oskrzydającego”. Tymczasem opowiadano mi dziś, że wczoraj Thunderbolty dorwały transport wojska, jadący na „front”. Z oddziału liczącego ponad 300 ludzi nie doliczyli się ani 50-ciu. Reszta przeszła na stronę „General Montes”, jak się tutaj mówi, czyli uciekła w góry.

24. 6. 54.

Coraz lepiej. Pogłoski o powszechnej mobilizacji, o formowaniu ekip do budowy umocnień wokół miasta. Meksyk ma

w ciągu kilku godzin przysłać samoloty. Brat ministra spraw zagranicznych i osobisty przyjaciel Arbenza, J. Toriello, wyjechał tam z około milionem dolarów po zakup „Mustangów”. Wtajemniczeni uśmiechają się złośliwie i twierdzą, że będzie to najlepsza transakcja w jego życiu choć zawsze był bardzo sprytny. Ten już jest urządzony. Najradośniejsze wiadomości dochodzą jednak z placówek dyplomatycznych republik łańskie-amerykańskich. Podobno na gwałt przygotowuje się miejsce dla mających tam szukać schronienia komunistów. Opowiadają, że ambasada meksykańska wykupiła w jednej firmie cały zapas nocników. Ale pomimo tak pomyślnych wiadomości z pola walki, trudno śmiać się, bo sytuacja jest poważna. Najgorszy jest brak jakichkolwiek ścisłych danych. Nikt nic nie wie.

Jestem zdenerwowany, nie mogę sobie znaleźć miejsca. Teraz dopiero kiedy zaczyna świtać nadzieja wyzwolenia, wylazi dwuletnie zmęczenie. Od początku czułem, ku czemu tu szło. Nie wierzyli. Potem było już niebezpiecznie nawet mówić. Ostatnio wyglądało tak beznadziejnie, że jeszcze do wczoraj nie miałem odwagi spodziewać się czegoś lepszego. Z Amerykanów zaczęto już kpić. Wpatrzeni w Europę, widzący Azję, z jakimś maniackim dalekowidztwem nie chcieli dostrzec tego, co dzieje się w sąsiednim pokoju. I jeżeli można mówić o budowaniu przez nich czegoś w rodzaju frontu (jeszcze ciągle nie wykracza to poza zaporę), to cała ta budowa nie będzie miała dotąd sensu, dokąd nie wybudują najpierw „Linii Ameryka”; dokąd tu, na całym kontynencie nie położą solidnych fundamentów pod wysunięte bastiony. Zadanie niełatwe, ale byłby już najwyższy czas o nim pomyśleć. Do dziś dnia nie mają żadnej polityki amerykańskiej. Guatemala jest sygnałem.

26. 6. 54.

Wieczorem u przyjaciół. D. jest Polakiem, osiadłym tu od wielu lat. Zamożny dom kulturalnych ludzi. Pani D. jest w organizacji, ale w sumie też wie niewiele. Rozkładamy mapę i staramy się dociec jak to wygląda naprawdę.

Castillo Armas nigdzie nie wdaje się w otwartą walkę, wojsko jest bezsilne. Wszelka koncentracja sił rządowych jest niemożliwa bo przylatują samoloty i dezorganizują każdą akcję. Indyjski żołnierz nie wytrzymuje ataków lotniczych. Dezerterują masowo. D. twierdzi, że w tej chwili wszystko zależy już od tego, kiedy wojsko zdecyduje się na obalenie Arbenza. Największą komplikacją jest jednak honor armii, która w żadnym wypadku nie zgodzi się na fakt, że została pobita przez 500 lub 600 studentów, deportowanych, emigrantów i chłopów, którzy doszlusowują codzienie wzamian za karabin, umundurowanie i dobrą dniewkę (podobno 10 dol. dziennie). „Pułkownik będzie miał twarde orzechy do zgryzienia” — mówi D.

Ktoś dzwoni. Wpada jakiś młodzieniec. Jest całkiem pew-



na wiadomość, że zajęli Chiquimula. Wracamy do mapy. D. wspomina „dawne, dobre czasy”. Wybuchła tu raz rewolucja tylko dlatego, że wdowa po którymś tam dyktatorze nie dostała na czas miesięcznej zapomogi i nie miała pieniędzy na normalne zakupy targowe. Jej majordomus, oburzony, poszedł do koszar, zbuntował całą załogę i obalono w jedno popołudnie niepunktualny rząd. Te czasy minęły. Dziś każda rewolucja będzie tu odpryskiem wielkiego konfliktu, harcami na przedpolu.

Potem znowu ktoś dzwoni i wchodzi. Szepty. Na stadionie stoją ciężarówki z bronią, ale podobno nikt się po nią nie zgłasza; apele przywódców syndykatów robotniczych trafiają w próżnię. Nie jestem o tym całkiem przekonany i wolę jak najprędzej wrócić do domu. Odwożę nas samochodem. W mieście ciemno i pusto. Po powrocie „obchodzę posterunki” zachodząc do domów moich sąsiadów. Już i oni słyszeli o ciężarówkach na stadionie. „Jeżeli się zacznie, to najpierw w południowej części miasta” — mówią. We wszystkich domach są już uciekinierzy z dzielnic położonych przy atakowanych z powietrza koszarach i radiostacji. Opowiadają mi, że w czasie dzisiejszego nalotu samolot atakujący rządową stację nadawczą wyszedł z nurkowania przelatując pod drutami pomiędzy masztami. Jeżeli to prawda, to pachnie to pilotami — z północy.

Miasto ciemne. Mokro i parno. Przez okna wpada zapach kwitnących pod domem pomarańczy jeden z najcudowniejszych zapachów, jakie znam. O świecie drgają w drzewkach kolibry. Ich lot jest ich śpiewem; milczący tryl. Siedziałem do późna w noc, czekając, czy na południu nie chluśnie gdzieś łuna. Cisza przerywana pojedynczymi strzałami niewiadomego pochodzenia.

27. 6. 54.

Od rana zapowiadają w radio wieczorne przemówienie Arbenza o „znaczeniu transcendentnym”. Nikt nie wychodzi na miasto. Atmosfera jest ciężka, napięcie doszło do szczytu. Wyczuwa się, że już coś się stało, tylko nie wiadomo co. Ustały wszelkie apele do ludności, do robotników i organizacji. Mówią, że po broń nikt się nie zgłaszał; że kiedy w końcu zdecydowano się na tworzenie milicji ludowej, na punkty zbrojne nikt nie przychodził.

Popołudniu woła mnie mój sąsiad. Był w mieście. Mówi mi, że przed ambasadami i poselstwami tłok i że wewnątrz dochodzi do bójek, bo ci, którzy schronili się tam przed komunistycznymi represjami jeszcze nie wychodzą podczas gdy dygnitarze rządowi, posłowie i całe to czerwone towarzystwo rozpoczęło już napływać masowo w poszukiwaniu azylu. Musi tam być wesoło. Równocześnie są pogłoski, że Arbenz ma zamiar ogłosić dziś wieczorem powszechną mobilizację i obronę do upadłego. W końcu nic się nie wie. Od dziesięciu dni jedynym źródłem informacji są plotki. Komuniści opanowali kraj do tego stopnia, że wprost

nie chce mi się wierzyć aby i tym razem mogło się to skończyć stosunkowo bezboleśnie.

Powoli zapada wieczór, sroki moszczą się w bambusach z przeraźliwym wrzaskiem. Na widok sępów ogarnia je histeria. Radio gra już tylko hymn narodowy i w przerwach każe oczekiwać „transcendentnego przemówienia”. Wreszcie jest. Hymn. Potem płaczliwy, drżący głos Arbenza. Dla dobra kraju, dla uniknięcia dalszego rozlewu krwi (ludzi mordowanych przez jego policję — dodają), pokonany lotnictwem, któremu rząd nie mógł nie przeciwstawić, pokonany przez monopole i Stany Zjednoczone (nareszcie kogoś pokonały) postanawia ustąpić, składając władzę w ręce pułkownika Diaza. Pożegnanie z narodem, łzawe i rozczulające. Będą teraz nad nim płakać na wszystkich zjazdach i kongresach przekonaniowych rzeźniców.

To już coś jest. Szala przeważyla się, ale jeszcze nie koniec. Bo Diaz jest komunistą, jeździł na przeszkolenie do Moskwy i jako minister obrony rozpoczął wprowadzać polityczne szkolenie w wojsku. Idę do znajomych. Tam już piją z radości. Łapiemy na chwilę radiostację powstańczą. Są zdecydowani. Nie zamierzają wdawać się w żadne pertraktacje z Diazem, zapowiadają nalot na jutro, „las hostilidades siguen”. Zaczyna się najdelikatniejszy moment. Wojsko wymusiło na Arbenzu dymisję, ale stara się ratować honor i Diaz na pewno ma wielu popleczników.

Pierwsza noc spokojna. Trudno uwierzyć. Taktyka, którą komuniści zastosowali tutaj była bez zarzutu. Metoda krajania salami. Dzień po dniu, plasterek po plasterku. I dzień po dniu czułem, jak coś ciężkiego zgniata mi coraz bardziej oddech, jak coraz to bardziej zbliżam się do momentu, w którym zaczyna się żyć i myśleć na dwóch poziomach. Poszedłem tu i tam, rozmawiam z tym lub tamtym; i nagle łapię się na gorącym uczynku: wymijam, prześlizguję się, zamilczam, nie odpowiadam, ba — uśmiecham się. Od tego się zaczyna. Potem lekki wstręt do siebie samego, przygaszany usprawiedliwianiem się. Więc co? Powiem mu w oczy? Przyjdą, obiją, wsadzą do więzienia; potem do samochodu, podwożą w nocy pod granicę, rozbiorą i zagnąją nagiego w dżunglę. I kto się za mną ujmie? Za ofiarami „demokracji”, lewicowych dyktatur, nikt się nie wstawia, bo to na pewno reakcyjniści. W obronie jednego byka, zakłutego w Hiszpanii w czasie „corridy” gotowe są protestować wszystkie parlamenty. Bo w Hiszpanii. Więc uśmiechałem się. Ha — nawet porównania się wynajduje. Mordy i grabienie ziemi pod pokrywką reformy rolnej? Zrozumiałe: gdy otworzy się tamę, wyrzywa czasem kawałki grobli. Powolutku strach podgryza, rozpląszcza duszę. Jest to całkiem odrębny strach, jakiś inny, pełen wstydu, nie normalny, dumny strach. Trzeba się o to chociażby otrzeć aby naprawdę zrozumieć. Od usprawiedliwiania siebie samego zaczyna się usprawiedliwianie wszystkiego, wielkie i generalne „Tak”, które tak trudno nam zrozumieć po tamtej stronie.



28. 6. 54.

Popołudniu wielki nalot witany z entuzjazmem. Nalot jest piękny, atakują stary fort, siedzibę intendenty. Thunderbolty spadają jak jastrzębie, pigułka odrywa się i leci parabolą coraz szybciej. Brzdęk. Przykro mi, ale cieszę się. Po nalocie jadę do miasta. Na skrzyżowaniu ulic trąbi do mnie samochód. Podchodzi. G., major lotnik, daje mi znaki ręką, żebym wsiadł. Uzbromiony po zęby, na siedzeniu rozpylacz. G. jest także modelarzem, a to trochę jak zakon. Jest pod gazem i kiedy siadam obok niego, wyciąga butelkę whisky i częstuje. Wchłaniam trochę, jakby to było leśne powietrze. Pytam, co się właściwie dzieje.

— Nic się nie przejmuj. Dziś wieczorem idziemy do tego... i jeżeli nie ustąpi dobrowolnie, wtedy... pokazuje na rozpylacz. Ma tremę przed wieczornym występem.

— Tylko „por Diós” nikomu nic nie mów. Słuchaj — robię wspaniałego „Rayan'a”. Jak się to całe g.... skończy, przyniosę ci go pokazać. Nie ma to jak modelarze. Model, właśnie ten w robocie, to ważniejsze niż wszystko.

Wieczorem znowu hymn, Diaz składa władzę w ręce „junty” wojskowej. Nazwiska tym razem czyste. Załatwili to dobrze. Myślałem że G. trochę łże. Do późna w noc radio nadaje nowe dekrety. O zniesieniu partii komunistycznej, o rozwiązaniu parlamentu. Koniec. Reszta będzie już tylko takim lub innym załatwieniem drugorzędnych zagadnień. Najważniejsze zostało rozwiązane.

Po tym wszystkim czuję, że nowa jakaś częśćka mnie przylgnęła znowu ściślej do tego kraju.

(c. d. n.)

Andrzej BOBKOWSKI

## Placki kartoflane

Walne zebranie Związku byłych Więźniów obozów koncentracyjnych zaczęło się dość punktualnie. „Proponuję państwu — zagaił prezes — abyśmy na wstępie uczcili minutą milczenia pamięć kolegów, którzy zmarli w ciągu roku”. Wszyscy powstali. Z zegarkiem w ręku prezes dopilnował uciekającego czasu co do sekundy, ani jednej za dużo, ani jednej za mało. Już. „Dziękuję państwu”.

Jeszcze niedawno, jak mi się zdaje, minutę milczenia na podobnych zebraniach poświęcano tym, którzy pozostali *tam*. Cóż, aktualność wypiera tradycję. Ilu właściwie ubyto w ciągu roku? Zebrani szepczą, rozglądają się. Sala nie jest pełna. Puste krzesła wciskają się pomiędzy grupki siedzących nieprzyjemnymi szczerbami.

Na podium stolik dla przewodniczącego i sekretarzy. Zwyczaj, święty szablon wszelkich zebrań: sprawozdania, wybory. Sprawa odszkodowań. Na to słowo sala budzi się, coś w niej wibruje, daje znajomy rezonans. Ale to jeden z dalszych punktów programu.

Patrząc na lewo i na prawo — nie znam nikogo, albo z trudem poznaję. Czas wydaje się chodzić podwójnymi krokami dla byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Ci starsi panowie, te dość zwiędłe panie mogliby równie dobrze zaszczycać obecnością zebranie Związku Ochrony Lokatorów. Wyobrażać ich sobie w pasiakach i boso, przy taczkach lub na apelu — cóż za nieprzyzwoitość! Siedzą tak statecznie i tak bezpiecznie, słuchają sprawozdań skarbnika, sekretarza. Cóż za skandal, moi państwo, te niepopłacone składki! Minuta milczenia była pewno przeznaczona dla ludzi całkiem innego pokroju, napiętnowanych w bardziej widoczny sposób.

A więc to my. My, którzyśmy zostali, a raczej którzyśmy „wyszli”, jak to się mówi obrazowo — moja sąsiadka z lewej i sąsiad z prawej i ja i prezes i zarząd, a oprócz nas takie same stowarzyszenia w innych miastach, w innych krajach, może nawet obradujące tej samej niedzieli ze względu na zbliżający się



jubileuszowy maj. Niektórzy mają nawet swoje sztandary i w pochodzie nie będą gorsi od innych. My sztandaru jeszcze nie mamy, co jest zgryzotą zarządu. Może się go przecież w końcu dorobimy.

Sekretarz monotonnym głosem przytacza cyfry i daty. Wciąż się rozglądam po sąsiadach, nieprzyzwyczajenie. Jak wyglądali dziesięć lat temu, *kim byli* dziesięć lat temu? Dla wielu wolność przyszła przecież *in extremis*. Gdyby linia frontu wygięła się innym zygazkiem, gdyby zawiodła konstrukcja jakiegoś pontonowego mostu, przyspieszono jakiś desant — czy ja wiem! (dla siedzących poza drutami, wtedy, cóż za odległe, kosmiczne przyzwykły! — już bardziej widoczna zależność ludzkiego losu od gwiazd), gdyby tydzień wcześniej albo tydzień później, lista naszego związku wyglądałaby zupełnie inaczej. Może spośród tamtych, niedobitych, niedopalonych raczej (termin „niedopalki”, w zastosowaniu do nas, wywołał kiedyś wielkie poruszenie), rekrutowaliby się członkowie energiczniej płacący składki? Może umieliby postarać się o wprowadzenie poprawek do beznadziejnej ustawy niemieckiej, odmawiającej nam prawa do odszkodowań? Kto wie, jak wyglądałby świat, gdyby i tamtym dano szansę niesłychaną: dziesięć lat odcroczenia. Jak nam.

A gdyby później — o ileż łatwiej byłoby gloryfikować zaskoczonych lawą, zmumifikowanych na zawsze pod chwalebłą postacią nieznanego Häftlinga, ileż swobodniej projektować mauzolea, poręczniej palić znicze, bez natrętnego świadectwa cywilów źle readoptowanych, obrosłych w suknie i garnitury, troski i zmarszczki, w nieuleczalne poczucie krzywdy.

Wolność! Pamięta pan, kolego? A u was, jak to się odbyło, koleżanko? Wolność — to słowo znaczyło wtedy ocalenie, a więc raj i żywot wiekuisty i nieśmiertelność ciała. Czegośmy to się nie spodziewali, co to nie miało nam wyjść naprzeciw zaraz po drugiej stronie bramy! Z jaką rozpaczą gaśli niektórzy nad słuchując, jak już się kruszą mury. Biedacy! Kto wie, ile procent renty inwalidzkiej udałoby im się wyprocesować przy sprzyjającej koniunkturze. Oczywiście, koledzy na których intencję milczeliśmy dopiero co przez sześćdziesiąt sekund, musieli umierać z poczuciem wielkiej wobec tamtych wyższości.

— Udało nam się — mówili, nie tak dawno, z dumą na zakończenie opowieści, do słuchania której co raz trudniej o amatorów. — Przeżyliśmy!

Ta ostatnia uwaga zawiera względną tylko prawdę — dla nich i dla nas. Bo, okazuje się, selekcja trwa.

Od pustych krzesel bardziej wymowne są statystyki. Nie wiem, jak wyglądają nasze, polskie proporcje. Poza brakiem własnego sztandaru brak nam również — druga anomalia — własnego organu prasowego. Ale w międzynarodowym FILDIRE, do którego i nasz związek należy, czytamy, że na około 200 tysięcy deportowanych z Francji wróciło mniej więcej 38 tysięcy i że z tego, od uwolnienia „odpadło” już 16 tysięcy.

Sądy niemieckie — o ile komuś przypadł honor przejścia

przez komedię sądu — nie ogłaszały na ogół wyroku. Było to zresztą zbyt ciche, wyrok był niezmienny i zbiorowy, o jego wykonaniu rzadko decydowała kula egzekucyjnego plutonu, częściej zapotrzebowanie pieca, albo też tyfus czy dezynteria, serce lub płuca, ów największy wróg — własne ciało. Te zaoczne, skryte wyroki, okazują się, nadal są w mocy.

Bardzo demoralizująca lektura dla byłego więźnia, nawet jeżeli czuje się niezłe, broszurki i pisma, którymi obdzielono nas na wstępie zebrania. Takie sprawozdanie z międzynarodowego kongresu patologii byłych więźniów nie zostawia dużego marginesu na optymizm. Skazy, wyniesione stamtąd, są nieodwracalne. Każda z nich, opatrzona naukową swą nazwą, w owym medycznym żargonie, również nieludzkim jak pokrewny mu żargon jurysdykcyjny, nabiera mocy wyroku bez apelacji. Oczywiście, nie ma nawet mowy o tych, co odpadli zaraz w pierwszym okresie, czasem po zjedzeniu pierwszej puszki amerykańskiego boczk. Wybitni członkowie kongresu przykładają stetoskopy do płuca i serc szczęśliwców, nas, którym udało się „wyjść”. Opracowane naukowo wykresy pokazują: tyle rości sobie grzyźlica, tyle wrzody żołądka, tyle choroby nerwów, tempo procesu takie a takie. Komu się wydaje, że nie podpada pod tamte rubryki, nie umknie tej ostatniej, najbardziej upakarzającej: *senilité précoce*.

Czyż jak nie lekarskie oko wyłowi spośród stadka królików te osowiałe, o zszerszeniałej szerści, matowym wzroku, tak idealnie nadające się do obserwacji? Na nich najwięcej można dowiedzieć się o sobie. Z naukowego punktu widzenia — pasjonujący eksperyment. Nowa gałąź medycyny, nowe choroby, nowy okaz człowieka: wszystko to zawdzięczamy obozom i wojnom.

Diagnoza jest prosta. Ale leczenie? Witaminy, spokój, dobrobyt... No i czas. Drzewa, które przeszły wielką zimę, nie wszystkie schną od razu. Przez parę wiosen jeszcze wypuszczają pędy, niektóre kwitną nawet i ładują odnową. Nikt jednak nie liczy serio na owocowanie.

Biuletyny rozdane nam przy wyjściu posłużyć miały jednak nie dla pogębienia Piotrowinów, a raczej dla praktycznego ich oświecenia. Przy każdym patologicznym objawie poobozowym cyfra wskazuje, na ile go można ewentualnie oszacować. Tyle procent renty za płuca, tyle za żołądek. Oczywiście dotyczy to szczęśliwców, którzy mają swoje państwo, albo też w odpowiednim miejscu dali się aresztować i w odpowiednim miejscu „wyszli”. Siedzące z mną dwie panie dzielą się szeptem uwagami o wypełnionych rubrykach formularzy (wypełnianie formularzy to jeden z niezbędnych kunsztów naszego wieku). „Moje inwalidztwo...” — mówi jedna z dumnym poczuciem własności, jak gdyby mówiła: moje nurki. Tej udało się dojsć *swoich praw* — w pewnym procencie. „Astenia — nie zapomniała pani wymienić: astenia?” Plama na płucach, nabyta *tam* daje prawo. Trzeba jeszcze umieć je zwaloryzować. Inwalida potrząsa pro-



teżą, prawując się z państwem. Wygrał, kto lepiej potrzasać potrafi.

Ogólnie rzecz biorąc, ci co wyszli dzielą się na tych co dostali i na tych co nie dostali. Jedni dostali więcej, drudzy mniej. Dostali Żydzi, dostali Niemcy i Austriacy, dostali Francuzi. Ta wielka, powojenna dolewka rozdzielana jest, jakżeby, „po uważaniu”. Polacy na ogół nie dostali. Cóż, nie mają komu potrzasać pod nosem protezami. Wyskrobki z dna kotłów, które im się wreszcie „należą” dochodzą do nich pod upakarzającą postacią jałmużny, najczęściej w naturze.

Dlatego więc, kiedy przychodzi kolej na punkt porządku dziennego „sprawa odszkodowań” tyle osób na raz chce zabrać głos. Protesty są tym gwałtowniejsze im bardziej bezsilne. Kogóż tu przekonywać, na kogo się oburzać, przed kim udawadniać słuszność pretensji? Na bloku, kiedy zabrakło Eintopfu dla jednego stołu, wiadomo było przynajmniej, kto i dla kogo głębiej nurzał chochlę.

Historia tzw. *Fond de Réparation*, a raczej resztówki z niego, przeznaczonej nominalnie dla Polaków we Francji, a przykondfiskowanej przez jedno z ministerstw, mogłaby posłużyć za temat do ponurej komedii w stylu Kafki. Pokorny ogonek petentów gorączkowo dzielił się kruczkami, które znajdowały jaki taki kredyt u nowego Zimmerdiensu, czuwającego przy kotle. O „sprawie”, o obozie lepiej nie wspominać. Jedni pokazywali zęby, inni nogi. Dentysta *en titre* Secours Catholique porobił pewnie na mostkach kokosy.

Jeśli chodzi o sprawę właściwych odszkodowań dziesięć lat potrzeba było w Bonn, aby ustawa przeszła. Może w ciągu następnych dziesięciu lat uda się dokonać tego, aby wniesiono do niej niezbędne poprawki, bez których jesteśmy niejako wydziedziczeni, wykluczeni ze szlachetnych zapędów rehabilitacyjnych nowych Niemiec. „Ponieważ Gruszczyński — orzekł sąd w Hannoverze — aresztowany został nie z przyczyny natury politycznej, a za swoją działalność narodową... powinien zostać raczej dokładnie przesłuchany, dłaczego nie rozstrzelano go... tylko zamknięto do obozu koncentracyjnego”...

Tak więc dziesięć lat po wojnie, w drugiej, wolnościowej instancji, zapadł wyrok na niejakiego Gruszczyńskiego, pomimo tego że w trybunale nie nosił nikt naszywek z trupa główką. Zresztą tylko ludzie całkowicie pozbawieni poczucia humoru (jeszcze jeden objaw patologiczny?) nie ocenią tej perelki germańskiego dowcipu.

Gruszczyński zaś — niech czeka w charakterze precedensu. Przejdzie poprawka do ustawy — będzie mu wolno apelować. Tymczasem niech regularnie płaci składki no i readaptuje się w swoim zakresie. Może też wziąć udział w którejś z pielgrzymek, urządzanych z racji jubileuszowego maja, o ile jego „macierzysty” obóz leży, oczywiście, w odpowiedniej zonie.

Do głosu zapisują się coraz to nowi koledzy, powtarzają to samo, prawie tak samo. Zdumiewająco jednego zdania jeste-

śmy w łonie stowarzyszenia. Wypracowujemy rezolucję, która, niechybnie, wstrząśnie sumieniem świata, a w braku sumienia — sakiewką. I ci, którzy wyszli, nie będą się już dzielić na tych, co dostali i na tych, co nie dostali. Jakież zadośćuczynienie dla mgławicy duchów, które, niewidzialne i zgłodniałe, zaglądały nam przez ramię jak gospodarujemy dobrem, którego zostali pozbawieni: dziesięcioma laty odroczenia. Dziesięcioma laty życia.

Po szczegółowym omówieniu ustawy niemieckiej takiej jaką jest — rzeczywistej, i takiej, jaką należałoby żeby była — idealnej, po ułożeniu tekstu rezolucji, napięcie zebrania opadło. Pokrzywdzeni przy rozdziale dolewki, dopominający się gromko sprawiedliwości, zmilkli, scichli, przestali być obecni. Piękny przykład astenii zbiorowej. Sąsiadka z lewej postarzała o dalsze lat dziesięć, sąsiad z prawej dostał nerwowych drgań policzka. Wychodząc na ulicę, gdzie tymczasem przedwcześnie zapalone latarnie przyspieszyły nadejście nocy, myślę o tym, co się wydarzyło dziesięć lat temu, w pewnym obozie.

Nie wiadomo kto pierwszy spojrział przez okno i zawołał, że brama otwarta.

Był to obóz niewielkiego kalibru, komando raczej, które na mapie koncentracyjnych Niemiec mogłoby pretendować za ledwie do trójkątka prowincjonalnego miasteczka, gdy takie Ravenbrücki czy Mauthauseny opatrzone były stołecznym kółkiem z obwódka. W obozach tego rodzaju nie było wysokich, więziennych murów tylko zasieki, a bramę stanowiło kilka belek, zbitych na krzyż. Od świata izolował bardzo skutecznie prąd wysokiego napięcia, niewidzialny, magiczny krąg niewoli. Otóż pewnego ranka krąg ten, przez prosty fakt zostawienia bramy otworem, przerwał się, stracił moc.

Nie wiadomo kiedy to się stało. Żadna z kobiet nie mogłaby przysiąc, że poprzedniego dnia, kiedy się kładły spać, brama była jeszcze zamknięta. Ile więc godzin wolności przegapiły — trudno się doliczyć. Tak wielkie było zżycie się z potrzaskiem, że nikt nie zwrócił uwagi, kiedy kłapka została uchylona.

Tego rana obudziło je milczenie syreny — nie jej wycie, wibrujące i przeciągłe, a cisza po nim, w pewnym momencie snu, jak wyrwa pod stopą idącego z zamkniętymi oczami. Mimo to zaczęły się ubierać, słać koje, z pośpiesznym nawykiem. Stałyby pewno na apel same z siebie, gdyby nie to wołanie, spod okna, olśnionej: Jezus, Maria, brama otwarta!

A trzeba wiedzieć, że działo się to w drugiej połowie kwietnia, a więc z wiosną i to nie bylejaką, tylko właśnie Wiosną zapowiadaną przez wszystkie znaki, wyglądaną z rozpaczliwą żarliwością millenium. Nie było wątpliwości, że to Ona. Dokoła, w lasach i górach, dogorywała wojna. Górą ciągnęły bombowce, ziemia stękała od samego warkotu ich silników. Obserwowały nie raz mściwie, jak w biały dzień, po niebieskim skłonie, da-



leko, na miasto ukryte w przełęczy spływają krople bomb z fascynującą powolnością

Od lat żyły wyczekiwaniem tej chwili, od miesięcy wyczuwały powolne, zbyt powolne jej następowanie. Kominy fabryki, w której pracowały, wygasły z braku węgla. Na małą boczną kolejową, której tory zaczęła pokrywać rdza zajęchały pociągi towarowe zabite na glucho. Raz na dzień otwierano wagony, wywlekano trupy. Pocziwy koń fabryczny, na pół ślepy, strzygł uszami ciągnąc wóz naładowany czubato. Wtedy zapędzano je na bloki, ale widziały przecież przez szpary okien, jak Hans, woźnica, otwierał dechy i zsypywał ładunek do rowów tuż po drugiej stronie ogrodzenia. Czasami słyhać było strzały. Do kuchni przychodzili, również raz na dzień, dwaj więźniowie z ewakuowanego transportu pod eskortą po kocioł wodnistej zupy.

— Flossenburg? Buchenwald? — próbowały się dowiedzieć ukradkiem kucharki.

Nie odpowiadali. Odkładali dla nich trochę gestszego.

Któregoś dnia wagony odjechały, nie wiadomo dokąd. Bocznica kolejowa opustoszała na nowo. Cały obóz wydawał się być odstawiony gdzieś na najdalszą boczną zdarzeń. Chodziły pogłoski o szykowanym transporcie. To znów o szpicy czołgów amerykańskich, która miała się pojawić w miasteczku odległym o paręnaście kilometrów. W tym wyścigu chodziło o życie, o ich życie, tym cenniejsze, że doniesione z takim trudem aż do progu wolności. Studiowały wyraz twarzy komendanta apelu. Szykowały się, szyły z koców lagrowych cywilne płaszcze wcięte w pasie, planowały bunty i uciezki, kopiowały mapki z marszrutą drogi powrotnej przez góry, najkrótszym szlakiem. Dni wydłużały się w nieskończoność od rannej kawy do wieczornej zupy, coraz rzadszej.

Tymczasem któregoś dnia, ni stąd ni zowąd, obudziwszy się, zastały bramę otwartą na oścież. Po prostu.

— Wojna się skończyła! Wybuchła radość.

Następne pół godziny wypełniło szlochanie, całowanie się, krzyki — zwyczajnie jak to kobiety. Jedna zaintonowała litanię, druga pieśń patriotyczną. — Czegośmy pożąдали, tegośmy doczekali! — to była Wielkanoc obozu, triumf zmartwychwstania.

Zaraz potem okazało się, że w piwnicy kuchennego baraku są kartofle, że te kartofle już ktoś przyniósł, że są na bloku, smażą się, gotują, przypiekają. Ogień zafurczał w piecu, na opał poszły wióry z sienników, deski z łózek, wyrwane zuchwale. Gdyby zabrakło paliwa, nim się to popiekło, rozebrałyby ściany baraku. Skoro wojna już się skończyła? Rozpalony piec obstałoby ciasno kobiety piekące placki kartoflane.

A tymczasem, cały ten czas, brama stała otworem. Proszę na to zwrócić uwagę. A za bramą najpiękniejsza wiosna świata, ta ziszczona i wymodlona, mały zagajnik pokryty pierwszym, żółtym puchem, wczoraj niedostępny jakby na księżycu, dziś zaofiarowany. A dalej, w połowie lesistego wzgórze, przegub

drogi, właśnie tej naniesionej na sabotażowe mapki, prowadzącej na północny wschód, wyuczonej na pamięć.

Oczywiście, głód dał się bardzo we znaki tym kobietom, nic też dziwnego, że placki kartoflane były w pierwszej kolejności, a ich niespodziewana obfitość wydarzeniem znacznie bardziej doniosłym niż dwa zwichrowane skrzydła bramy, rozwarte z takim rozmachem, że aż ich końce zaryły się w wiosennym błocie. Zachęcający ten gest długo miał pozostać bez odpowiedzi. Z kominą buchał dym, wesoły, triumfalny, a rozmowy przy piecu miały coś z owadziego brzęku. Ile razy słyszę pszczoły, pierwszy raz wypuszczone z ula wiosną, gorączkowo sycące się sokiem pierwszych kwiatów, tyle razy przypomina mi się Pieśń Kobiet Piekących Placki Kartoflane, która czeka jeszcze na swojego kompozytora.

Powoli, jednak, przy oknach zaczęły tworzyć się grupki i rosły na niekorzyść tamtego zbitego roju od pieca. Za bramą, polem, przeszedł esesman niedbałym krokiem. Był w rozpiętym mundurze, bez pasa, bez broni. Jakto, na co oni czekają, nie pouciekali jeszcze?

— To pułapka — zawyrokowała któraś. — To prowokacja! Mają karabin maszynowy nacełowany na bramę.

Koło południa jednak parę z nich śmielszej natury wymknęło się na zewnątrz. Z okien bloków obserwowano straceńców. Nikt jednak nie strzelał, w esesmańskich domkach życie jakby zamarło. Pędem pobiegły do zagajnika, ziemia była rozmiękła, lepiła się do trepów, powietrze odurzało. Można było iść ścieżką na prawo, albo na lewo, można było usiąść na kępce mchu, samej, sobie.

Oczywiście, dało to okazję do wielkich, lirycznych uniesień, znowu do śmiechu i płaczu. Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby doszło nawet do klękania na ziemi, obejmowania drzew i tym podobnych manifestacji. Uważały jednak bardzo, żeby się nie potracić z oczu nawzajem. Nie wyszły też dalej, poza drogę, która graniczyła z lasem. Kręciło im się w głowach jak ludziom przeniesionym zbyt nagle na wielkie wysokości. Wreszcie zawróciły w stronę obozu. Niewidzialne macki wciągały. Gdzie było zresztą iść?

Po południu odbyło się coś w rodzaju wiecu. Przepraszam, było to pierwsze historycznie walne zebranie byłych więźniów.

— Będziemy czekały na miejscu, aż przyjedzie Czerwony Krzyż i „obejmie” obóz — zdecydowały prawie jednogłośnie. Zostało jeszcze kartofli, są koce i dach nad głową, gdzie iść na noc i ziąb? Najdalej jutro zjawią się Amerykanie.

Wyjątki, które chciały ryzykować nocleg pod gołym niebem, chociażby w tym zagajniku, w bliskości kartofli, ale przecież nie w obrębie drutów, przegłosowano bez trudu. Mogły zrobić to indywidualnie, wojna się skończyła, każdy urządził się jak chciał. Wszystkie zostały. Wieczorem, najpoważniej w świecie, roztrząsano kwestię, czy by nie podeprzeć bramy od wewnątrz. W pewnym sensie wybrały obóz, adoptowały go, stał się ich



wspólnym dobrowolnym noclegiem, mało że nie domem, gdy z lasów mogło coś się przybłąkać i podebrać kartofle w piwnicy.

Poszły spać, zmęczone i syte, każda na swoją koję, za swoim tobołkiem pod głową, z plackiem odłożonym na śniadanie. Tak minął pierwszy dzień wolności. Dla wielu z nich pierwszy i jedyny.

Nazajutrz, o świcie, obudziła je syrena i to nie było sennym koszmarem. Przy normalnie zamkniętej bramie stał esesman z karabinem, w pasie. Wieczorem wypędzono je w transport. Do końca wojny brakowało jeszcze trzy tygodnie — cała wieczność, jak się przez nią przeprawić?

Opowiadanie to ma tylko pozory przypowieści, wszystko zdarzyło się naprawdę w czasie i w przestrzeni. Gnane dniem i nocą po drogach miażdżonych czołgami, czasem pod prąd kłęsce, czasem razem z nią, w kółko, na ślepo, bez sensu, widziały przed sobą niejedną raz miraż bramy otwartej na daremnie. Krąg zacieśniał się, konwojenci popychali, szczuli, pędzących i pędzonych ogarniała wspólna panika. Góry trzęsły się, wielki smok ryczał, rył ziemię pazurami w agonii, rozdzierał ostatnie ofiary. Ież z nich, zostawionych gdzieś w rowie, nie wierzyło aż po trzask kuli, aż po błysk ciemności że teraz jeszcze się umiera...

Myślę więc, wracając z walnego zebrania, o nich, o sobie, o nas. Któż mi zaręczy, teraz, po latach, że był naprawdę taki dzień, kiedy brama stanęła otworem? Nie wiem. Szczęśliwi, którzy zdążyli najeść się przynajmniej placków kartoflanych.

Zofia ROMANOWICZOWA

Mamy zaszczyt podać do wiadomości  
Polaków w świecie

że z dniem 21 stycznia 1955 roku przejeśliśmy  
istniejącą od 82 lat i zasłużoną firmę  
wydawniczo-księgarską

**POLISH AMERICAN BOOK CO**

1136 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. USA

W związku z tym do firmy tej zostało włączone  
przedstawicielstwo

„Kultury”, „Wiadomości” i „Orla Białego”.

POLISH AMERICAN BOOK CO.

Józef F. BIAŁASIEWICZ

Marian GAWUĆ

## Dolina Issy

XLI

Nastąpiła wreszcie wiosna niepodobna do żadnej innej w życiu Tomasza. Nie tylko przez wyjątkową nagłość topnienia śniegów i gwałtowną siłę słońca. Również przez to że nie czekał biernie aż rozwiną się liście, na trawniku ukażą się żółte kłuczyki świętego Piotra a w krzakach odezwą się wieczorami kłaskania słowików. Wychodził wiosnie naprzeciw, ledwo naga ziemia zaczęła dymić pod światłem bez chmur i na drodze do Borkun śpiewał i gwizdał, wymachując kijem. Las za Borkunami, w który zaszył się zaraz po południu, wywoływał chęć, żeby wyskoczyć z własnej skóry i zamienić się w to wszystko naokoło, coś od wewnątrz rozsadzało aż do bólu i wrzasku zachwyty. Jednak zamiast wrzeszczeć skradał się cicho, tak żeby żadna gałązka nie trzasnęła pod nogą i na najmniejszy odgłos czy szmer kamieniał. Tylko w ten sposób przenika się w świat ptaków, te boją się nie kształtu człowieka ale ruchu. Koło niego spacerowały nakrapiane drozdy, które umiał odróżnić od kwiczołów (te pióra na głowie mają niebieskawe a nie szarobrazowe), odkrył, obchodząc wysoki świerk, że grubodzioby tam uwiły już gniazdo, co do gniazda sójek, to byłby je przegapił, gdyby nie ich niespokojne skrzeczenie. Tak, to tu, ale tak schowane, że z dołu nikt by się nie domyślił. Na tym młodym świerku gałęzie zaczynały się tuż przy ziemi, wspinał się najpierw z łatwością, ale im wyżej tym trudniej, bo gęsto, kolce igieł siekły go po twarzy i spocony, podrapany wynurzył głowę na szczycie tuż przy gnieździe. Chwiał się uczepiony cieniutkiego tu pnia a one atakowały go z góry desperacko, z wyraźnym zamiarem żeby uderzyć dziobem i w ostatniej dopiero chwili zwyciężał strach, zwijały się w miejscu, zawracały, żeby za chwilę ponowić napaść. Znalazł cztery jajeczka niebieskie w rdzawe plamki,



ale ich nie ruszył. Dlaczego większość leśnych ptaków składa niebieskie jajeczka? Nikt nie potrafił tego mu wyjaśnić. Tak już jest. Ale dlaczego? Zsunął się zadowolony z osiągnięcia celu.

Wracał upojony spostrzeżeniami, przede wszystkim leśną wiosną, której piękność nie polega na niczym z osobna, na chórze nadziei złożonym z tysiąca głosów. Na ostrych szczytach, czarnych na tle nieba zachodu wyciągały swoje melodie drozdy (*turdus musicus* a nie *turdus pilaris* i nie *turdus viscivorus*! Tylko głupcy mieszają te gatunki). W górze pobekiwały bekasy jak baranki biegające gdzieś bardzo daleko za barwą różowo-zielonego jedwabiu. Antonina utrzymywała oczywiście słysząc takie odgłosy, że to czarownica Ragana jeździ na diable zamienionym w latającego kozła i męczy go ostrogami. Ale Tomasz wiedział że ten bek to nic innego niż specjalny świst ich piór.

Barbarce ofiarował bukiet z różowych kwiatów wilczego łyka pachnących jak hiacenty. Przyjęła z łaskawą miną. Pan Romuald w zmierzchu oglądał pod światło lampy wnętrze łuf dubeltówki. Powiedział coś wskutek czego Tomasz zaniemówił i pewnie zbladł z zazdrości. Może litość a może pochlebna opinia o zdolnościach Tomasza do wcielania się w leśne duchy sprawiła, że zapytał: „Pojedziesz?”

Szczęście zamącała odpowiedzialność. Podkradanie się do głuszcza na tokach uchodzi za trudną umiejętność. Jedno nieostrożne stąpienie i już przegrana myśliwego a Romuald zabierał go ze sobą zgadzając się, żeby z nim razem do głuszcza podchodził. Honor Tomasza zależał teraz od tego, czy nie zawiedzie zaufania.

Obyczaje tego ptaka znał ale nie widział go nigdy, nie trzymały się koło Borkun, tylko w głębi, daleko od ludzi: ptak, symbol prawdziwej puszczy. Tylko dwa albo trzy kroki można zrobić przy końcu każdej jego pieśni kiedy głuchnie i obojętnie na to co się odbywa w ciemności pod nim — bo tokuje jedynie o świetle, w porze między topnieniem śniegów i pierwszą zielenią.

Powstaje podejrzenie co do rodzaju egzaltacji w jaką Tomasz wpadał na każdą wiadomość o głuszcach i w ogóle pod wpływem wszystkiego co odnosiło się do przyrody. Czy wyobrażenie ptaka dużego jak indyk, z wyciągniętą szyją i rozstawionym wachlarzem ogona go podniecało, czy raczej wyobrażenie siebie samego, skradającego się w półmroku? Czy zanurzając się w gąszczu, niemy i ostrożny, albo słuchając grania gończych, nie doznawał zdziwienia że jemu samemu przypadło uczestniczyć w niezwykłych przygodach, jak prawdziwemu myśliwemu? A więc widział nie tylko szczegóły naokoło, ale także siebie widzącego te szczegóły czyli zachwycał się rolą w jakiej występował. Na przykład to wygięcie jego stopy przy podchodzeniu zwic-

rzyny — w tym wygięciu wyrażała się świadomość własnej zrzęcości, trochę za mocna. Ale przecież dorośli nie mają racji jeśli wierzą że nie bawią się tak samo. Niech się przyznają, że ciekawość jak ktoś się czuje w roli kochanka ważniejsza dla nich bywa niż obiekt miłości. Chcą (nieprawdaz?) smakować swoją sytuację i zyskać w ten sposób tytuł do dumy. Ich gesty i słowa muszą wtedy być trochę fałszywe, bo odgrywane przed sobą, pod kontrolą, w imię zbliżenia się do ideału jaki sobie wyznaczyli. Żądają żeby ich uczucia do bliskich im osób odpowiadały ich własnemu obrazowi miłości, jeżeli brak im uczuć takich jakich potrzeba, fabrykują i zrzęcznie siebie przekonują że są prawdziwe. Aktorstwo polegające na tym, że jest się kimś, a równocześnie, drugą częścią siebie, stwierdza się że się jest tym kimś niezupełnie, jest ich specjalnością i Tomasz tutaj powinien być wzięty w obronę.

Zresztą fanatyzm z jakim dzielił ludzi na godnych i niegodnych, zależnie od tego czy odgadywał w nich pasję czy nie, świadczył o wygórowanych wymaganiach jego serca. Ponieważ ptaki uznał za najwyższe piękno, ślubował pozostać im wierny i swoje powołanie realizował z uporem. W jego ruchach, za nadto przepisowych, ujście znajdowała wola, to zacięcie zębów: chcę być właśnie taki jak zamierzyłem.

Bryczką Romualda zaprzęzoną w jednego konia wyjechali na jutro zaraz po południu. Piaszczysta droga z głębokimi koleinami przecinała las i dalej wiała się szeroką przestrzenią wrzosowisk, na których z rzadka stały sosny — nasienniki, albo kępki młodych przezroczystych sosenek, których sporo połamały jak trawę śniegi i wiatry zimy. Wrzosowiska nie wzbudziły sympatii w Tomaszu z powodu ich jałowego wyglądu tak różnego od roślinności nad Issą a także koło Borkun. Za nimi las mieszany i tam Romuald szukał dróżki-skrótu, używanej do wożenia drzewa. Było tu już dostatecznie sucho, żeby nie obawiać się ugrzęznąć. W cieniu kopyta stukały czasem o płaszczyznę stwardniałego śniegu. Wynurzyli się na gościniec okopany rowami, po pół godzinie otworzył się widok na rozległą polanę, na której dymiły kominy wioski. — To Jaugiele — powiedział Romuald. — Tutaj wszyscy oni to sami kłusownicy.

Na tle czarnego lasu nagie gaje i chrusty błękitniały w wieczornym świetle, układały się na nich warstwami pasma mgły. Między bukietami olch natrafili na mostek i groblę do leśniczówki. Z gniazda na dachu bociany które chyba właśnie wróciły ze swojej podróży, pokazywały kłębienie się dziobów i skrzydeł. Pies ujadął naprężając łańcuch a Romuald zląkł z siedzenia przed drzwiami z ulgą, prostując kości. Wysoka kobieta w ciemnozielonej spódnicy która stanęła w drzwiach objaśniła że męża



nie ma, że poszedł na toki i nocuje w lesie. Zapraszała do środka, ale musieli jechać dalej, jeżeli chcieli odnaleźć go przed nocą. Napili się więc tylko mleka, które im wyniosła w glinianym dzbanku. Kierując się tak jak im pokazała — na prawo, za sosną z barcią na lewo, koło rojstu znowu na prawo — dostali się wreszcie na szlak pokryty białymi trzaskami i ściółką z obciętych gałęzi. Ciemno już było zupełnie, okorowane kłocę połyskiwały z boku tu i ówdzie. Aż z daleka zobaczyli ognisko.

Daszek z sosnowych bierwion ustawiony ukośnie wspierał się na słupkach, odbłask płomieni zabarwiał go na ciemną miedź. Na rozłożonych kozuchach siedziało dwóch chłopów i oczywiście Tomasz zaraz zauważył lufy dwóch strzelb opartych o pochyłość. Gajowy i ten drugi zapewniali że toki są akurat w pełni, chyba że deszcz ale nie powinno być, słońce zachodziło na pogodę. — A on — zapytał gajowy pokazując na Tomasza, co, też na głuszca? I gładził wąsy, chowając pod nimi obrażający uśmiezek. Kręcił głową i oglądał go uważnie a Tomasz zmieszał się pod tym spojrzeniem.

Pęki iskier wybuchały, wirowały w górę, rozptylając się w miękkiej czerni. Wyciągnął nogi do ogniska i to grzało mocno przez podeszwy butów. Leżąc na posłaniu z jedlinowych łapek przykrywał się swoim kożuszkiem, szum przebiegał niewidocznymi wierzchołkami sosen, sowa krzyczała gdzieś daleko. Mężczyźni gadali ciągnąc rozwlekle słowa o czymś ślubie, o jakimś procesie, że ktoś komuś zaoarał granicę. Co pewien czas jeden z nich wstawał i wynurzał się z ciemności ciągnąc pień suszu który ciskał na ogień. Usypiany szmerem rozmowy, przewrócił się na bok i drzemał, ni to we śnie ni to na jawie docierały do niego ich głosy i syczenie płomieni.

Szarpięty za ramię, zerwał się. Ognisko dogasało w wielkim kręgu popiołu. W górze iskrzyły się gwiazdy, bledsze po jednej stronie nieba. Trząśnięcie się z chłodu i oczekiwania.

## XLII

Szli w zupełnej ciemności. Cicho, tylko czasem stuk buta o korzeń, szurnięcie lufy o nawisłe gałęzie. We trójkę: przyjaciel gajowego próbował szczęścia na innych stanowiskach. Ścieżka zwężała się, zamiast zapachu igliwia zaczęło zanosić moczarem. Kałuże błyszczały w szarym poblasku przedświt. Brnęli w wodę, albo omijali ją czepiając się olch. Potem balansowali na oślizgłych kłodach rzuconych tu jako kładki, między widmami suchych trzciny.

Ni to grobla ni to dukt. Z lewej strony rów, z niego w ciszy

rozlegało się kumkanie żaby. Za rowem majaczyły karłowate sosenki rojstu. Z prawej strony ciemna masa lasu jaki rośnie na podmokłych gruntach. Tomasz rozróżniał w jego wnętrzu jaśniejsze pnie i wijące się korzenie zwalonych drzew, płatawisko nagiej łoży, łomu i wykrotów. Na wprost nich niebo podpyływało różowością i kiedy zatrzymać na nim wzrok, wszystko nakoło wydawało się bardziej czarne.

Przystawali, nasłuchując. W pewnej chwili Romuald ścisnął go za ramię: „To on”, powiedział szeptem. Ale Tomasz nie zaraz schwycił ten dźwięk. Nie więcej niż westchnienie przytłumione przez odległość, tajemniczy sygnał, nie przypominający niczego na świecie. Jakby ktoś kuł — ale nie, jakby odkorkowywał butelki, i też nie to. Uścisnęli sobie ręce z gajowym który zaraz zniknął.

— Tymczasem można podchodzić tak, tylko ostrożnie. On daleko, nie słyszy — zamruczał mu Romuald. — Potem to uważaj.

Niosąc strzelbę w jednej ręce, utrzymując równowagę drugą, zagłębił się między haszcze. Tomasz za nim, z całą uwagą napiętą żeby unikać łomotania. Tylko jak unikać? Noga, zanim dosięgła gruntu, napotykała na pokłady suchych badyli, te pękały z hałasem. Wyświdrowywał dziurę butem w ich siatce nim stąpnął, albo wybierał kępy mchu. Tak, głuszec potrzebował prawdziwej puszczy, żeby go chronić. Barykady pni leżących jeden na drugim zagradzały im drogę i Romuald wahał się — przelażać pod spodem czy górą. Dźwięk odzywał się teraz już wyraźniej. Jakby wydzierane z wysiłkiem brzmiało tek-ap, tek-ap, coraz prędsze.

Taka scena trwa w pamięci na zawsze. Przede wszystkim olbrzymość osin, jeszcze większych przez oświetlenie perłowe, ni to nocy ni to dnia, a między ich konarami już jaskrawość zapowiadająca wschód słońca. Korzenie, jak gigantyczne palce wczepione w wilgotny mrok, pęd walców w górę, w światło. Romuald, zaledwie mrówka przy nich, przedzierający się z podniesioną strzelbą. I ten dźwięk. Tomasz zrozumiał dlaczego tak ceni się to polowanie. Żadnej irnej pieśni równie ściśle wyrażającej dzikość wiosny nie umiałaby wynaleźć natura. Nie melodia, nie wdzięczny tręł — nic więcej niż stukanie bębna, który przyspiesza rytm, tętna wałą w skroniach aż pieśń głuszca i bęben tłukący się w piersi zlewają się w jedno. Bez podobieństwa do głosu żadnego innego ptaka, nie poddający się opisowi, dźwięk.

Tomasz nasładował we wszystkim Romualda. Kiedy ten odwrócił się i dał znak, zatrzymał się. Więc już. Teraz będą tylko skakać. Głuszec przerwał. Cisza. Wysoko przeleciały drob-



ne ptaszki z ostrym świergotem. Znów zaczynał. Tek-ap i coraz prędzej, coraz prędzej aż nowy odgłos się dołączył — jakby ktoś ostrzył nóż i wtedy Romuald dał skok, drugi i stał nieruchomo. Tomasz nie ruszył się wcale, bo bał się, zanim nie podchwyty tempa. Ale w momencie kiedy głuszec zaczynał nową serię, był już przygotowany i słysząc szlifowanie skoczył równocześnie z Romualdem. Raz, dwa, trzy — pojął że tyle czasu ma się do rozporządzenia, bo ptak głuchnie i można nawet hałasować, byle zaraz zamienić się w martwą rzecz.

Raz, dwa, trzy. Koncentrował się cały na tej czynności i modlił się: „Panie Boże spraw. Panie Boże spraw”. Nie wolno, żeby nie wiedzieć co, poprawiać się. Gdzie stanęś tam czekaj. Ale jedna noga Tomasza wysunęła się szukając oparcia w kępie mchu, i już po „trzy” zeslizgiwała się w wodę, błoto bulgotało głośno. Mógłby cofnąć ją przyciągając się do drzewka za nim, ale to by chyba zaskrzypiało. Więc grzązł z rozpaczą, a Romuald mu pogroził.

Stracił jedną piśnię na wydobywanie nogi z bagna. Znów skakał w pewnej odległości za Romualdem i niepokoił się że wpadną na głuszca, bo ten tokował teraz, zdawało się, bardzo blisko. Obliczając gdzie postawi nogę, przygotowywał się, kiedy nic nie nastąpiło. Minuty biegły i nagle w gęstwinie przed nimi trzepot skrzydeł. Koniec. Odleciał. Przerażony, wzywał wzrokiem Romualda żeby się odwrócił.

Nie, głuszec zagrał, tak samo, jakby trochę wyżej. Zmienił tylko gałąź? Tomasz z przysiadów Romualda i jego wypatrywań odgadł, że układa plan, bada któredy najbezpieczniej zbliżyć się nie będąc spostrzeżonym. Nad dachem lasu niebo już jasne, promienie zabarwiły czerwono grupę osin przed nimi. Tam skierował się wielkimi susami Romuald i wezwał go gestem ręki.

Głuszec, wysoko, w luce między świerkami. Zadzierając głowę, przyklekając na mchu Tomasz oglądał go zza pnia. Wydał mu się mały, prawie jak kos. Opuszczone skrzydła, ukośnie sterczący wachlarz ogona, szare na tle zupełnie czarnego świerku na którym siedział. Plecy Romualda, zgiętego w pół, zanurzały się w iglaste zasłony, zachodził z boku.

Strzał. Tomasz widzi odrywanie się głuszca od gałęzi, bez żadnego ruchu skrzydłami, długą smugę spadania, słyszy łoskot uderzenia w ziemię, drugie echo za echem strzału. Przeciąga językiem po spieczonych wargach. Jest w nim szczęśliwość i dziękczynienie Bogu.

Z metalicznym połyskiem, czerwoną brwią, dziobem jak z białawej kości, kiedy wzięty za głowę przez Tomasza i podniesiony na wysokość ramienia, zwieszał mu się aż do stóp. Pod dziobem jakby broda z piór. Nie znał ludzi, może raz czy dwa

słyszał z daleka ich głosy. Ani ciotka Helena, ani książki, ani buty, ani budowa strzelby nic go nie obchodziły i nie wiedział, że ją Romuald i Tomasz, nie wiedział i nigdy się nie dowie. Udzielił piorun i zabił. A on, Tomasz przebywał za piorunem, z drugiej strony, spotkali się tak jak mogli się spotkać i trochę żał że nigdy inaczej, tylko tak. Właściwie tęsknił do porozumienia z różnymi żyjącymi istotami, takiego jakiego nie ma. Czemu ta przegroda i czemu jeśli się kocha naturę trzeba zostać myśliwym? Nawet jego puchacz: nie spełniło się tajne marzenie, że któregoś dnia przemówi albo zrobi coś na dowód, że na chwilę przestaje być puchaczem. A ponieważ nie spełniło się, pytanie, co dalej kiedy już trzyma się go w klatce. Móc samemu przybrać inną postać, głuszca chociażby, też niemożliwe i co pozostaje, to nieść zabitego ptaka i wchłaniać jego zapach, zapach dzikiego wnętrza gęstwiny.

Słońce wschodzi. Te same wykroty i plamy mazi pod skłębionymi pękami łóz już były mniej niezwykle, szybko znaleźli się przy rowie, od którego nie oddalili się tak bardzo jak sądził. Smakował ich marsz wzdłuż rowu: drapieżna jutrzienka w chaosie pogiętych, opartych jedne o drugie sosen, mężczyzna z pręgą dubeltówki, z sinym dymkiem papierosa, i on, dźwigający zdołbycz.

### XLIII

Życie ludzi, którzy nigdy, wychodząc rano przed dom, nie słyszeli bulgotu cietrzewi, musi być smutne, bo nie poznali prawdziwej wiosny. Nie nawiedza ich w chwilach zwątpienia pamięć godów weselnych, które gdzieś odprawiają się niezależnie od tego co ich samych gnębi. A jeżeli ekstaza istnieje, to czy ważne jest że to nie oni jej doznają, ale kto inny? Liliowe kwiaty z żółtym pyłkiem wewnątrz wylażą spomiędzy igliwia, na łodyżkach obrośniętych aksamitnym puchem, kiedy cietrzewie-koguty tańczą na polankach, wlokąc po ziemi skrzydła i ustawiając prostopadle ogon-lirę, atramentową z białym podbiciem. Ich gardła nie mogą pomieścić nadmiaru pieśni, wydymają się tocząc kulę dźwięku.

Romuald nie strzelał ich w samych Borkunach, dbając o zwierzostan w najbliższym sąsiedztwie. Brzezinka w której rzedowały żmije graniczyla z młodym sośniakiem i upodobały sobie to miejsce na toki. Drzewka rosły tam rzadko, ale bujne, z gałęziami kładącymi się na ziemię. Między nimi jak parkiet, niziutkie mchy, liszaje siwego koloru, gdzieniegdzie kępki brusznic. Do polowania buduje się zwykle w takich okolicach szałas z wewnątrz podobne do krzaków, myśliwy chowa się tam przed świ-



tem i czeka, mając przed sobą sałę balową cietrzewi. Tomasz stawiał za punkt ambicji, żeby używać tylko własnej zręczności. Polował bez strzelby, jako zadanie wyznaczał sobie podkraść się tak blisko, że gdyby miał broń na pewno by nie chybił.

Mleczne mgły i dziecinna różowość nieba. Takie mgły mogą zdarzyć się o każdej porze roku, czym różnią się od innych, że zapierają oddech swoją pogodą? Wśród nich, na bieli rosy albo szronu, lśniaco-czarne koguty, wielkie żuki z metalu. To co wybrały sobie za teren miłosnych harców jest czarodziejskim ogrodem. Tomasz pełzał na czworakach i podglądał, ale zbliżyć się udało mu się tylko raz, drugi raz był to cietrzew który czuszył siedząc na sosence: przezroczyste krople na końcach igieł błyszczały i mieniły się, a ptak był centrum przestrzeni, równy dla Tomasza planecie. I co najważniejsze poleciał sam, nie przestraszony jakimś nieostrożnym stąpieniem. Czapka-niewidka — tej pragnął Tomasz, ale i bez niej umiał czasami zostawać niewidzialnym.

Wiosna nabiera mocy i kwitną czeremchy, aż na brzegu Issy mroczy od ich gorzkiego zapachu, dziewczęta unoszą się na palcach i zrywają kiście kruchych, łatwo osypujących się kwiatów, wieczorem na łące za wioską bębenek i trąbka krążą w kółko w monotonnym tańcu suktinis. A zaraz już dom w Giniu zanurza się w obłokach liliowego bzu.

Czterozębna ość na długim kiju którą Tomasz niósł kiedy Pakienas albo Akulonis szli na narestujące szczupaki, nie znalazła się w tym roku w jego ręku a sznurek na jego wędkach zaraził się rdzą od haczyków. To nawet powodowało wyrzuty sumienia. Ale zbyt wiele miał pilnych zajęć. Zarówno u pana Romualda, jak w Borkunach starej Bukowskiej, dokąd nie pociągała go co prawda ani ona, ani Dyonizy, ani Wiktor, tylko jezioro.

Jezioro było małe, ale nigdzie do niego nie przylegało pole, nie wiodła do niego żadna droga i to stanowiło o jego wartości. Naokoło moczar, jedną tylko ścieżką i też chlapiąc się do kostek można było dostać się na jego brzeg. Obrastały je wysokie trzciny, ale Tomasz odkrył zatoczkę z otwartym widokiem i tam przesiadywał nieruchomo na olchowym pniu. Gładkość zupełna, tafla drugiego nieba, a wodny ptak przepływając włócił za sobą długie fałdy. Bo jezioro miało mieszkańców i na ich pojawienie się zawsze wyczekiwał. Kaczki obniżały się ze świstem i długo szły nad samą powierzchnią, dotykając jej trójkątami skrzydeł, aż maciły ją i falki od nich biegly ku niemu. Na te kaczki czatowały jastrzębie kwilące wysoko i raz był świadkiem napaści jastrzębia w powietrzu na kolorowego kaczora, któremu udało się uciec w trzciny. Jednak najbardziej chciał wysłedzić obyczaje

perkozów. Czasem wynurzały się tak blisko przy nim, że mógłby rzucić kamieniem: różowy dziób, czubek i na białej szyi rdzawe bokobrody. Co znaczyły ich dziwaczne ceremonie na środku jeziora? Szyje zamieniały w węże, smużyły po wodzie z ogromną szybkością, a te węże wyginały w łuk, głowę trzymając nisko. Ich pęd dziwił, bo skąd się brał jeżeli nie leciały i ledwo tykały wody? Jak motorowe łódki na ilustracjach babki Dilbinowej. I po co? Pytał Wiktor, ale ten na to zaśmiał się tylko i powiedział: „Gogo się go gugne”, czyli: „Gonią się bo durne” co oczywiście nie wystarczało jako przyrodnicze wyjaśnienie.

W ogóle Wiktor nie bardzo nadawał się jako towarzystwo, z powodu swego jąkania się i drewnianości. Orał, bronował, podrzucał w drabinki karm dla koni i krów, a nawet doił krowy z dziewczyną co u nich służyła, zawsze zapracowany i trochę popychadło. Może nauczył się jąkać ze strachu przed matką. Stara Bukowska siedząc, rozstawiła szeroko kolana, między nimi wielki brzuch, na kolanach opierała ręce ściśnięte w kulak. Między tą zwykłą jej postawą a graniem na gitarze z przewracaniem oczami kiedy wpadła w dobry humor, istniała duża różnica i Tomasza jej śpiewy raziły, jakby wół udawał słowika.

Bukowska hodowała dużo kaczek i jeden szczegół ich dotyczący dał Tomaszowi do myślenia. Kaczki łąziły koło domu i szczypały trawę, albo próbowały taplać się w dołku na dnio którego woda zbierała się tylko po deszczu, poza tym nic prócz wilgotnego mułu, w suszę pękającego w zygzakowate rysy. „Czemu one nie idą do jeziora?” — zapytał. Wiktor skrzywił się jakby pogardliwie i jego odpowiedź po wylusowaniu jej z gdańka, sprowadzała się do: „Ba, żeby one wiedziały!” Nie wiedziały, że tuż obok jest raj nurkowania w ciepłej wodzie pełnej wodorostów, szerokich liści na sennej toni, zakamarków w sito-wiu. Patrząc na te płaskie dzioby sunące z mlaskaniem, na ich miny (te spuchnięte policzki), Tomasz litował się nad ich śmiesznym ograniczeniem. Cóż łatwiejszego jak wybrać się w wędrówkę do jeziora? Byłyby tam w dziesięć minut. Niejasną filozoficzną myśl miał doprowadzić do końca dopiero w kilka lat później. Ludzie są biedni. Zupełnie jak te kaczki.

Piękno tej wiosny kiedy miał już skończonych dwanaście lat, nie uchroniło Tomasza od pewnych niepokojów, a może w jakiś sposób do nich się przyczyniło. Po raz pierwszy zauważał że on sam to niezupełnie on sam. Jeden taki jak to sam w środku czuł, a drugi zewnętrzny, cielesny, tak jak się urodził i nic tu nie należało do niego. Barbarka, mówiąc o nim „szutas” nie znała jego podziwu dla niej, gdyby znała, takby go nie skrzywdziła. Oceniała go z zewnątrz, a ta zależność od własnej



twarzy („Tomasz ma twarz jak tatarska dupa”), od gestów i ruchów za które ponosi się odpowiedzialność, ciążyła mu bardzo. A jeżeli on nie jest taki jak inni, tylko gorszy, inaczej urządzony? Romuald na przykład jest żyłasty, suchy, kolana ma ostre — i Tomasz macał się po udach, znajdując że za grube, stawał bokiem przed lustrem i oglądał wystające siedzenie, natomiast, jeżeli rozległy się czyjeś kroki, udając że miał tylko lustro i nie zatrzymywał się przed nim. Włosy układają się innym na dwie strony, od przedziałku, brał szczotkę i próbował je zaczesać, ale równie dobrze mógłby sierść psa zaczesywać w przeciwną stronę, nic z tego nie wychodziło.

Więc mieszka się w sobie, jak w więzieniu. Jeżeli inni z nas kpią, to dlatego że nie przenikają w naszą duszę. Nosi się w sobie obraz siebie z duszą zrośniętego, ale jakieś jedno cudze spojrzenie wystarczy żeby jedność rozerwać i pokazać że nie, że nie jesteśmy tacy jak nam by się podobało. I później chodzi się będąc w sobie, a równocześnie oglądając siebie z udręką. Tym bardziej tęsknił do swego Królestwa Puszczy, którego plan chował w szuffladzie zamykanej na kluczyk. Po namyśle doszedł do wniosku, że kobiet tam nie będzie się w ogóle wpuszczając, ani takich jak Helena, ani jak Bukowska, ani jak Barbarka. Mężczyźni też potrafili przymrużać oczy i patrzeć zimno, ale to pozostaje w jakimś związku z kobietami, najczęściej w ich obecności. Mężczyźni, jeżeli ich umysł skierowany jest ku celom szlachetnym, nie troszczą się o takie głupstwa jak kto wygląda.

Liście lip koło domu w Giniu z drobnych pączków rozwinęły się w wielkie zielone ręce i zakryły dzwonek wiszący w zmurszałym domku wysoko w rozwidleniu pnia. Tego dzwonnika nigdy za pamięci Tomasza nie używano, nie zwieszał się z niego żaden sznur i nikt nie zdołałby się tam wdrapać. Po południu na nabożeństwie majowym w kościele światło padające przez okno było żółte, pachniały kwiaty koło niebieskiej Matki Boskiej.

Ciepłe deszcze. Po nich na ścieżkach zostają ławice czekoladowego ilitu, w którym ostatnie strumyczki żłobią sobie przejścia. Stawia się stopę i wtedy z między palców wyłazi miękkie ciasto. A potem woda napełnia wgłębienie wyciśnięte piętą.

#### XLIV

Okno pokoju babki Dilbinowej było otwarte i słowik, choć jeszcze jasno, śpiewał w zaroślach nad sadzawką. Przebudziła się z ciężkiego snu pełnego przywidzeń, zdawało się jej że ktoś stoi nad łóżkiem. „Artur!” zawołała. Ale nie było nikogo

i uświadomiła sobie, że jest tu, że lata minęły i że złote litery na grobowej płycie musiały zmyć deszcze.

Broncia Ritter, z dwoma jasnymi warkoczami, łapiąca na szybko motyla żeby go wypuścić, patrzyła w wieczorne cienie na suficie, dwa kosmyki siwych włosów leżały na poduszce. Ściany domu w Rydze chroniły ją od zła i czas nie miał do nich dostępu. Zbyt szczęśliwe dzieciństwo a później spada się w przepaść, jeszcze nie wierząc że tylko to jest prawda, że nie rozlegnie się wesoły śmiech który obróci nieodwołalność w żart. Czym było to wszystko? Łyzeczka która nakłada konfitury i mieniący się jedwab sukni matki, siostra zawiązuje jej wstążkę, dzwonią drzwi wejściowe i ojciec kładzie na konsoli torbę w kraty, z którą wraca od pacjentów. Dlaczego stamtąd musiała jej być dana ta a nie inna droga? Niemożność zgodzenia się, żeby to przytrafiło się właśnie jej, musi się to uznać, ale się nie ogarnia, tylko smutna powieść którą zaraz się odłoży, nie, nie można jej odłożyć. Dlaczego ja?

Spadanie. To wtedy kiedy wracali z Arturem z kościoła i śnieg tajał jej na rzesach. Pełgające płomyki świec w kandelabrach i skrzypienie podłóg w domu który miał odtąd być jej domem. „Nie, nie!” To było jak odkrycie, że śmierć istnieje. Łańcuchy z papieru którymi przystraja się choinkę i dźwięk chórem śpiewanej kolendy i kwiaty i toczenie obręczy w ogrodzie — pękają, rozspływają się, a wyłania się spod nich okrucieństwo i tylko ono jest rzeczywiste. „Nie, nie!” Consumatio na wieki. Artur był dobry. Ale ona ulegała sile, potwornemu urządzeniu świata z którym on był oswojony. Zapach tytoniu i rzemienia wprowadzał ją w kraj, gdzie każdy przestaje być czymś innym niż przedmiotem, gdzie przystrojenia miłych obyczajów okazują się fałszem, nieudolnie kryjącym nagość prawa. I zdumione pytanie: więc to tak? Nikt nie buntuje się przeciwko temu, uświęcono i uznano a przecież żadne słowo nic tu nie łączy, nic tu nie zmienia.

Kim był Artur nie wiedziała, nawet wtedy kiedy jego wąsy rysowały kresy na jego twarzy jak z wosku, kiedy poprawiała knoty świec przy trumnie i myślała mimowoli: „rzecz”. Nakrecona sprężyna energii, która działała według własnej swojej zasady. Swoją gwałtowność tłumil ssąc cybuch fajki. Nie lubił opowiadać o sobie. Na plecach miał blizny od knuta. „To za bunt, w katordze” — kilka mrukliwych słów za cały opis. Jeździł reniferami tam gdzie albo ciągła noc, albo ciągły dzień, w tundrach Syberii. W lasach, w czasie powstania, jak zawsze prosty, szczupły, w czamarce, pas z klamrą. I czym się chlubił, to jak spadał z konia zabity przez niego oficer rosyjskich dragonów; strzelił do niego z dubeltówki, kulą, jak do dzika. Bo cel-



ność w strzelaniu była jego dumą zawsze. Notatki i rachunki po nim. „Matyldzie Żidonis rubli 50”. „T. K. rbs 20”. Domyślała się, że ją zdradzał, nigdy tego nie okazała po sobie. W testamentie legaty bez wyraźnego powodu, jakimś chłopom z okolicznych wiosek: jego synom.

Daty mieszają się, zimy, wiosny, małe zdarzenia, choroba, goście. Teodor urodził się w roku 1884 tak, nie miała wtedy jeszcze dziewiętnastu lat. Czy płakała tego dnia kiedy otrzymała wiadomość że utonął, kąpiąc się, Konstanty z którym byłaby szczęśliwa? Chyba nie. Nieruchome zapatrzenie w głąb czegoś, tak jak się patrzy na wiry strumienia albo na płomień. W kufrze zeszyt z lekcji rysunku, w nim jeden jego rysunek. Tu, dotychczas w kufrze.

Słowik krzyczał, odpowiadał mu drugi. Z okna ciągnęło wilgocią. Cokolwiek było, słabnie, chwije się, rozwiewa i człowiek modli się wtedy wołając o pomoc bo wątpi o tym że żył. Jeżeli gwiazda, która rozjarza się na zielonkawym niebie, naprawdę jest tak daleko, o miliony mil, jeżeli za nią krążą inne gwiazdy i słońca, a cokolwiek rodzi się mija bez śladu, tylko Bóg zdoła ocalić przeszłość od nie-znaczenia. Choćby przeszłość cierpień. Byle wolno ją było odróżnić od snu.

— Zamknij okno, Tomaszek, bo zimno.

Jej głos skrzypiał: zawiasy drzwi otwieranych powoli. Tomasz uchwycił ten nowy ton. Od dłuższej chwili przyglądał się jej. Palce splecione, koło podbródka pełne policzki obsunięte, oddzielone od niego wklęsłą linią. Szyja chuda, z dwiema fałdami skóry. Obróciła twarz ku niemu. Oczy, jak zawsze, niezupełnie zajęte tym co przed nią.

Wnuk. Dobra krew czy zła krew? Męskość i burzliwość Artura czy jej lęk przed ostrością wszystkiego, co tu na ziemi w nas uderza? Czy krew tych — dzikusów? Że Teodor nie był jak jego ojciec, tylko miękki i właściwie słaby, tylko ona ponosiła winę. I ponosiła winę za Konstantego. A ten chłopiec, mógłby okazać się kimś jak Konstanty, jeżeli po niej coś wzięł.

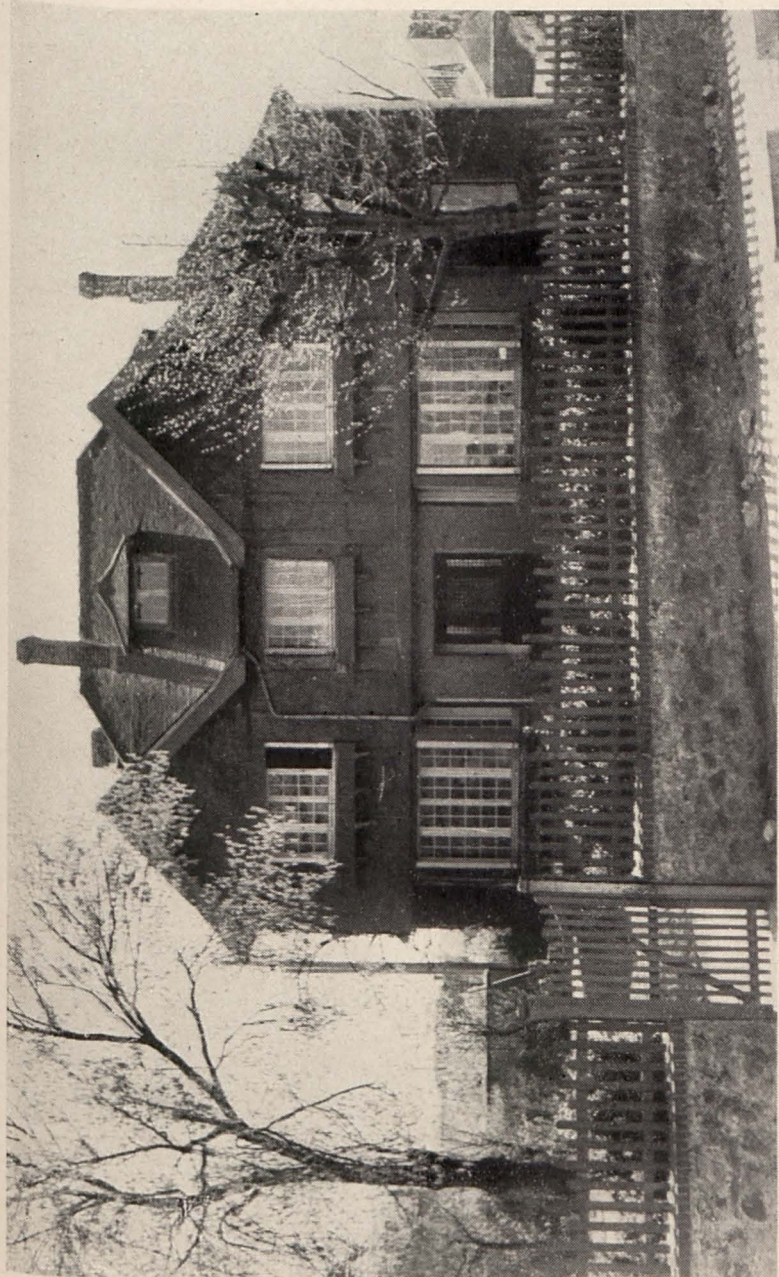
— Szatybełko przywiózł list, tu leży, o zobacz.

Na rogu stolika z lekarstwami kartki, pod nimi koperta. Pismo pochyle, skaczące, w którym nie rozpoznawał ani jednego wyrazu, to ojca. Pismo w którym niektóre litery oprowadzono atramentem drugi raz, jakby ze skrupułu, że mogą wydać się nieczytelne, to matki.

— Mamusia pisze, że przyjedzie teraz już na pewno, najdalej za parę miesięcy.

— Którędy? — zapytał.

— Wszystko już przygotowała. Wiesz że granica zam-



Front domu od strony ulicy.





Wejście do domu od strony ogrodu.

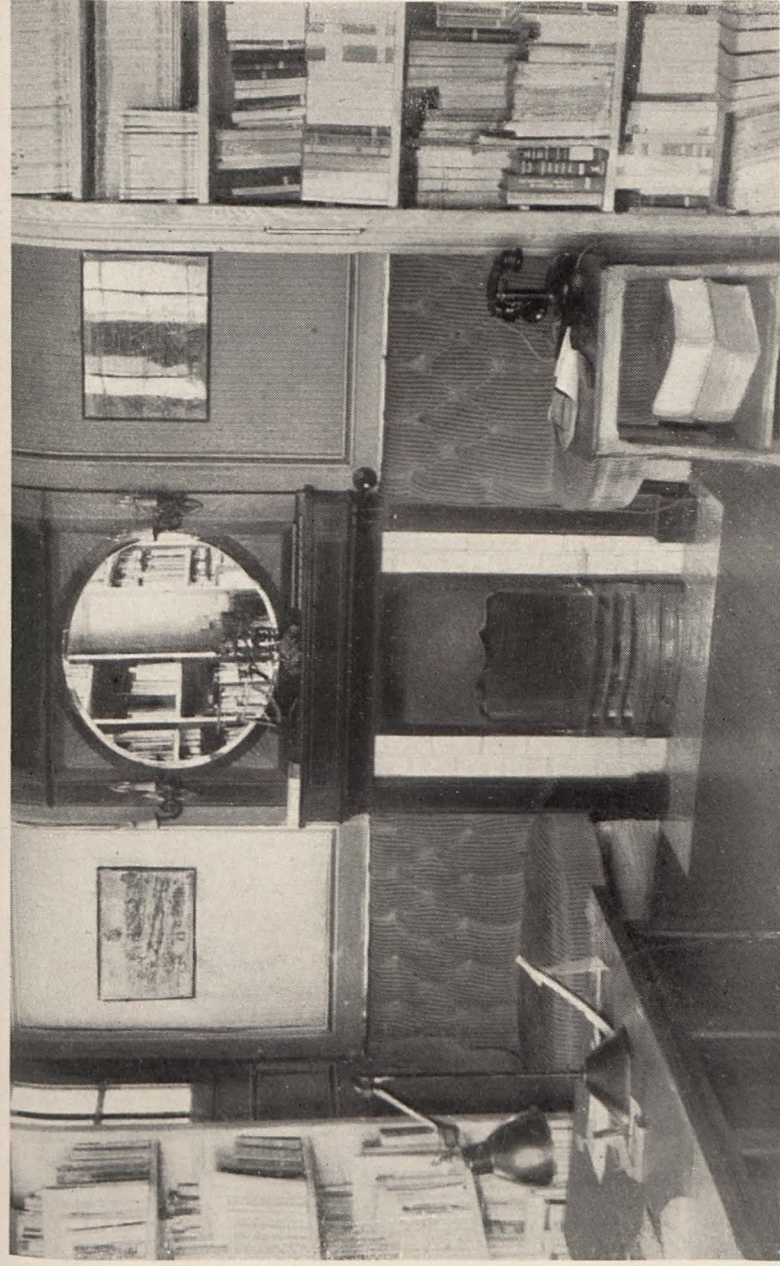


Dawne wozownie. Po remoncie budynku na dole będą magazyny książek i archiwa, a na piętrze pokoje klubowe i gościnne.





Pokój redakcyjny.



Fragment biblioteki.

BIBLIOTEKA





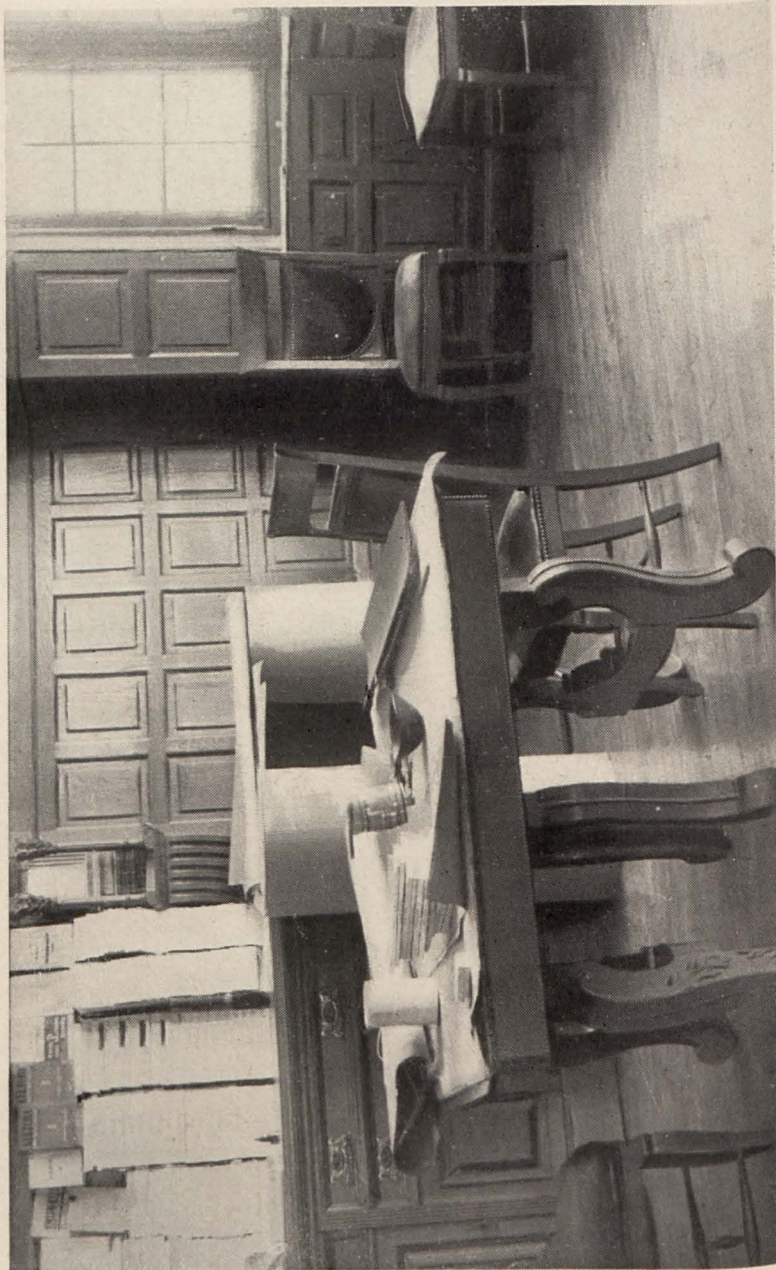
Fragment pokoju konferencyjnego i czytelni.



Pisma w pokoju konferencyjnym.







Tu pakujemy „Kulturę” i książki.

knięta, więc legalnie nie może. Piszę, że zna miasteczko gdzie łatwo przejść.

— Czy tamtędy my z nią pojedziemy, czy przez Rygę?

Babka szukała koło siebie różańca. Schylił się i podniósł go z podłogi.

— Ty pojedziesz. Mnie już nic nie potrzeba.

— Dlaczego babcia tak mówi. — I czuł obojętność a z powodu tej obojętności, gniew na siebie.

Nic nie odpowiedziała. Jęknęła i próbowała się unieść. Pochylił się i pomagał, jej kuliste plecy w barchanowym kaftaniku, bruzdy w tyle szyi pod uchem.

— Te poduszki. Tak się zbijają. Może możesz wyprostować.

Litość Tomasza była niepełna, chciałby żeby była lepsza, ale do lepszej zmuszałby się i to jąrzyło go, że nie znajdował w sobie innej niż sztuczna. Teraz babka wydała mu się mniej irytująca niż zwykle, dlatego, nie zastanawiał się, jakaś mniej przezroczysta, bez wszystkich jej za łatwych chytrkości.

— Słowików dużo w tym roku — stwierdziła.

— Tak babciu, dużo.

Zaczęła przebierać ziarenka różańca i nie wiedział czy zostać czy odejść.

— Tyle kotów — powiedziała wreszcie. Jak te ptaki nie boją się śpiewać.

#### XLV

Czy naprawdę bez świadków? Bujna trawa przyciśnięta podszwą prostuje się powoli, kiedy stopy depczą już inne źdźbła, dalej już szeleszczą szorstkie pałeczki o cholewy butów, spłoszony drozd wraca na dawne miejsce gdzie szukał gąsiennic. Tych dwoje siedzi w małej studni, której ściany są z gęstych liści, nad nimi przesuwa się obłoki. Ciemne ramię opasuje plecy w białej bluzce. Mrówka stara się wydostać spod nagle zrzuconego na nią ciężaru.

Jest to pora roku kiedy kukułka jeszcze kuka, ale już zanoszą się często śmiechem, zanim umilknie, aż do następnej wiosny. Nikt nie liczy w tej chwili jej ech, zapowiadających lata do przeżycia. Szepty na dnie zieleni i słabe pobrzękiwanie ostrogi.

A oto, idąc cicho, zbliża się czarownik Masiulis. Przez ramię ma przewieszoną płócienną torbę, w którą zbiera zioła. Pochyla się, kładzie kij i nożykiem wydłubuje korzeń, potrzebny mu do jakichś jego celów. Dobiega go głos ludzki. Kilka kroków, rozchyła zasłonę liści, i niewidzialny dla nich, mruży oczy z wyrazem kpiny. Bo gest z jakim kobieta porządkuje teraz suknię



oznacza: tego nigdy nie było. Oddzielone na zawsze i rozmawiać zacznie o rzeczach obojętnych, tak jakby wróciła z przygód w jakie wpada się podczas wędrówki po królestwach nocy. Puszczą gałęzie i wycofuje się. Odszedłszy na skraj lasu, przysiadła na kamieniu i zapala fajkę.

Masiulis nie jest beznamiętny. Tak jak się go zna, mądrość swoją karmił chichotem i właściwie pogardą. Pogardą dla natury ludzkiej, także swojej własnej. Czyż nie powiedział raz komuś (niewątpliwie trudno zrozumieć dlaczego to zrobił) że człowiek to jak owca, nad którą Pan Bóg zbudował drugą owcę z powietrza i owca prawdziwa nie chce w żaden sposób być samą sobą, tylko tą drugą. To zdanie stanowi prawdopodobnie klucz do jego czarów. Jeżeli się ma takie wyobrażenie o człowieku, nic naturalniejszego niż pomagać owcom kiedy napotykają na trudności utrzymując się w powietrzu.

Brak powodów żeby Masiulis o parze w gąszczu myślał życiowie. Każdych dwoje, którzy oddzielali się od innych, obrażało go w jakiś sposób, ponieważ zdawało się im, że tylko im się coś podobnego zdarza. Obrażało może nie, ale bawiło, pobudzając do zgryźliwości. Jednak rzuca się kijem w psy, kiedy zachowują się nieprzyzwoicie na oczach wszystkich — bo ich zwieszane języki i słodkie miny nasuwają przypuszczenie, że nie czują wcale własnej śmieszności, tylko rozpamiętują swoją przyjemność, stoją tak, jakby w bezpieczeństwie: że nikt równocześnie z nimi tego samego nie doświadcza. Co do tych w lesie, to Masiulis gniewnie mrucał do samego siebie: „Isz ty, kobyla!”, a to stosowało się do skromnego gestu Heleny Juchniewicz przy poprawianiu sukni.

Zbiegiem okoliczności, w kilka dni później Barbarka przyszła do Masiulisa o radę, ponieważ nie ma nikogo innego żeby szukać rady i lekarstwa. Nie pyta, jak ksiądz w konfesjonale: „A ile razy, moje dziecko” bo wie, że dużo razy. Co prawda ksiądz Monkiewicz, wysłuchując grzechów swoich parafian, ocze kiwał od nich tylko mocnego postanowienia poprawy. Mocne postanowienie poprawy jest to westchnienie do Boga, żeby wej rzał na naszą gorącą chęć pozbycia się chęci do grzechu: żeby następnie, kiedy wpadniemy z powrotem w dawne koleiny, nie miał nam za złe. Ponieważ widzi wszystko, widzi także że naprawdę jesteśmy aniołami i ulegamy wbrew naszej woli potrzebom ciała, nigdy nie udzielając pełnego przyzwolenia, z żalem że tak a nie inaczej jesteśmy urzędni. Już odchodząc od konfesjonatu Barbarka, jak inni, wiedziała że zwała jedną porcję, a przystępowała do zbierania drugiej.

Na taki kłopot jaki przypadł Barbarce istnieją wypróbowane babskie sposoby. Do jedzenia wystarczy dodać odrobine

krwi z periodu, a męzczyzna, który to zje, zostanie przywiązany niewidzialnymi niciami. Albo to nie pomogło, albo korciło ją, żeby się przed kimś wyskarżyć. Czarownik przyjął ją dobrze i długo mówił, a łzy jej kapały na palce. Ze wstydu też. Gdyby Romuald dowiedział się, że latała po to do Masiulisa, zbilby ją i miałby do tego prawo. Bo Masiulis buntował ją przeciwko niemu. Do dawnej jego złości dołączyło się podglądanie tamtych dwojga. I nie dał jej lubczyku, który się gotuje i odwar wlewa się po trochu do potraw, tylko doradzał, żeby przestała sobie zawracać głowę paskudnym dziadem, zdradliwym szlachcicem, którego ciągnie do szlachcianek.

Oczy miała zapuchnięte kiedy wracała do domu. Jednak na ścieżce w lasu zatrzymała się i bosą nogą zacierała w zamysleniu ślady końskich kopyt. „Eee, co on tam wie”. Czy on znał Romualda? Nie, ona znała. Są tajemnice, które nikomu wyjawic nie można. Stary? Ale kto tak jak on...? Zgięła wielki palec u stopy, nabrała piasku i igliwia. Nie, to trzeba inaczej.

Barbarka ma dwadzieścia dwa lata. Spódnica pofurkuje, ociera się o uda, stopy stąpają coraz pewniej. Podbródek podniesiony i wargi wydymają się w uśmiechu siły. Tam skąd otwiera się widok na zabudowania, przystaje i ogarnia wzrokiem dachy, żuraw u studni, sad, jakby zobaczyła to pierwszy raz.

Na pewno inaczej. Jak, to już się okaże. Na razie tylko zarzys postanowień, ale to już dosyć. Tak wyplakała się jak ona u Masiulisa jest zdrowo. Coś w nas nagle obraca się i w jednym błysku ukazuje się błędność pokornego znoszenia losu. Z Bor-kun iść precz? Nie.

Wizyta u czarownika nie została więc bez skutku, ale przeciwnego temu do jakiego zmierzał. Uległ zanadto swoim pasjom, te są dobre dopóki podniecają do mądrości, a nie kiedy rządzą zamiast niej. Zachował się wyraźnie wbrew swemu powołaniu.

Romuald stuknął młotkiem przed stajnią naprawiając pług. W kuchni Barbarka nabrała z wiadra w dłoń wody, obmyła twarz i przejrzała się w lusterku. Nic nie powinno być znać. Jeżeli już zrzecznością, to niespodziewanie. I oblizła wargi, żeby nie wyglądały na spierzchnięte.

## XLVI

Luk Juchniewicz popłakiwał siedząc w rogu kanapy. Równie łatwo jak w czułość, wpadał w smutek. „Ależ Luczku — próbowała go pocieszać babcia Misia — nic się jeszcze nie stało, może nie rozparcelują”.

— Rozparcelują — jęczał. — To już na pewno. Łajdaki,



złodzieje, puszcza nas wszystkich z torbami. Gdzie my podziem się nieszczęśliwi". I wycierał oczy wierzchem dłoni.

Majątek, który od dawna dzierżawili Juchniewiczowie rzeczywiście miał zostać podzielony według jakiegoś przepisu Reformy Rolnej i trudno było Lukowi zaprzeczać. Ciotka Helena siedziała obok niego z mgiełką łagodnej rezygnacji w spojrzeniu. Dziadek, na krzesła naprzeciwko nich, chrząkał.

— Ależ przeniesiecie się tutaj, naturalnie. To nawet lepiej, pomożecie nam w gospodarstwie. A także ze względu na Reformę lepiej, żeby Helena tu mieszkała.

— Józef złożył przecież donos — westchnęła Helena.

— Ten paskudnik, a co, czy nie mówiłam? Twoi Litwini zawsze tacy a ty — babcia Misia zwracała się do dziadka przydrzeźniając — dobrzy, kochani, nie, oni nic złego nie robią. Och, ja bym ich bizunem, bizunem, to bym ich nauczyła dopiero.

Dziadek poprawiał spinki w mankietach, jak wtedy kiedy czuł się niepewnie.

— Uriadnik obiecał że załatwi. No cóż, trzeba będzie posmarować i ten Józef tak bardzo nie zaszkodzi.

— Mnie to wydaje się, że najsmardziej, żeby pójść na leśniczówkę. Żeby widzieli, że tatuś na swoim i ja na swoim. Zawsze co u siebie, to u sieeebie — przeciągała Helena.

Tomasz podnosił wzrok znad książki, słuchał ich przez chwilę i zaraz ich głosy zlewały się znowu w szmer bez treści. Wygrzał sobie dołek w chłodnej skórze kanapy pod oknem. Za oknem jadalni wróble świergotały w dzikim winie, które już sięgało wąsami futryny. Liście agawy na trawniku stały złotawe od południowego słońca.

— Biedaczek, cipuchna, on zginie — szydziła babcia Misia. Fuj, taki byk, siedzi i nic nie robi, samogon pędzi, do Pogir sprzedaje, pijak zatracony. A jaki tłusty, aż obrzydliwie. Won wyrzucić i koniec.

— Przecież — hm — dom sam zbudował — bronił się dziadek. — I lasu pilnuje. Jakżeż tak można z człowiekiem.

— Z człowiekiem! A właśnie że wcale nie z człowiekiem, tylko to najdroższy Baltazarunio, perełka, oczko w głowie, miłszy od własnej córki.

— Ależ Broń Boże — i Helena podnosiła dłonie ze zgrozą — żeby kogo krzywdzić. Nawet na sekundę tego nie pomyślałam. Na przykład tu we dworze dostałby mieszkanie, pomagałby. Szatybelko już stary, albo choćby jeden dom w kumietyni dla niego zwolnić.

Tutaj Tomasz nadstawił ucha, zaciekawiony jak dziadek będzie sobie radzić.

— Tak, można by — zgodził się dziadek. — To nawet

dobry plan. Tylko widzisz, Helciu, hm, takie już są czasy że, hm, sama rozumiesz, jeżeli zrazić i rozgniewać... Sama chyba uważasz, że teraz najważniejsze... żeby te działały zatwierdzili. Więc, hm, nie będziesz sobie robić wrogów. On zna las i mógłby... Dość już z Józefem kłopotu.

Wizja niebezpieczeństwa podziałała na Helenę i babkę, które nic nie odpowiedziały. Luk trzymał się za głowę.

— Jakich strasznych czasów dożyliśmy! Z każdym chamidłem uważaj, głaskaj jego. Oj, jak mnie na duszy ciężko.

— Biedny Luk. Może jemu waleriany — zaofiarowała się babka, na co Helena nie zwróciła żadnej uwagi.

Dla Tomasza Luk był postacią zagadkową. Żaden z dorosłych tak się nie zachowywał jak on i na sam jego widok chciało się parsknąć śmiechem, ale nikt się nie śmiał, więc pojawiało się niedowierzanie samemu sobie. Przecież ma długie spodnie, jest mężem Heleny, wie co kiedy i gdzie siać i zbierać. Więc Tomasz podejrzewał, że za tą twarzą jak z gutaperki, która to rozplywa się w łkaniu z nadmiaru sympatii, to kurczy w zupełnej rozpacz, przebywa inny, prawdziwy Luk, nie taki głupi jak wygląda. Nigdy jednak na tego mądrzejszego Luka nie udawało mu się natrafić. Ale przecież chyba niemożliwe, żeby cały był tylko tym. Tomasz przypisywał mu więc szczególną chytrą: że tylko udaje. I ubierał się Luk nie tak jak inni, jakby po to żeby sobie pomóc w komedii: nosił wąskie majtki w brązowe kraty, ze strzemiączkiem zachodzącym pod podeszwę trzewików i kapełusz taki, jak te co leżały w wielkim kufrze, przysypane naftaliną, sprzed wojny.

Ciotka Helena odnosiła się do niego serdecznie, ale, jak Tomasz zauważył, lekceważyła go zupełnie. Luk o niczym nie wypowiadał własnego zdania.

— Ot, żeby można tam u Baltazara jeden pokój, to nam dosyć. Tylko jeden pokoik. Dla urzędów — niech przyjadą, niech popatrzą — mówiła teraz Helena.

Babka prychnęła, zgorszona.

— Helciu, jakto, i tak w lesie, jak na łasce u tego parobasa? Fe!

— No nie potrzeba na stałe, ale tak, żeby co kilka dni, zawsze już lepiej jak rozejdzie się, że Juchniewiczowa ma swoją gospodarkę. Tatuś mógłby choć tego zażądać.

— Hm, ja pomówię z nim, owszem, pomówię. Tak, pomówię — wykręcał się dziadek.

Tomasz wrócił do książki, ale zaraz oderwało go znowu od niej ich wymyślanie na Józefa. Że to szowinista, fanatyk, że zamordowałby gdyby mógł i że jak pies kąsa ukradkiem. Że dostawał drzewo tylko za uczenie chłopca arytmetyki i tyle dobroci



doznał. I jednak Tomasz ulegał nastrojowi, bo żeby złożyć donos musi się być człowiekiem złym. Tylko dziadek nie odezwał się ani słowem i dopiero po dłuższej chwili nieśmiało bąknął:

— Ze swojego punktu widzenia może on i ma trochę racji.

Babcia Misia złożyła ręce i podniosła wzrok do sufitu, wzywając niebo na świadka.

— Boże!

## XLVII

Zbliżał się ów dzień. Ustalono w Borkunach, że nie warto jechać na rozlewiska Issy koło wsi Janiszki, po pierwsze dlatego, że są zanadto zarośnięte ajerem i łódka ledwo się przepcha, po drugie dlatego że na otwarcie polowania ściąga tam za wielu chłopów z okolicy, którzy pukają ile wlezie. Wybór padł więc na jezioro Ałunta, co prawda daleko, ale „zobaczysz Tomasz co tam kaczek, całe chmury!” Ustalono również, że Tomasz weźmie berdanę Wiktora, a ten będzie strzelać z kapiszonówki; do używania jej potrzebna była torba przyborów: w jednej przegródce proch, w drugiej śrut, w trzeciej kapiszony, i jeszcze pakuły. Proch odmierzało się metalową miarką i sypało się wprost w lufę, potem klak pakuł przybijało się długim drewnianym stępem, na to śrut i znowu nieduża zatyczka z pakuł. Podniesiony kurek odsłaniał metalowy słupek na kapiszon. Tomasz umiał spuszczać kurki w dubeltówce łagodnie — jednym palcem ciśnie się cyngiel a drugim przytrzymuje się kurek, żeby obniżał się powoli, ale co innego w kapiszonówce, widzi się to denko malutkiego rondelka i stąd obawa, że a nuż kurek wymknie się w ostatniej chwili i uderzy.

Jakie zabrać psy rozważano i Karo miał zostać w domu, bo wyżył polowanie na kaczkę tylko psuje, później źle wystawiają. Do wypłaszania kaczek wystarczy Zagraj, systematyczny i poważny. Dunajowi mogłaby przyjść fantazja, żeby uciec do lasu. Lutnia — jakoś nie wypadaloby, takie zajęcie dla niej za łatwe, a poza tym była szczenna.

Więc wóz drabiniastv, wymoszczony sianem, w nim Romuald, Tomasz, Dyonizy, Wiktor i Zagraj. Trzaska bat, wzbija się za kołami pył. Tomasz leży i uciekają w tył kamienie, drzewa, płoty zaścianków. Romuald gwizdże i Tomasz mu pomaga, podróż, wesoło, nie upływa godzina a już wyciągają z worka prowianty i każdy dostaje kawał kielbasv, zagryzają, podskakując na wybojach. Powinni zdążyć przed wieczorem, tam nocleg i o świcie na wodę. Czy dostaną tam czółna? — niepokoi się Tomasz. Naturalnie że tak, każdy w tamtej wiosce ma przynajmniej jedno.

Wody z daleka widoczne, sino-czerwone od zachodniej zorzy. Brzeg którym podjeżdżali był wysoki i ukazywał się rysunek jeziora. Owalne, z jednym końcem ostrym. Z tej strony pola na pagórkach, z przeciwnej, od połowy owalu, czarniawa masa z której gdzieś wystaje na tło nieba pióro sosny. Tam są wielkie bagna i tam będą polować. Tu, koło drogi, kopca okrągła, jakby usypana sztucznie, na niej ruiny zamku i zjazd w opłotki wioski Ałunta.

W chacie jedli kwaśne mleko z ogromnej misy a potem Tomasz, w zmierzchu, drapał się na stok zamkowego wzgórza. Pełny księżyc wschodził, cisza rozgrzanych dniem traw w których cykają świerszcze. Tuż, prawie pod stopami, błyszczą łuska drobnych fal. Dotknął głazów jakie zostały po murze czy po fundamentach. Stał ona biegną żeby skoczyć w wodę i utonąć. Romuald powtarzał mu to co z dawien dawna opowiadano o zamku: że kiedy zdobywali go Krzyżacy, kapłanka pogańska wolała popełnić samobójstwo niż poddać się. Nic nie wiadomo poza tym. Tomasz wyobrażał sobie że podnosiła ręce, krzyczała i że za nią rozwiewał się w pędzie biały płaszcz. Ale mogło przecie być inaczej. Mogła schodzić powoli, przepasana płóciennym pasem, w zielonym wianku na głowie, śpiewając pieśni do swego boga i chylić się stopniowo kiedy dosięgła brzegu. A gdzie jest jej dusza? Czy potępiona na wieki za to że broniła się przed chrztem? Krzyżacy byli wrogami. Palili, mordowali, a przecie wierzyli w Jezusa, i chrzest przez nich udzielony chronił od piekła. Może jej dusza błąka się tu naokoło, ani w piekle, ani w niebie? I Tomasz podskoczył bo zaszeleściło coś za nim. Pewnie mysz, a jednak, choć wybrał się w ruiny trochę wzywając dreszczu, zbiegł prędko z powrotem, między dachy, głosy ludzi, krów i kur.

W odrynie Zagraj koło nich wzdychał przez sen, Wiktor wycisnął w sianie dołek w który Tomasz obsuwał się, bo lżej-szy, w ciemności ktoś obcy wlaził po drabinie, stapał po nich, „kto” pytał Romuald, „swoj” odpowiadano, aż wreszcie wszystko ucichło i spojrzawszy na gwiazdę w szczelinie dachu, zasnął.

Budząc się na sianie, zawsze spostrzega się, że się leży w innym miejscu niż się myślało. Tomasz na skraju, nie wiele brakowało, a by spadł, Wiktor nie koło jego głowy, a koło nóg — chrapał teraz i świstał nosem. W szarym świetle fałdy skomkanej derki nie zajętej przez nikogo, Romuald i Dyonizy zaryci głęboko, na nich Zagraj. Tomasz ziewał nerwowo, zastanawiając się czy już ich budzić, ale w tej chwili zaskrzypiały i otworzyły się wrota, światło i chłód a ktoś w dołu wołał: „Pan Bukowski! Wstawać pora!”

Na ławie przed chatą przygotowywania, Romuald i Dyonizy



przypasali sobie ładownice, Tomasz napychał nabojami kieszenie, wypili tylko trochę mleka, żeby nie budzić kobiet, bo niedziela. Gospodarz i jego syn, którzy szli na jezioro z nimi, zakasali sobie spodnie w walki do pół łydek, z haków pod okapem dachu zdjęli drągi i długie wiosła.

Jezioro było przestłonięte mgłą która snuła się w pasma. Ze stromej ścieżki widzieli czołna, na wpeł wyciągnięte na żwir — koło nich opar kurzył się i przezierała tafla bez jednej zmarszczki, ich żebrowate wnętrza wprawione w gęstość zdawały się nieruchome na zawsze. Na dole, już przy czołnach, odsłaniały się tu i ówdzie płyty wody biorące blask od nieba.

### XLVIII

Obowiązki i przyjemności nie są równo podzielone. Ubrany w swoje wspaniałe pióra, kaczor woli samotność niż nudę wylegania jajek i opiekowania się młodymi. Kaczka przez najlepsze miesiące roku — maj, czerwiec, lipiec, albo rozplaszcza się na gnieździe, albo później wlecze za sobą wszędzie łańcuch kwaczących istot, a szybkość jej ruchów jest hamowana przez ostatnie ogniwo łańcucha, z wysiłkiem przebierające łapkami. Pierwszą poważniejszą sztuką jakiej uczą się młode jest chować się w razie alarmu pod liście rozpostarte na wodzie i wystawiać spod nich tylko koniec dzioba. Następnie wprawiają się w latanie, ale to nie polega tylko na ruchu skrzydeł, najważniejsze, jak oderwać się od wody. Długo tego nie umieją i wzbijają pył kropel pędząc w powietrzu, a jeszcze nie zupełnie w powietrzu. Początek myśliwskiego sezonu zastaje ich większość w tej właśnie fazie.

Czołna pachniały smołą. W jednym na dziobie przykucnął Tomasz, za nim siedział Romuald z psem, a dalej przewoźnik przekładał miarowo wiosło z jednej do drugiej ręki. Sunęli tak w dziewiczy obszar, falki chlupały o burzę; drugie czołno z głowami ludzi odcinało się od mgieł i promieni jak zawieszony w pustce. Kierowali się prosto na przeciwny brzeg. Już odróżniało się cypłe trzciny, przewoźnik stanął, położył wiosło, wziął drąg i odpychał się teraz od dna, pochylając się za każdym pchnięciem.

Pływające miasto, skupisko ciemnych punktów w dymie wód: stadko kaczek. Łódka nabrała rozpędu, zagradzała im drogę ucieczki do trzciny, rozwinęły się w sznur za matką, ale zaraz zgubiły ład, wymieniając pewnie krzyki które znaczyły: „Co robić?”. Romuald wołał śmiejąc się: „Uważaj, bo wykąpiesz się”.

Tomasz umacniał się na dziobie, gotów do strzału. Zerwały się do lotu kiedy byli już obok, burza łopotania i wodotrysków, bach, wywalił Tomasz, bach, bach Romuald, powierzchnia prószyla się od śrutu, zostały koła, trzy nieruchome kreski i czwarta kręcąca się w miejscu.

Jeżeli ktoś nie sięgał po zabita przez siebie kaczkę, trudno mu to wytłumaczyć. Należy zresztą odróżnić: zmierza się ku niej wpływ, zostawiwszy na brzegu ubranie, i wtedy rośnie ona na poziomie oczu chwiana falą, którą sami wzniecamy; czy też manewruje się tak, żeby znalazła się tuż przy burcie i wyciąga się wtedy ramię. W jednym i drugim jednak wypadku wszystko zawiera się pomiędzy zobaczeniem jej z bliska i dotknięciem. Jest najpierw przedmiotem na wodzie, do którego ciągnie nas ciekawość. Dotknięta, zmienia się w martwą kaczkę, nic więcej. Ale moment, kiedy tuż, w zasięgu ręki, kołysze się wypukłość jej dropatego brzuszka, kusi obietnicą niespodzianki. Bo nie wiemy kogo zabilimy. Może kaczkę-filozofa, kaczkę-odkrywcę i spodziewamy się trochę (niezupełnie w to wierząc), że przy niej znajdziemy jej pamiętnik pisany nieroztapiającym się atramentem, czy złotą monetę, czy coś w tym rodzaju, a nawet list od nieznanego czarodzieja. I ostatecznie oczekiwanie, jeżeli chodzi o wodne ptactwo, czasem, choć rzadko, bywa nagrodzone: na łapie obrączka, na niej cyfry i znaki jakiejś stacji naukowej w odległym kraju.

Podnieśli cztery krakwy i wzduż szuwarów badali zatoki. Tomasz zobaczył kaczkę pod splątanymi łądogami, strzelił, załopotala i przewróciła się. „Ależ wypatrzył!” pochwalił Romuald, a w tej samej chwili zakotłowało, buchnął w górę słup już dobrze latających i Romuald spuścił dwie, dubletem. Obok odezwała się kanonada Dyonizego i Wiktora.

Granica między lądem i wodą była tutaj niewyraźna, nie brzeg a kozuch uginających się traw. Puścili Zagraja. Zapadając się, ni to idąc, ni to płynąc, chlupał się pracowicie i szczekał. Młode kaczki śmigały na wszystkie strony jak szczury, ledwo nadążyli strzelać. Syczało gniecione sitowie, przewoźnik przepychał ich w płytkie zalewy pełne zapachów korzeni. Zdarzyło się w jednej z takich sadzawek co następuje. Tomasz, rozglądając się za nowym celem, odkrył (a trzeba na to mieć niezłe oko) że lekkie wygięcie liścia kryje głowę ptaka. Zdradziło ją to, że nie siedziała nieruchomo, ale poprawiła się. Już podniósł lufę, ale rozmyślił się i ułaskawił. Bo tak umierająca ze strachu, a przy tym tak pewna że już się dobrze schowała. Nie zabić jej stanowiło dowód większej władzy nad nią niż zabić. Kiedy wydostawali się z powrotem z gąszczu na jezioro, ciągnąc za sitowie żeby wiosłarzowi pomóc, cieszył się że tam ona jest i nigdy się



nie dowie o podarunku, jaki zrobił jej człowiek. Ani że na nią patrzył i zastanawiał się, że mógł, ale wolał inaczej. Odtąd już na zawsze byli ze sobą jakoś złączeni.

Tomasz nie strzelał do kaczek przelatujących nad głowami, raz spróbował i spudłował haniebnie. Podziwiał Romualda, któremu nawet nie przeszkadzało chwianie się łódki. Najbardziej podziwiał za cyranki. Te idą ostro, aż powietrze gwiżdże, są przy tym mniejsze od krakw, a Romuald ani razu nie chybił i pod ławką położyli już trzy.

— Jak wam poszancowało? pytał Romuald braci. Wiktor gulgotał, Dyonizy z niego śmiał się:

— Tak coż, póki on ta swoja flinta nabije, kaczki choć na głowa jemu siadać mogą — I Tomaszowi uwaga ta zatrzała na chwilę spokój, bo pozbawił Wiktora jego berdany.

Lekki wiatr smużył jezioro, teraz całe w błękicie dnia. Dzwonił w Ałuncie dzwon na mszę. Rybitwy skwirzyły, krążąc nad sterczącymi z wody ukośnie żerdziami. Myszołów trzepał się ociężałe pod obłokiem w stronę lasu.

Przewoźnicy doradzali, żeby wracając zahaczyć o rzekę. Wypływa ona za zamkiem z jeziora, tak, że wioska przy ostrym jego końcu, wciśnięta jest między pagórek dawnej twierdzy i rzekę. Tam gdzie zaczynał się tunel trzciny wypłoszyli kilka ptaków o wichrowatym locie. Romuald zabił jednego — najmniejszy gatunek kaczek, cyraneczka.

Gładka woda, ochroniona od wichrów i burz, miejsce jak te w głębi Afryki, w których Tomasz budował swoje niedostępne oczom ludzkim osiedla. Czarne pale z brodami wodorostów chwianych przez prąd, kiedyś, dawno, był tu most. Dalej chaty tuż przy pasie ajerów, wygniecenia i luki tam gdzie wciągano czółna. Przed jabłoniemi sadów suszyły się na tykach sieci, leżały bucze. Białe kaczki i gęsi pluskały się przy kładkach do prania bielizny. Wioska zobaczona z takiej zacisznej rzeki wyrasta do rozmiarów kraju czy państwa, dopiero wtedy widzi się w niej wiele szczegółów, których idąc jej ulicą albo się nie zauważa, albo które się uznaje za zupełnie zwykłe.

Wiktor i Dyonizy teraz płynęli na przedzie, wypłoszyli krakwy, bali się strzelać, nie wiedząc czy to nie domowe, ale puścili się niedołącznym lotem kłapaków i zabili jedną, wypaliwszy z trzech łuf. To był koniec polowania, zawrócili i podliczyli łupy. Romuald i Tomasz mieli dwadzieścia trzy, w tym siedem przypadło na Tomasza. Tamci piętnaście, nie tylko krakwy, również jedną podgorzałkę i jednego tracza, szarego z rudą głową i z haczykiem na końcu dzioba.

Obróceniu ku górze zamku mrużyli oczy od połysku. Ruiny zbliżały się drgające w mgiełce i świetlistości. Kapłanka pogań-

ska, która tam kiedyś mieszkała, tak przychodząca na myśl w noc, ginęła na zawsze wśród strachów i bajek. Tomasz odwracał się i przytrzymywał za obrożę Zagraja, który wiercił się i łapami stawał na burtę. Kolba strzelby oparta o ławkę, lufa przy piersi. Był już prawdziwym myśliwym. Ale tam, przy drugim brzegu, została jego kaczka. Co teraz robi? Czyści dziobem pióra, bije skrzydłami z kwakaniem i dziękuje za radość po przebytych niebezpieczeństwie. Komu dziękuje? Czy Bóg tak postanowił, że nie musiała zginąć? Jeżeli postanowił, to podszeptał mu, żeby nie strzelał. Ale dlaczego w takim razie jemu zdawało się, że to zależy tylko od jego woli?

## XLIX

Po niebie nad ziemią na której wszystko co żywe umiera wędruje Saulé — Słońce, w swojej promiennej sukni. Ludy dopatrujące się w nim cech męskich mogą budzić tylko zdziwienie. Ta szeroka twarz jest twarzą matki świata. Jej czas nie jest naszym czasem, z jej spraw znamy tylko to, co przeniknąć zdoła umysł poddany trwogom własnej samotności. Niezmiennność pojawiania się i znikania — a przecież Słońce ma również swoje dzieje. Jak powiada stara pieśń, dawno, bardzo dawno, pierwszej wiosny (a przed nią nie istniało chyba nic prócz chaosu) pojęło za męża Księżyc. Kiedy wstało wcześniej rano, małżonka już nie było. Chodził samotnie i wtedy to zakochał się w Jutrzence. Widząc to rozgniewał się bóg piorunów, Perkunas, i rozciął Księżyc mieczem na dwoje.

Możliwe że kara była słuszna, bo Jutrzenka jest rodzoną córką Słońca. Gniew Perkuna obrócony przeciwko niej później da się chyba wytłumaczyć pamięcią o niezbyt stanowczym odpychaniu względów ojczyma. Pieśni, układane przez tych co przechowali pamięć owych odległych zdarzeń, o powodach miłości. Da się tylko stwierdzić, że kiedy Jutrzenka obchodziła swoje wesele, Perkun wjechał przez bramę i roztrzaskał zielony dąb. Krew trysnęła z dębu, obryzgała jej suknię i paniński wianek. Płakała córka Słońca i pytała matki: „Gdzież ja, kochana mammo, mam wyprać sukienkę, gdzie zmyć tę krew?” „Idź, kochana córko, idź do jeziora, do którego wpada dziewięć rzek”. „Gdzie mam suszyć suknię” — pytała Jutrzenka. „O córko, w ogrodzie, gdzie kwitnie dziewięć róż”. I ostatnie trwożliwe pytanie: „Kiedyż będą zaślubiny żeby tę białą suknię włożyć?” „O córko, w tym dniu kiedy dziewięć słońc zaświeci”.

Tak mało wiemy o obyczajach i troskach istot poruszających się nad nami. Dzień zaślubin dotychczas nie nastąpił, choć



każdy tysiąc lat jaki upływa nie koniecznie musi być czymś więcej niż mgieniem. Niejakie wiadomości przekazała nam dziewczyna której zginęła owca. Działo się to w epoce kiedy śmiertelni łatwiej znajdowali z bóstwami nieba porozumienie. „Poszłam do Jutrzenki — śpiewa dziewczyna — a ta odpowiedziała: Ja muszę Słońcu z rana ogień rozżarzać” (stąd wniosek, że Jutrzenka, niezamężna, mieszka w domu matki). „Poszłam do Gwiazdy Wieczornej — opowiada o swoich daremnych próbach dziewczyna — a ta mi mówi: „Ja muszę Słońcu wieczorem słać łożę”. I Księżyc odmówił pomocy: „Ja jestem przecięty mieczem, patrz, mam smutną twarz”. (Dopiero Słońce udzieliło wskazówki, z której wynikało, że owieczka zabłąkała się gdzieś daleko, w strefy polarne, może aż na północ Finlandii).

Czy ksiądz Monkiewicz jest planetą? Na pewno tak, dla motyla który trzepie się nad grządkami nasturcji i rezedy. Łysina świeci i kto wie jakich upojeń wzroku dostarcza motylowi jej góra, załamana w mnóstwie jego oczu. Zaledwie parę dni życia, ale z całą pewnością nie można stwierdzić czy za tę krótkotrwałość nie dostaje zapłaty przez ekstazę kształtu i barwy nam niedostępną.

Ksiądz Monkiewicz, powierzchnia i pod nią praca planetarnych maszyn, krążenie krwi, drganie miliarda nerwów. Istnieją oczywiście ludzie dla których nie ma on więcej znaczenia niż mrówka i którzy śmieliby się widząc jego kalesony i coś co kiedyś przypominało szlafrok (oszczędza w domu sutanny). Kiwa się chodząc z brewiarzem, ale mógłby teraz machać kosą, gdyby jego matka nie postanowiła, że jeden przynajmniej z synów uchroni się od losu chłopca. Warunki silniejsze niż jego chcenie czy nie-chcenie sprawiły, że stał się wiernym sługą Kościoła. A przecie on to spełnia co dzień obowiązki, które polegają na zachęcaniu każdego człowieka, żeby siebie cenił bardziej niż górę, planetę i wszechświat. Poczęte przez żądzę noworodki ślinią się i miauczą kiedy daje im szczyptę soli na znak, że czeka je życie pełne goryczy: z płodów Natury czyni domy Ducha Świętego, wodą chrztu nadaje im piętno Słowa. Od tej chwili, wydatnie porządkowi niezmienności, mają prawo dostrzec między sobą i Naturą przeciwieństwo. A później, kiedy dom ciała rozpada się, ustają ruchy serca, ksiądz Monkiewicz, czy kto inny, obdarzony tą samą co on władzą, oczyszcza z grzechów, kreśląc olejem krzyże na członkach które zaraz zamieniają się w proch: rozwiązany jest kontrakt materii i technienia.

Nie cały czas przecie zużywa na rozpamiętywanie tych obowiązków. Bynajmniej, teraz na przykład spędził motyla z trawy, żeby zobaczyć jak poleci, obserwuje pszczołę, która drga nad kielichem białej lilii i przytrzymując palcem kartkę powiada:

„Łajdaki”. Odnosi się to do ostatniego chrztu. Zapłacili za mało. Wykręcali się, że nie mają, ale mogli więcej. Ogarnia go gniew że zmiekl i ustąpił ze zwykłej ceny.

Tomasz zdjął czapkę naciskając klamkę furtki. Stał przed księdzem świadomy powagi swojej misji. Słowa które wymawiał brzmiały głęboko i tragicznie tak jak należy.

— Babka Dilbinowa, proszę księdza, bardzo słaba. Przyjeżdżał doktor i powiedział że nie przeżyje.

— Al wyraził przyjęcie do wiadomości proboszcz. Tak coż, ja ot zaraz, zaraz.

I już dreptał ku schodkom.

— Ja bryczkę mam. Tam na dole koń przywiązany.

— No to dobrze. Ty poczekaj tu na mnie.

Przysłać bryczkę wypadało, choć to dwa kroki. Mina babci Misi która mówiła szeptem, jej narady z dziadkiem i Heleną, zupełnie zmiana w ich zachowaniu się wobec bliskości Tego, dostarczały Tomaszowi dumy uczestnictwa w najbardziej dorosłej rzeczy jaka może być. Ponieważ wszyscy byli zajęci — akurat żytożniwa — jemu polecono sprowadzić księdza. Zaprzęgać konia niby umiał, ale zawsze mu się poplątały rzemienie, więc pomagał mu dziadek. Do plebanii przez Szwedzkie Wały nie wiedzie żadna droga, trzeba zjechać w dół, koło krzyża, lejce ściąga się z całej siły, wpiierając się nogami w przód bryczki i tak powolutku, tym bardziej że zaraz na dole jest zakręt. Dopiero za krzyżem popuszcza się lejce, trochę ze względu na to, że już nie można konia utrzymać, trochę ze względu na przepis który dozwala.

Babka Dilbinowa, leżąca nieruchomo w półmroku, jakaś zmniejszona, skłaniała go do chodzenia na palcach a co do uczuć, to odgrywanie roli w dramacie — i to pierwszorzędnej, wnuka i domownika, już bez tego „co ty tam rozumiesz” — pochłaniało go całego. Wyobrażał sobie dźwięk dzwonka, twarze wyglądające zza płotów, pobożne pochYLENIE głów i siebie na koźle.

I teraz odbywało się to tak jak sobie przedstawiał. Proboszcz zawołał małego chłopca z najbliższej chaty, ten wdrapał się na przednią ławeczkę, obok Tomasza i potrząsał dzwonkiem. Powołując z uwagą (ta odpowiedzialność) zerkał ukradkiem na boki czy widzą. Niestety, domy były prawie puste, wszyscy w polu, gdzieniegdzie tylko staruszka albo dziad pojawiali się z podwórza, żegnali się i opierając łokcie o wrota odprowadzali wzrokiem najważniejszego dla nich — za miesiąc czy za rok — podróżnego.

Słońce popołudnia grzało mocno, na łysinie proboszcza osiadały kropelki potu. Zaiste, ni słońce, ni księżyc, ni jutrzienka



nie mogą równać się z księdzem Monkiewiczem. Jest on Człowiekiem, a gdyby to komuś nie wystarczyło, co trzyma w rękach przechyli szalę, gwiazdy i planety nie zaważą więcej niż piasek drogi. Jego zgrzebna koszula z mokrymi plamami pod pachą śmierdzi zwierzęcym odorem, ale dzięki niemu dopełni się obietnica: „Zasiane w skazitelności, wskrześnie ciało nieskazitelne. Zasiane w niesławie, wskrześnie ciało w chwale. Zasiane w słabości, wskrześnie ciało w mocy. Zasiane ciało zwierzęce, wskrześnie ciało duchowe.”

## L

— List!

Ledwo dosłyszalne skrzypienie z mroku, w którym jarzy się szpara okiennicy.

— Nie babciu, nie było żadnego listu.

Kłamie, bo list leży na stoliku w pokoju babki Surkontowej. Od pewnego czasu zaprowadzono cenzurę i jak się okazało nie bez powodu. Tomasz przysłuchiwał się rozmowom jakie spowodował ten ostatni, z niemiecką marką, który przyszedł nie przez Łotwę a przez Królewiec. Niech Pan Bóg broni żeby pokazywać! W najbardziej zlągodzony sposób donoszono w nim to, o czym matka Tomasza napisała już osobno do rodziców. Konstanty nie mógł wyliczyć się z wojskowych pieniędzy, jakiś czas siedział w więzieniu i wyrzucono go z wojska, starał się teraz o posadę w policji. Teodor nie brał widać dostatecznie na serio wiadomości o chorobie babki Dilbinowej, jeżeli nie ukrywał wypadku brata.

Więc to pozostanie nieujawnione na zawsze. Stało się a zarazem nie stało się, bo dosięgło tylko obojętnych, którzy zbęda jeszcze jedno takie sobie przestępstwo wzruszeniem ramion. Jakby kula zdolna przebić serce, utkwiała w drzewie.

— Umieram. Księdza.

Tak często w chorobie powtarzała że umiera, wyolbrzymiając każdą dolegliwość, księżniczka z bajki narzekająca że ziarno grochu kłuje ją przez siedem pierzyn. I znane westchnienie hipochondrii przynosiło jej być może ulgę, bo już oswojone, włączone w bieg normalności. Dopóki składamy dowód, że panujemy nad faktem własnej zagłady mówiąc o nim, zdaje się nam że nigdy nie nastąpi.

— Droga pani nas wszystkich jeszcze przetrzyma — pośpieszyła zapewnić babcia Misia. Ale że ksiądz nie zaszkodzi, to nie zaszkodzi. Tylu ludzi to uleczyło. Dawno już warto było sprwadzić, to by już pewnie pani sobie spacerowała po ogrodzie.

Uspokoić. Bo chorzy wiedząc, jeszcze nie wierzą i wdzięczni

są za dźwięk mowy, za ton który wyklucza możliwość przekroczenia granicy, za którą mowy nie ma. Tomasza niemile dotknęła słodycz głosu babci Misi. Po co aż tak przesadza.

Tego samego dnia proboszcz wstępował na stopnie między dzikim winem, które zakrywało kolumnienki. Nie należy zapominać że czterdzieści czy pięćdziesiąt lat, jakie upłynęło od jego dzieciństwa, nie dokonały w nim aż tak wielkich zmian, żeby całkowicie przestał być wiejskim chłopcem pasącym bydło. Stopy w bucikach były kiedyś czerwone i sine od szronów jesieni. Opierał się o biczysko i z zaciekawieniem jakie budzi widok rzadkich zwierząt obserwował panów przejeżdżających drogą, konno albo w błyszczących powozach z furmanami w liberii. Nie przentał teraz w te pokoje o niskich pułapach tylko jako przedstawiciel Chrystusa, włócił również za rękę siebie dawnego, zawsze z nieśmiałością przestępującego progi dworu. Szacunek jaki mu okazywano nie uwalniał od obawy poniżeń. Chronił się więc za komzę i stułę, te go wspierały i nadawały dostojęństwo jego ruchom — jeżeli okrągłej figurce na krótkich nogach wolno jest czuć się dostojną.

Potem drzwi za nim się zamknęły i babka Dilbinowa została z nim sam na sam. Pomimo fałszywych uspakajań babci Misi, nie wiele zachowuje się złudzeń, kiedy z wysoka, stamtąd gdzie poruszają się plamy twarzy, dobiega szelest, miga biel i błysk fioleto. To co zapowiadało koniec tyłu innym, co trwało wśród rzeczy zewnętrznych, zagarnia i nas, choć na pewno nie łatwo, prawie niemożliwe, uznać że będąc sobą, nie ma się własnej, sobie tylko zostawionej strefy i że poddać się trzeba nieuniknionemu: cyfrze, z której ześlizguje się wyobraźnia. „Czy masz siłę wypowiadać się, moja córko?” Moja córko — mówił do Bronci Ritter z hanzeatyckiego miasta Riga mały pastuch litewski.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Nie męcz się, moja córko, żałuj za grzechy, to wystarczy Panu Bogu. Ale Broncia Ritter szła przez mgłę, rozdzierając ją rękami z wysiłkiem, zmierzając ku jakiemś nieosiągalnemu punktowi jasności.

— Grzech — wyszeptwała.

— Jaki grzech? pochylał ucho nad nią.

— Wątpiłam—że Bóg jest—i—że—mnie słyszy.

Palce jej zamknęły się na jego rękawie.

— Grzech.

— Ja słucham.

— Męża nie kochałam—niech—mnie—przebaczy.

Przez mgłę iść bardzo trudno. Jeszcze, ledwo szmer liści:

— Mój syn... ja powiem...

Podniósł rękę: „Ego te absolvo” mówił głośno. Biały krążek



opłatka zniżał się w słabym świetle uchylonej okiennicy.

Piłka uderza o żwir ścieżki, odbija się, napotyka czekającą na nią dłoń, trawa błyszczący od rannej rosy, ptaki śpiewają, pokolenia ptaków przeminęły od tamtej chwili, babka Mohlowa pochowana w rodzinnym grobowcu w Imbrodach rozwija wełnę, woła: „Brońciu, rozstaw ręce, o tak”, i snuje powoli miękkie pasmo dokoła jej napiętków. Od niej dostała w podarunku krzyżyk z koralu z małym okienkiem pośrodku. Przykładając oko zagląda się tamtędy w pokój, w którym odbywa się właśnie Ostatnia Wieczerza. Jezus przełamuje chleb i promienie niematerialne wicherzą się z jego czoła, na tle pęknięć ściany. Wielkie i małe zrównuje się, to spojrzeń do wnętrza koralu z jaśniejszymi żyłkami, głos kobiecy o znużonym świetle porodu: „Syn!”, skrzypią płozy sanek, lęk przestrzeni, ruchy Chrystusa nie były a są, skrót czasu, niczego nie odmierza ni zegar ni piasek w klepsydrze. Usta nie mają siły otworzyć się, stamtąd, z zewnątrz przychodzi pomoc, opłatek przylega do języka, otwiera się koral i, zmniejszona, wchodzi tam, przed stół a On sam jej podaje jedną połowę przełamanej przez siebie kromki. Daleko, daleko, w innym kraju leżą jej nogi, których dotyka ksiądz Monkiewicz, łopaciasty, duży palec syna i wnuka oraczy, żniwiarzy, zwilża skórę olejem.

Proboszcz, ile razy znalazł się przy umierających, zawsze odgadywał, że nie jest sam przy łóżku, że Niewidzialni siedzą rzędem, w kucki, na podłodze, albo miotają się w powietrzu — wrzenie, ciosy mieczów. Ci, których przywabia zgryzota, lubują się w wyziewach rozpachy unoszących się tam, gdzie znika przyszłość. Ich wysiłek w podszeptach, jakich udzielali, zmierzał do wzmożenia zajęcia się człowieka własną osobą, do złapania go we własne jego sidła; równocześnie, roztaczając przed nim obrazy szczęścia, pokazywali Konieczność której nie mógł przełamać. Nic dziwnego że czekają aż z jego ust wyrwie się przekleństwo na oszustwo przeżytego życia, na zwodniczą obietnicę wolności.

Robiąc znak krzyża odganiał ich, tych którzy nakazują żądać dowodów, ciągłe dowodów, aby zwyciężyć kiedy zostaje wystawiony na próbę Bóg Zakryty. Pokaż ślad swojej potęgi, a uwierzę, że nie idę w nicosć, w zgniliznę ziemi — czołgają się i starają się aby ta myśl przetrwała rozpręganie się wszystkich myśli.

Ale na stoliku Michałiny Surkont zatrzymał się list, donoszący, że modlitwy nie są wysłuchane. Jeżeli w tym, że wydała skażony owoc Brońcia Ritter czerpała potwierdzenie swojej gorszości od innych, to list przeznaczony był aby ją jeszcze mocniej w żalu upewnić. Czy słuszne, że do niej nie dotarł? Może żądano od niej przebrnięcia przez najwyższą trudność, żeby ufała

wtedy kiedy odmawia się wyraźnie jakichkolwiek racji do ulności. Litując się nad nią i powstrzymując cios, ludzie pomogli jej tak jak ludzie wspomagać się mogą czyli udzielając sobie nawzajem złudzeń. Bo jednak okrucieństwo wyroków z wysoka uważają za nadmierne.

— Śpi?

— Teraz zasnęła.

Doktor Kohn zostawił morfinę i objaśnił jak należy używać strzykawki, w wypadku gdyby bóle nie ustały. Na pytanie o rodzaj choroby odpowiadał w swoich kilkakrotnych wizytach najpierw „chyba rak”, później „rak”. Nie wiele tutaj już jego obecność mogłaby przynieść korzyści. Więcej obecność księdza Monkiewicza, bo teraz, kiedy wychodził, jej pierś poruszała się w miarowym oddechu. Podgarniał poły sutanny i siadał w jadalni, pewniejszy siebie za stołem. Po kilku stosownych uwagach wyraził zdanie że żyto pięknie obrodziło w tym roku.

— Barometr idzie na deszcz — westchnął dziadek — żeby tylko zdążyć zwieźć.

I podsuwał mu konfitury.

Proboszcza korciło żeby dowiedzieć się czegoś o rodzinno-politycznych powikłaniach.

— Ech, biedna pani Dilbinowa. Tak, bez synów. Ale co robić, oni daleeeko.

Na nic więcej się nie zdobył.

— Daleko — zgodził się dziadek. — Cóż, tam człowieka rzuci gdzie dostanie pracę.

— A pewnie że świat nie wszędzie taki jak w naszym kącie — babka nie przepuściła okazji do uszczypliwości pod adresem kraju.

— Wiadomo, służba nie družba.

Worek z mąką w bryczce — praktyczny podarunek na przednówku — proboszcz przypisał oczywiście panu Surkontowi, bo ona, złośliwe skapiradło, skorzystałaby z tego że wobec nich upominać się o dobra doczesne było mu jakoś niezręcznie. Tomasz nakładał koniowi uździenicę i wpychał mu wędzidło między wargi zielone od żutego siana. Miodowym zapachem zanosiło od lip, pszczoły w nich pracowały, czepiając się brzęczących kwiatów. Brońcia Ritter powoli wędrowała samym skrajem czasu.

## LI

Nakładanie snopów na długi drabiniasty wóz wymaga umiejętności, jest to niemal jak budować dom. Kiedy budynek już jest gotów, pętlę sznura z przodu zarzuca się na koniec belki,



okrągłej i śliskiej od wieloletniego użycia; ma ona przyciskać ładunek, żeby nie rozpadł się kiedy wóz się przechyla. Dwoch zwykle mężczyzn ciągnie za sznur z tyłu żeby ją docisnąć; niezbyt bezpiecznie, bo jeżeli wyrwie się, może koniom połamać karki. Wreszcie wdrapuje się na wierzch woźnica i, powożąc, widzi pod sobą konie zmalale niby wiewiórki. Wjeżdżając w bramę stodoły, kładzie się — tylko tak zdoła się przedostać. Takie żółte kwadratowe stogi kołyszą się cały dzień aleją i tam gdzie ocierają się o krzaki leszczyn, zwisają żdźbła słomy. Powietrze parne, chmury pęcznią nisko, aż przed wieczorem zaczyna padać, deszcz nabiera rozpędu i leje całą noc.

Tomasz zauważył w domu pewne zniecierpliwienie. Babcia Misia i Antonina zmieniały się przy łóżku chorej, i, nie wyznając tego, miały do niej pretensję. Litość dla kogoś kto krzyczy i płacze z bólu a także własna senność budzą chęć żeby się wszystko jak najprędzej skończyło. Ale znów wróciła pogoda, powietrze drgało od upału, dano chorej zastrzyk morfiny. Tomasz myślał o Borkunach a nie widać było kiedy znów tam mógłby pójść. Żeby przewietrzyć pokój otworzono okiennice i okno, wleciała jaskółka i zataczała koła.

Trzeciego dnia po wizycie księdza, po południu, Antonina zawołała gniewnie z ganku: „Tomasz!” i zerwał się z trawnika. Nie podobało mu się że złapała go tam, jakby wyczekiwał. Półmrok, babcię Misię zastał mocującą się z pokrywą kufra, z którego tak często babka Dilbinowa wyciągała drobne prezenty. Na wierzchu położyła tam gromnicę: „Jak będę umierać, to pamietajcie że tam jest”.

Spojrzenie chorej przypominało chwiejnością, rozprzężeniem, skrzywienie jej głosu w ostatnich czasach. Antonina ukłękła i odmawiała z książki litanię po litewsku. Pyszczek babki Surkontowej, podobny do pyszczka wielkiej myszy, pochylał się nad wezgłowie, dreptała to tu, to tam, obracając w rękę woskową świecę.

Tomasz, w pobliżu okna, tarł bosą stopą drugą stopę, stojąc w ciepłej plamie słońca na brązowo malowanych deskach podłogi. Czuł siebie tak wyraźnie jak nigdy. Serce tyka, wzrok ogarnia każdy szczegół, przeciągnąć by się teraz, podnieść ramiona i głęboko wciągnąć powietrze. Z zapadania się babki rósł dla niego triumf, dla niego samego potworny i nagle przerwany krótkim szlochem. Bo jej pierś walczyła o jeszcze jeden oddech. zobaczył ją małą, bezbronną, wobec straszliwości która zgniatała ją obojętnie i przypadł do łóżka wołając: „Babciu! babciu!”, żałując za wszystkie swoje winy wobec niej.

Ale ona, zdawało się przytomna, nie zauważała nikogo. Wstał więc i przelękając łzy, starał się zatrzymać na zawsze

każdy jej ruch, każde drgnienie. Palce jej otwierały się i zamyślały na kółdrze. Z ust wyrwał się charczący dźwięk. Zmagała się z ucieczką mowy.

— Kon-*stan*-ty.

Trzasnęła zapałka i knot świecy zajął się małym płomykiem. Zaczynała się agonja.

— Jezul! powiedziała jeszcze wyraźnie.

I cicho, ale Tomasz dobrze słyszał ten rozplywający się szept:

— U-*ra*-tuj.

Ksiądz Monkiewicz, gdyby był przy tym, mógłby stwierdzić że Niewidzialni zostali zwyciężeni. Gdyż prawu które powiada że cokolwiek umiera rozpada się w proch i ginie na nieskończoność wieków, przeciwstawiała jedyną nadzieję: tego który łamie prawo. Nie żądając już dowodów, wbrew racjom dowodzącym czegoś przeciwnego, wierzyła.

Białka oczu nieruchome, cisza, skwierczał knot gromnicy. Ale nie, pierś poruszyła się, głęboki wdech i znów sekundy biegły i nagle oddychanie ciała, które już zdawało się martwe, zaskakiwało, obce, rżące w nieregularnych odstępach. Tomasz przebiegał dreszcz grozy przed tym odczłowieczeniem. Nie była to już babka Dilbinowa, ale śmierć w ogóle, żaden jej własny kształt głowy, żaden jej własny odcień skóry się nie liczyły, zniknął jej, tylko jej lęk i jej „oje, oje”. Nieprędko, może upłynęło z pół godziny (choć według innej miary może to było tyle co całe życie) usta zakrzepły w połowie wdechu, otwarte.

— A światłość wiekuista niech jej świeci, amen — szepotała babka i palcem delikatnie spuszczała w dół powieki umarłej. Dziadek przeżegnał się wolno, uroczyście. Potem zaczęli radzić gdzie ją przenieść. Łóżko miało wygniecione tak głębokie doły, że ciało zastygłoby w półsiedzącej pozycji. Uchwalili żeby wstawić długi stół i Tomasz pomagał przepychać go przez drzwi. Przykryli jego płaszczyznę ciemną derką.

Pomagał także przenieść babkę Dilbinową z łóżka na stół. Koszula, kiedy sięgał ramieniem żeby dźwignąć zadarła się i wtedy szybko odwrócił głowę. Na prześcieradle, już kiedy ją trzymał w powietrzu, a Antonina unosiła ją za ramiona, zauważył smugę ekskrementów wyciśniętych w spazmie konania.

Wrócił kiedy leżała już umyta i ubrana. Ręce złączone na piersi, przylegające do siebie pięty, rozchylenie stóp i szczęka przewiązana chustką. Przez otwarte już teraz okno wpadały echa wieczoru, kwakania kaczek, powolne klekotanie wozu, rżenie konia. Tak inne, pogodne to wszystko, że powstawała wątpliwość czy naprawdę tutaj odbyło się czegoś był świadkiem.



Posłano go do stelmacha i tak żał minął. Stelmach mieszkał w kumietynie (obsługiwał i dwór i wioskę). Tomasz go przyprowadził i asystował braniu miary. A wieczorem długo nie mógł zasnąć, bo za drzwiami spoczywał trup i ona, przenikając w jego myśli z innej strefy, pozaziemskiej, już wiedziała o jego podłości. Z przyglądania się jak umierała czerpał przyjemność. Cierpką jak smak jagód, które pieką w język a przecie czemuś wzywającą, żeby jeść jeszcze. Świece w dwóch wysokich lich-tarzach paliły się tam teraz koło stołu-katafalku, słyszał mod-litwy, ale ona była sama w czarnej nocy.

Nazajutrz rano (na szklanej profitce w gruzłach stopionego wosku ugrzęzły skrzydła ćmy; między powiekami babki przebły-skiwał pasek bieli) poszedł do stelmacha ciekaw jak będzie ro-bił trumnę. Na podwórzu przed stolarnią wsparte jedno o drugie stały drewniane koła bez obręczy i piętrzyły się deski. Znał ten warsztat chropawy od zacięć i rysów, z rekojeściami śrubstaków z boku które luźno jeździły w otworach i ten zapach wiórów pod nogami. Umiał siedzieć nieruchomo długie chwile na pieńku urzeczony ruchem hebla. Tak i teraz. „Sosna do niczego, weź-miem dąb” mówił majster (Kielpsz, przez swój nos i gule na twarzy podobny był trochę do babci Misi). Żyły plątały mu się na rękach: góry i doliny. Ze szparki w heblu wywijają się pasmo ostrużyn i ta władza nad drewnem cieszyła, jeśli można deskę tak wygładzić, to jakby można było wygładzić, urządzić wszystko co jest. Więc deseń dębowych stojów przy policzkach babki Dilbinowej już na zawsze. Znów był pełen snu o Magda-lenie. Robaki, czy mogą wejść przez szpary w trumnie? Trupia czaszka, biała, z głębokimi jamami zamiast oczu a deski ciągle jeszcze będą trwać. Babka chyba umarła naprawdę. Opowia-dała mu o okropnych wypadkach letargu, kiedy już po zam-knięciu trumny rozlegały się w niej kołatania, a czasem ktoś słyszał kołatania w grobie, odgarniali ziemię i podnosili wieko, żeby znaleźć ludzi już uduszonych, skręconych w wysiłku. Obu-dzić się tak i zrozumieć — choćby na najkrótszy moment — że jest się żywcem pogrzebanym — tego się bała, zawsze powta-rzała, że lepiej już, jak ktoś kazał w jej rodzinie, rozbić młotkiem głowę umarłemu, żeby przekonać się że to nie letarg.

Krzyż miał być też z dębu. Stelmach wyciągnął z kieszeni gruby ołówek, poślinił i narysował na obrzynku jak powinien wyglądać. Podsunął mu rysunek i pytał o zdanie. Tomasz znów ocenił przywilej wnuka. Rodzaj daszka łączył ramiona krzyża „Po co to?” pokazał. „Tak trzeba. Tak ot, dwie deski zbić — niepięknie. A i deszcz o tędy spływa, nie psuje”.

Według Antoniny dusza człowieka krąży długo dokoła opuszczonej przez siebie powłoki. Krąży i ogląda siebie daw-

nego, dziwiąc się, że siebie dotychczas nie znała inaczej jak w związaniu z ciałem. A z każdą godziną twarz, która była jej lustrem, zmienia się, zbliża się do spleśniałości kamieni. Wieczo-rem Tomasz zauważył, że babka jest inna niż rano, ale nagle cofnął się w panice, bo spojrzała na niego. Skoczył ku drzwiom, gotów już wołać, że budzi się z letargu. Ale nie, nie poruszyła się wcale. To powieki rozchyliły się trochę bardziej i blask świec drgał w kresce białka. Dusza nie mieszkała tam wewnątrz. Je-żeli Antonina miała rację, snuła się tylko, dotykając znajomych sprzętów, czekając aż zostanie odprawiony pogrzeb, żeby mogła odejść bez troski o swoją, przecież, własność.

## LII

Obłoki układają się w brzuchate figury, smok teraz wędruje niebem, z zakręconym ogonem i płetwami, jego gęba rozwiewa się, wydłuża, od niej odrywa się kłębek bieli i pędzi, pchany jego oddechem. Po tym smoku przesuwa się cienki krzyż w rękach kościelnego, za nim idzie proboszcz, a trumnę noszą Balta-zar, Pakienas, Kielpsz i młody Sypniewski. Ze Szwedzkich Wa-łów, którymi stąpa pochód, widać wyraźnie maleńkich ludzi, po-ruszających się między punktami snopków na spadzistych po-lach po drugiej stronie Issy i wozy ze zbożem.

Luk Juchniewicz, który przyjechał wczoraj z Heleną, pod-biega żeby wyręczyć Pakienasa i rozchylają mu się czarne poły nad majtkami w ciemną kratkę. Przechyla głowę pod ciężarem, trumna obniża się, chwieje, a on drobi, psuje innym. Więc znów Luk nie okazuje się czymś innym niż śmiesznością i Tomasz jest zawiedziony. Tyle tylko że uparty — wykrzywia się płaczkliwie, ale dźwiga. Szatybełko włożył granatową kapotę, jego żona jed-wabną chustkę w czarne kwiaty.

W kościele siedzą w ławkach, Tomasz próbuje się modlić, ale myśli o dole, już wykopanym. W rodzinnych grobach zostały tylko dwa miejsca — dla babci Misi i dla dziadka, więc pocho-wają ją gdzie indziej, niedaleko. Natrafili na korzeń dębu, prze-cięli go siekierą i sterczą jasne plamy tych ran między glinką. Korzenie oplączą trumnę, może nawet do niej się przedostaną i babka będzie schwycona jak w szpony ptaka.

A kiedy inni powoli ruszają dopiero ku wyjściu, już prze-ciska się między nagrobkami. Tak, to tutaj. Żeby złożyć ją obok Surkontów, wybrano sam skraj cmentarza, a o kilka zaledwie kroków stąd, rozmyty przez deszcze, z kępkami rzadkiej trawy, wznosi się kopczyk dobrej znajomej Tomasza, Magdaleny. Ni-czego co się dzieje po śmierci nie można sobie naprawdę wyobra-



zić, ale obie muszą się jakoś spotkać. Jak? Wyciągają do siebie ręce, odcięta głowa Magdaleny już jest z powrotem na szyi i wybuchają płaczem: „A po cóż martwiłyśmy się, czyż było warto? A dlaczego nie zwałyśmy się i cierpiałymy, każda osobno? U mnie mieszkalabyś — mówi babka — ja wydałabym ciebie zamaż, ty pomogłabyś mi żyć, bo jesteś śmiała. Jak to źle, że ludzie kochają się dopiero po śmierci. Czy to trudno otruć się? Chciałabym wiedzieć”. — „Trudno — wzdycha Magdalena. Modliłam się, żeby Bóg przebaczył i tak klęcząc poślęłam truciznę, ale zaraz przeleżałam się i wołałam ratunku”. Obie są młode, babka jak na swoich dawnych fotografiach, kiedy nosiła suknię bardzo wcięta w tali. I mówią sobie na ty. „A dlaczego straszylaś” — pyta babka. Magdalena uśmiecha się. „Po cóż pytasz, przecież już teraz wiesz”. — „Tak, to prawda że już wiem”.

Tomasz nie godzi się na umieszczenie ich w dwóch różnych światach, bo uważa za niemożliwe żeby Magdalena została potępiona. Potępieni są chyba tylko ci, którzy w nikim nie budzą litości ani miłości. Tam inni gromadzą się dokoła świeżo rozkopanego gruntu, a on tutaj zaczyna Zdrowaś Mario, starając się wymawiać słowa tak żarliwie że aż wpija sobie paznokcie w skórę ręki. Poleca Magdalenę Matce Bożej.

Trumnę opuszczano na pasach, chybotąła się przez chwilę, zahaczyła o ten ucięty korzeń i wreszcie stanęła nieruchomo, zaglądał w dół, kiedy ksiądz Monkiewicz przemawiał. Kładą tak umarłych w ziemię ciągle, od setek i tysięcy lat, gdyby oni wszyscy powstałi, chyba zebrałyby się ich miliony, że staliby jeden przy drugim ciasno, ani szpilki nie wsadzić. I każdy z żywych wie, że umrze, dziadek mówi, że między łańcuchami w grobie Surkontów na niego już czekają. Oni wiedzą i znoszą to obojętnie. Na pewno nie ma żadnej rady, ale właściwie powinni krzyczeć, wydzierać sobie włosy z głowy z rozpacz, śmierć — samo przejście z jednego życia do drugiego — jest straszna. Nic. Spokój ich, ich „bo już tak jest” czy o to chodziło czy o inne sprawy, pozostawał dla Tomasza niepojęty. Wierzył w sekret, który Bóg objawiłby gdyby ludzie mocno chcieli: że śmierć jest niekonieczna, że wszystko inaczej wygląda niż myślą. A może wiedzą więcej niż po sobie pokazują i dlatego zachowują się tak spokojnie? Czyli że Tomasz udzielał im kredytu, podobnie jak Lukowi, który gdyby nie chował w sobie siebie drugiego, mądrzejszego, burzyłby cały porządek — dorośli wtedy nie byłiby niczym więcej niż śmiesznymi, przebranymi dziećmi. Co wydaje się proste, nie może być takie proste.

I jego Tomasza, któregoś dnia spuszcza w trumnie na pa-

sach. Nawet gdyby został papieżem? Nawet. Ale gdyby rozerwał się wtedy granat, nie wiedziałby że umiera, obudziłby się i zapytałby: „gdzie jestem”. Głuszec, którego zabił Romuald, nie miał czasu na przerażenie. Boże, spraw, żebym nie umierał powoli, jak babka.

„Ty rzuć pierwszy” — półgłosem mówi mu babcia Misia. Wnuk, najbliższy, a właściwie jedyny krewny. Bierze żółtawą grudkę i ciska, grudka uderza i rozpada się, inne już dudnią o wieko i zaraz ładunek łopaty zostawia na wierzchniej desce wąski pagórek piasku. Pracują szybko, już szpary między bokami trumny i ścianami dołu są wypełnione, jeszcze widać drewno napuszczzone brązowym bejcem, a wkrótce tylko jaskrawy kolor ziemi. Jeżeli pudło, ponieważ zamknięte, wzywało żeby odgadywać jego zawartość (bo ciało stało się czymś wewnątrz), to teraz tym bardziej — pusta przestrzeń, odrobina powietrza, odgrodzona od reszty powietrza, kawałek tunelu.

W górze dęby. Niektóre bardzo stare, stały tu kiedy droga jeździł Hieronim Surkont. W dole, pod stokiem zarosniętym krótką, gęstą trawą płynie strumień, wpada pod mostek i dalej do Issy. Sady i chaty na drugim zboczku porowu. Ten widok jest dany jako kres podróży. „Tabliczkę trzeba będzie koniecznie zamówić” — powiada dziadek. Tomasz wtrąca: „Powinno na niej być: wdowa po powstańcu 1863 roku”. Bo była z tego dumna. „Kwiaty my zasadzimy z Tomaszem” — obiecuje Antonina.

Kiepsza trzyma ten swój krzyż z daszkiem i umocowuje go, sypiąc naokoło i ubijając podłużną mogiłę. Tutaj kronikarz zatrzymuje pióro i stara się sobie przedstawić ludzi odwiedzających to miejsce kiedyś, po wielu, wielu latach. Kim są? Czym są zajęci? Ich samochód błyszczy w dole, koło mostku, spacerują tutaj. „Jaki śmieszny stary krzyż”. „Te drzewa warto wyciąć, po co one tu potrzebne”. Prawdopodobnie nie lubią śmierci, przypomnienie o niej poniża ich godność, tupią nogą w ziemię i mówią: „Żyjemy”. Jakkolwiek jest, w ich piersiach też tłucze się serce, nieraz oszalałe od trwogi, a poczucie wyższości nad tymi co przeminęli nie dostarcza żadnej obrony. Sinawe porosty zwieszają się z daszku Kiepsza, zniknął ślad nazwiska. I obłoki układają się w brzuchate figury jak wtedy, w dniu pogrzebu.

### LIII

Ten dźwięk w niczym nie przypomina głosów, jakie mogą wydobywać się z ludzkiego gardła, a przecież Tomasz nauczył się go naśladować. Szło mu z początku trudno, ale wprawił się i sam ledwo wierzył, że umie już z nimi rozmawiać. W lesie



koło Borkun jest dołek, zarośnięty olchami, który na wiosnę zmienia się w jezioro i tam się to odbywało. Teraz słońce już zaszło, wierzchołki olszyn czerniały na tle cytrynowego nieba i zbliżała się pora. Przed sobą miał zwartą ścianę młodych drzew, a stał w grząskiej mazi, w zapachu gnijących liści i z wściekłością a ostrożnie, unikając gwałtownych ruchów, zganiał komary, które obsiadały mu twarz i szyję. Tak opijały się krwią, że na dłoni, kiedy je miażdżył, zostawały czerwone smugi. Odciągnął cicho zamek berdanki do strzału. Berdanka jakoś do niego przyrosła, odebrana na lato Wiktorowi. „Po co ona tobie? — mówił do brata Romuald — czasu u ciebie nie ma, czy ty z nią chodzisz czy co? Wisi na ścianie, a Tomasz niech sobie zapoluje” I Wiktor zgodził się.

Jastrzębie założyły sobie gniazdo w gąszczu, tam gdzie trudno dojść, bo za mokro. Wychowały już młode i te cały dzień zataczały koła w powietrzu, jak rodzice, ale wieczorem rodzina zlatywała się tutaj na nocleg. Przedwczoraj spróbował swego wabienia i odpowiadały mu z trzech czy czterech stron. Chyba sekret polegał na wybraniu chwili kiedy nie wszystkie jeszcze są w domu i dopiero zwołują się. Ich kwilenie odzywało się coraz bliżej, aż między liśćmi zobaczył rozstawione szare skrzydła i zaraz trzepot, kiedy jastrząb czepiał się cienkiego wierzchołka. Nie widział Tomasza w półmroku na dole, wołał i czekał odpowiedzi. Wtedy Tomasz wolnuteńko podniósł strzelbę do oka i pocisnął cyngiel. Spadał! Długo szukał, bał się już, że nie znajdzie, chyba dopiero rano, aż natknął się na niego prawie pod nogami — szarość obca temu bagnu pełnemu ciemnych badyli, prawie jaskrawa. I te długie skrzydła, lotki rozpościerające się kiedy go podniósł, a odginając zaciśnięte kurczowo szpony skaleczył się w palec. Jeden to za mało kiedy zdobył taką nad nimi przewagę. Odczekał jeden dzień i próbował znowu.

„Pii-ii!” — przenikliwy krzyk musi wychodzić ze ściśniętego gardła i tu tkwi trudność, bo powtórzyć ileś razy a odczuwa się ból. Słyszał jastrzębie gdzieś w głębi lasu. Przylecą dziś czy nie? Tylko brzęczenie komarów, w plamie światła tańczyły słupem taniec w górę i w dół. „Pii-ii” — powtórzył. Co dokładnie oznacza w ich języku ten sygnał, nie wiedział, jedno pewne, że wyraża tęsknotę, wezwanie. Bliżej. Tak, na pewno. Wysłał znowu zachętę, niosła się daleko w ciszy, w której inne ptaki już znalazły sobie gałązki do spania i stroszą pióra. I nagle z kilku stron nalegający lament. Więc są.

Smakował swój triumf, choć starał się nie przesadzać. Jastrzębie, ponieważ młode, nie zdobyły jeszcze wprawy w odróżnianiu fałszywego tonu. A poza tym tutaj nie było sójek, które ostrzegają swoim skrzeczeniem o obecności człowieka. Zawabił

raz tylko jeszcze, bo z bliska jednak mogły rozpoznać, że to niezupełnie to.

Nad drzewami jeden kształt, drugi. Nie, że tam latają niczego jeszcze nie dowodziło. Ale uwaga, cień przemknął między szczotką młodych olch. Siadł. Gdzie? Komary na rękach i na czole Tomasza mogły teraz być pewne bezpieczeństwa, nie poruszał się. Jastrząb kwili z tamtego wierzchołka, a nie widać nic w listowiu. Jeżeli posunie się o kilka kroków, zauważy go z pewnością i wtedy zniknie, tym swoim szczególnym lotem, którego używa przy spotkaniu z człowiekiem: lotem tajemnicy.

Zaryzykować i wabić, jedyny sposób. Zapominając że jest sobą, przybrał duszę jastrzębia, tak starał się żeby dobrze mu wypadło. „Pii-ii”. I tamten, podniecony, rzucił odzew. Załopotał, to wystarczyło żeby Tomasz go wypatrzył. Celował prawie na oślep, raczej zgadywał niż widział myszatką plamę w czerni. Po strzale ptak zerwał się, zwinął się i spadał tłukąc się, usiłując się zatrzymać. Tomasz skoczył ku niemu, witki siekły go po twarzy. Już drugi, zabił drugiego — śpiewało w nim. Został go leżącego na wznak, jeszcze żywego, szpony sterczały obronnie. Zamiast towarzysza czy matki, których zaproszenie tak wyraźnie do niego się kierowało, olbrzymia istota pochylała się nad nim, porażonym niemocą. Tomasz oczywiście czerpał usprawiedliwienie swego postępku w tym, że drapieżnik karmił się mięsem i krwią rozdzieranych przez siebie gołębi i kurczaków. Stuknął go więc kolbą w głowę i złote oczy przesłoniły się od dołu powieką. Mięso po zdjęciu skóry oddane zostanie Lutni, a wypchana skóra zachowa przez pewien czas pozór tej właśnie, a nie innej osoby, zanim nie zalegną się w niej mole.

Jeżeli Tomasza nawiedzały skrupuły (co się zdarzało), tłumaczył sobie, że stworzenie które się zabija i tak, umrze, więc chyba wszystko jedno czy trochę wcześniej czy później. Jakoś że zwierzęta chcą żyć nie było całkowicie wystarczające, bo on przecie miał cel — zwyciężenia, wypchania i ten cel wydawał się ważniejszy. Niebo przybrało barwę granatową kiedy wyszedł z lasu i przeprowił się kładką nad strumieniem. Okna domu świeciły przez krzaki, Barbarka przygotowywała kolację. Co ona powie na drugiego jastrzębia?

Ale za trzecim razem już się nie udało, spłoszyły się tym strzelaniem. Umiejętnością wabienia chwalił się później nieraz, aż któregoś ranka (nie tego lata) chciał sprawdzić czy nadal umie i tylko zachrypiał. Przechodził mutację, głos mu zgrubiał i już nigdy nie zdołał wydać z siebie tego ostrego sygnału, pośredniego między miauczeniem kota i świstem kuli.



## LIV

Barbarka biła pana Romualda po pysku aż echo rozlegało się w sadzie. „Co ty? Co ty?” powtarzał i cofał się. Zaskoczenie przeciwnika jest taktyką na ogół zalecaną a tutaj było zupełne. W ten niedzielny ranek bez żadnych nieporozumień i sporów, nagle: „Świnia! Za staremi babami jemu zachciało się! Na! Na! Za moją krzywdę! Na!” Pojawienie się komety wywołałoby chyba równy podziw Romualda jak jej atak, mógł chwycić za kij i wygnać ją natychmiast z Borkun, ale zamiast tego miękł, niepewny czy nie zwariowała. A ona już uciekała ścieżką, zanosząc się od płaczu.

Płacz był szczery. Jednak co do ciosów, łączyły się tutaj w jedno gniew i rozważa. Barbarka jakoś czuła, że tak trzeba a nie inaczej, że albo wygra wszystko, albo przegra wszystko. Nudzić czy chmurzyć się po kątach nie zdałoby się już na nic. Zresztą ocenia się dystans przy skoku nie przy pomocy arytmetyki. Romuald był przeciwnikiem, ale nie tylko. Było mu z nią dobrze i to wiedziała. Przede wszystkim nie łatwo znalazłby gospodynię taką jak ona, z podobną czystością, porządkiem, zdolną do każdej pracy, nawet do orki — zarała kiedyś sama prawie całe pole kiedy chorował, a parobek pokłócił się i odszedł. Poza tym gotowała lepiej niż inne. Ponieważ nie młodzieniec, miał swoje upodobania, a każdą nową musiałby dopiero uczyć. Istniały też inne powody jej pewności siebie.

To życie na odludziu zupełnie im wystarczało, dlatego, że mieszkali razem. Wiosna i lato upływały szybko, wypełnione mnóstwem zajęć, ledwo mogli im nadażyć. W jesieni smażyła powidła z brusznic i z jabłek, a kiedy zaciągały się deszcze, siadała przy kołowrotku. Prząść umiała cienko. Len hodowali swój, a wełnę kupowało się u Masiulisa. Ze swojego przedziwa tkła płótna i sukna na krosnach. Stukała na nich w zimie (stuk powstaje kiedy przesuwa się czółenka) aż do zmierzchu — prząść można wieczorami prawie naoslep, ale tkactwo wymaga światła i wielkiej uwagi. Drewniany warsztat i kilka spódnic w kufierku stanowiły jedyny posąg Barbarki.

Pracowity tydzień kończył się ceremonią łaźni w sobotę i jej wyprawą do kościoła w niedzielę, bryczką albo na piechotę. Romuald nie był zbyt gorliwy i nieraz po kilka niedziel opuszczał, wołać swoje polowanie.

Łaźnię zbudował sam, nad rzeką i zbudował starannie. Składała się z dwóch izb. W pierwszej wbił kołki w ścianę na ubrania i nawet wyciosał ławę, żeby było wygodniej rozbierać się i ubierać. W niej też umieścił palenisko, tu wkładało się grube

polana, które tak nagrzewały płaski kamień za ścianą że każdy skopek wody wylany na niego zmieniał się natychmiast w kłęby pary. W tej drugiej izbie, od ściany do ściany, jedne nad drugimi, biegły trzy półki połączone ze sobą tak że tworzyły stopnie. Nie ma nic obrzydliwszego niż łaźnie w których gwizdzą wiatr, opatrywał więc szczeliny między bierwionami mchem co roku.

Ceremonia zaczynała się od tego, że Barbarka myła mu plecy. Następnie dodawał pary, a lubił bardzo mocną. Właził od razu na najwyższą półkę, a do niej należało postawić przy nim skopek z zimną wodą, tak żeby mógł sięgnąć ręką — jeżeli polewa się sobie głowę zimną wodą, wytrzyma się na górze dłużej. Brała wiennik z brzoźowych witek i stojąc niżej przeciągała nim po jego piersiach i brzuchu, co wymaga umiejętności: skóra robi się pod wpływem pary wrażliwa i dotknięcie parzy jak rozpalone żelazo, bardziej delikatne dotknięcie niż uderzenie, na tym właśnie żeby na przemiany dotykać i siec polega sztuka. Romuald sykał i ryczał: „Aaaa! Jeszcze! Jeszcze!” przewracał się na brzuch, czerpał dłońmi wodę ze skopka i: „Walaj! Jeszcze! Aaaa!” Aż zrywał się i czerwony jak gotowany rak pędził na dwór, tam przewracał się w śnieg, tarzał się w nim kilka sekund — tyle żeby jak dostać biczem, a nie poczuć chłodu. Wracał i znów pakował się na półkę, bo przychodziła kolej Barbarki. Trzymał ją tam na górze tak długo że jęczała: „Ojej! Ja już nia mogal!” „Możesz. Odwróć się”, i siekł a ona krzyczała śmiejąc się: „No już dość. Puść!”

Gdyby wypowiedział jej służbę, z kim by chodził do łaźni i kto by szorował mu plecy?

Ze Romuald patrzył na nią w łaźni z upodobaniem, nie ulegało wątpliwości. Samo zdrowie i młodość, piersi ani za małe ani za pełne, mocne ramiona i biodra. Jasno-różowa, prawie biała przy nim. Tak czy owak dawała mu sporo okazji do męskiej dumy.

Tak czy owak. Poddając się obrzędowi miłosnemu, Barbarka (co może nie jest bardzo stosowne, ale nie myśli się wtedy co jest stosowne a co nie) wzywała najświętszych imion z Ewangeli i wydając ostatnie tchnienie wrzeszczała szeptem: „Romuaald!” On, nieruchomy, kontemplował tę falę, która w niego uderzała i którą sam spowodował. Miał ambicję dobrej roboty. Zadowolony był kiedy po chwili znów łapała powietrze i znów słyszał jej bezładną litanię. Jeżeli powtarzało się to jeszcze i jeszcze i jeszcze, jak najmniej brała mu to za złe. I rozłąki z nim nie mogła sobie w ogóle wyobrazić. Gdyby nie pomogły pewne stare sposoby i było dziecko, no to by było. Świat rano pojawiał



się nowy, szyba przemyta rosą, i nogi lekko drżały w kolanach. Stał te pieśni nad krosnami, z nadmiaru radości.

Teraz jednak płakała, myśląc zarazem co on robi w sadzie. Idzie ścieżką, zaraz podłoga zaskrzypi, wejdzie i powie: „won”. Chociaż gdyby tak w złości ją wyrzucił postąpiłby przeciwko sobie. Cała historia z Heleną Juchniewicz na nic mu nie była potrzebna. Barbarka jego szlacheckie kaprysy uważała za część męskiej głupoty, u każdego mężczyzny innej, którą trzeba znosić taką na jaką się natrafi. Nie więcej niż przebranie, pod spodem jest zwyczajny. Powinien wreszcie spostrzec się, że goniąc za prawdziwą panią tylko po to, żeby pokazać: ja nie gorszy od nich, psuje sobie wszystko.

Gdyby nie stara Bukowska... Ta była jej wrogiem. Nie sprzeciwiała się wcale jej pobytowi u Romualda, nie mógł przecie żyć zupełnie sam, ale pilnowała. Czasem sadzał Barbarkę koło siebie na bryczce i tak jechali do kościoła, i za to mu wymyślała: co ludzie powiedzą. Służąca powinna znać swoje miejsce.

Tak, Bukowska przeszkadza. Najwyższe szczęście, władanie na Borkunach, z pewnością że już nikt by jej stąd nie wyśiadał, przez nią było zabronione. Nigdy żaden Bukowski nie ożenił się z chłopką, nawet z bogatą, nie taką jak ona. Ze wzrokiem utkwionym w podolek, siedząc z szeroko rozstawionymi nogami, które napinały spódnice, Barbarka oddawała się rozpacz. Tamte przeszkody wydały się już niepotrzebnym zmartwieciem. Jeżeli on wejdzie, padnie przed nim na kolana i będzie prosić o przebaczenie. Żeby tylko było jak dotąd.

Czerstwy kark Romualda jest pocięty w ukośne kwadraciki. Teraz poczerwieniał, prawie koral indora. Stoi nieruchomo, podrywa się, szybko idzie w stronę domu. Ale zatrzymuje się przed gankiem, po chwili wolno wstępuje na drewniany stopień i w swoim pokoju zdejmuje dubeltówkę ze ściany.

Las, jeżeli słucha się jego szumu przez wiele godzin, udziela rad. Te rady, albo znany fakt, że twardość mężczyzn jest pozorna, sprawiły że kiedy wrócił po południu, nie powiedział nic. Dopiero wieczorem, kiedy wydoła już krowy, rozległo się jego rzeczowe:

— Barbarka!

Drżąc przestępowała próg.

— Kładź się!

W rękę trzymał kańczug z sarnim kopytkiem. Zadarł jej spódnice i bił po gołym tyłku, nie śpiesząc się, a boleśnie. Skowytała i skręcała się za każdym uderzeniem, gryzła poduszkę, ale szczęśliwa. Nie odtrąci jej! Karze, to znaczy że uznaje za swoją! Sprawiedliwie karze. To jej się należało.

Co nastąpiło później może być uznane za nagrodę, tym większą, że miłość nabiera słodczy, kiedy połączona jest ze łzami i bólem. Tu wypada zauważyć jedną z najdziwniejszych cech człowieka, że nawet kiedy się zbliża do szczytu upojenia, nie opuszcza go myśl, snująca się niezależnie od zapamiętania cielesnego i wtedy, bardziej niż kiedykolwiek, czuje że jest podwójny. Usta Barbarki wyrzucały święte imiona, świadczące że jest wierną córką Kościoła i że nie może wyrażać gwałtowności swoich uczuć inaczej niż w jego języku, a myśl odważała swój triumf. I jeszcze niedawno godząca się całkowicie na to, żeby zostało jak jest, sięgała dalej, w walkę przeciwko starej Bukowskiej. Barbarka widzialna chciała żeby ją rozdzierał i wypełniał, a Barbarka niewidzialna podszeptowała, że gdyby z tego urodziło się dziecko, nie byłoby najgorzej. A obie utrzymywały ze sobą pewne porozumienie.

(d. c. n.)

Czesław MIŁOSZ

## GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”  
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”  
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad  
3.000 tytułów. Wysyła natychmiast po otrzymaniu  
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,  
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII  
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:  
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4<sup>e</sup>

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI



## Wiersze

W kąta idą najmędrze przepisy na wybór poezji (stare jak i najnowsze) kiedy czytamy wiersze Bogdana Czaykowskiego. Daleko im do gładkości. Składnia jest szorstka, żeby nie powiedzieć prozaiczna; nie brak również słów zużytych, straszących swą dobrze podstarzałą „ślizgoczą”.

Wszystkie te błędy nie potrafią jednak osłabić ładunku liryki zawartej w wierszach, których autorem jest młody, 23-letni poeta. Posiada on dary cenne i nie często spotykane: śmiałą wyobraźnię i dramatyczne widzenie rzeczywistości. Debiutuje pod znakiem swego bezsprzecznie oryginalnego talentu.

Marian PANKOWSKI

### MAGICZNY POEMAT

Najpierw poszedłem do lasu  
I nabierałem słów koszyk.  
Połem poszedłem na łąkę  
Po której strumień płynął,  
I wziąłem błękitny strumień  
I nanizalem nań słów,  
I powiesilem na wierzbie  
Gdy świecił nów.

A przyszli rano ludzie  
I zobaczyli na wierzbie  
Strumień błękitny, a na nim  
Gwiazd nanizanych krocie;  
Więc każdy serwał gwiazdę,  
A strumień butem zmącił.

Gdym się dowiedział o tym  
Wyszedłem nocą w las,

I nazrywałem gwiazd,  
I czarne wziąłem niebo  
I gwiazd nań narzuciłem,  
I jak jedwabny namiot  
Wysoko rozpostarłem.

I już nigdy nie osiągną ludzie gwiazd  
Co świecą w nocy.

### KARM MIŁOŚĆ SWĄ JABŁKAMI PROSTO Z DRZEWA JABŁONI

Karm miłość swą jabłkami prosto z drzewa jabłoni,  
Mlekiem jeszcze ciepłym od krowy,  
Pachnącym wymionami i wiadrem.

Daj jej biegać po łąkach od rosy świeżych,  
Prowadź do źródeł czystych,  
Kąp w ruczajach przezroczyście,  
Wiedź w las między strzeliste drzewa.

Postanie jej wybierz na mchu,  
Wśród liści przewietrzonych, z przykryciem  
Z pachnących jedlin.

Daj miłości swej słońca lejące się miodne strumienie,  
A w lipowe sadzaj ją cienie  
Gdy zbyt upał doskwiera a pali żar.

Nie zamykaj jej, nie zaciskaj w pięści,  
Nie zawijaj w chusteczkę co jedwabicie chrzęści,  
Nie buduj jej pałaców z murem wokół kamiennym,  
Lecz oddech daj swobodny, a rozmach przestrzenny,  
Jabłkami prosto z drzewa ją karm.

### MARCOWA NOC

Pod moim oknem płacze kot,  
Jak dziecko płacze, woła.  
I inne koty łapią w lot  
Ten krzyk, i płaczą razem z nim;  
Pod moim oknem płaczą koty  
W wichrową, dżdżystą noc.

Wtęm przerwał ktoś koci płacz:  
Człowiek w łachmanach, drżący na wietrze,  
I teraz słyszę jego jęk  
Jak bólem syci ruchome powietrze.



Odszedł w szałki, wiatr  
Za nim zebrał resztki ciepła  
.Co drgały na wietrze.

I znów pod moim oknem płacze kot,  
Jak dziecko płacze, woła.

#### PRZEBUDZENIE

W pół-śnie miasta, wieś  
w kamiennym śnie,  
noc chyli się ku zachodowi.  
Wiatr w drzewach przez sen klnie,  
z grusz lecą owoce w trawę,  
już niebo się wschodnie różowi  
i gęsi wleciały nad stawem.

Budzi się świat, powoli  
oczy rozwiera senne  
i patrzy w półmrok,  
wiosenne  
sny wspomina i wdziawa  
szare ubiory, już dudnią  
buty parobków po deskach podłogi.

Już zbudził się wiatr,  
słyszysz, jak słomę wygrzebuje z włosów,  
patrzy na wschód,  
gdzie słońce  
rozrzuca złote snopki kłosów.

Po niciach swych własnych pajęczyn  
gramoli się słońce jak rudawy pająk  
na wzgórze, i ponad wzgórze, ku górze nieba;

a chłopci łamią grubymi palcami  
brązowe gruły chleba  
w imię Ojca i Syna... Amen.

#### JESIENNA FRASZKA

Scodzienniale, mokre deszczem, liście jesieni,  
Wgnięcione w błotniste ścieżki,  
Leżące na lśniącej trawie,  
W bezruchu pławiące się w czarnym stawie,  
Nie wzruszają już więcej.

#### TRAGEDIA

Na skórcie pomarańczy  
Ślady szarańczy.

Na księżycy pysku  
Czarne plamy ospy.

A przy wodotrysku  
Osły.

O, błagaj,  
Proś!

Poprzez przestrzeń  
Skroś  
Pustynie  
Wolaj  
Ginie!  
Ojczyzna ginie.

Na posadzce ciała Rejtana.  
Oj dana.

#### POLACY

Polacy? To ludzi grupa  
Co wiecznie niesie trumnę,  
Zamiast zakopać trupa.

#### FATUM

Sęp w niebie jak punkt.

Owce na ziemi ociężałe  
Wetnę na kolecach czesały.

Drugi sęp w niebie jak punkt.  
W cieniu kaktusa pastuch  
Zapatrzony w niebo.

Trzeci sęp w niebie jak punkt.

Od stada ociężałe  
Odeszła owca.

Trzy sępy w niebie.

Już lecą  
Ukosem w ziemię.



*Pastuch w cieniu kaktusa  
Zapatrzone w sępy wokół zdechłej owcy.*

*Owca na chwilę zapatrzone w niebo.*

### ROZMOWA O ŚMIERCI

*Czy wiesz co to jest śmierć?*

*Wiem.*

*Ach, co to, zobacz, kilka kęp,*

*A wokół bagno?*

*Wiem, to lęk.*

*Nie, nie wiesz nic.*

*Czyś patrzył jak płynie rzeka?*

*Jak życie jest gdy nam ucieka.*

*Znów nie to, spójrz:*

*Co czyni odpływ gdy piasek wyrzuca Ci spod stóp?*

*On kopie grób.*

*Ach przestań, przestań,*

*Śmierć jest tym*

*Co ogień zmienia w dym.*

Bogdan CZAYKOWSKI

## Archiwum polityczne

### Europa zneutralizowana?

W artykule drukowanym w marcowym numerze „Kultury” wysunąłem pogląd-nadzieję, że Stany Zjednoczone podejmą w przyszłości wielką politykę pokojową, której celem byłoby ustanowienie międzynarodowej kontroli atomowej. To jest program maksymalny.

W chwili obecnej prawdopodobieństwo ataku sowieckiego na Nowy Jork jest znikome — a prawdopodobieństwo ataku amerykańskiego na Moskwę — równe zeru. Strefy niebezpieczne — gdzie każdej chwili może dojść do Serajewa trzeciej wojny światowej — to w pierwszym rzędzie Azja. Można przyjąć za pewne, że główni partnerzy — w miarę możliwości — będą się nawzajem oszczędzać w obawie przed odwetem — rozgrywając walkę o „resztówkę” świata w serii ostrożnie wyplanowanych wojen lokalnych.

Przyjrzyjmy się scenie europejskiej: Mołotow niespodziewanie wysunął pod adresem rządu austriackiego ponętą ofertę podjęcia rozmów w sprawie układu pokojowego mimo, że do niedawna kategorycznie odmawiał dyskusowania problemu Austrii w oderwaniu od zagadnienia niemieckiego. Jest oczywiste, że p. Mołotowowi nie leżą na sercu interesy nieszczęsnej Austrii, a jego najnowsza inicjatywa ma wyłącznie na celu stworzenie jeszcze jednej przeszkody na drodze wiodącej do ratyfikacji umów paryskich. Umowy paryskie są w oczach p. Mołotowa instrumentem polityki amerykańskiej. Innymi słowy najistotniejsze interesy Austrii rozpatrywane w realistycznej skali polityki światowej stanowią przedmiot rozgrywki i przetargów pomiędzy Sowietami a Stanami Zjednoczonymi. Każdy ściśle austriacki problem ma zawsze trzy aspekty: sowiecki, amerykański — no, i ...austriacki. Pytanie brzmi czy jest rzeczą możliwą owe trzy aspekty sprowadzić do wspólnego mianownika? Zatrzymałem się dłużej na przykładzie austriackim, gdyż



w pewnej mierze cała Europa jest dziś „większą” Austrią. W gruncie rzeczy wszyscy na dnie duszy pragną neutralności, bezpieczeństwa i ewakuacji obcych wojsk.

Polityka neutralności — jak każda inna polityka — wymaga pewnego minimum zasadniczych warunków. Neutralność takiego kraju jak Austria jest nonsensem, bo w dzisiejszej epoce nie można tworzyć na przedpolu styku sfer wpływów Sowietów i Ameryki tworów à la Rzeczpospolita Krakowska.

Nie jest rzeczą możliwą zneutralizować Austrię. Nie jest rzeczą możliwą zneutralizować Niemcy. Natomiast — być może — byłoby rzeczą osiągalną zneutralizować całą Europę.

Zamiast dyskutować z Sowietami na temat poszczególnych zagadnień — jak Austria czy Niemcy — należałoby wy badać możliwości rozmów na temat statutu politycznego całej Europy. Przez całą Europę rozumiem obie jej połowy to jest wschodnią i zachodnią.

W polityce — jak wiemy — istnieje tylko jedno kryterium a mianowicie: interes. Chcąc ocenić realne szanse zneutralizowania Europy musimy podjąć próbę odpowiedzi na dwa następujące pytania:

1. Co na zneutralizowaniu Europy zyskałyby Sowiety?
2. Co na zneutralizowaniu Europy zyskałyby St. Zjedn.?

Rosja gotowa jest zapłacić bardzo wysoką cenę za ewakuację wojsk (i baz) amerykańskich z kontynentu, oraz za „spacyfikowanie” Niemiec.

Ideałem, z punktu widzenia sowieckiego, byłyby Niemcy satelicko-sojusznicze. Jeżeli jednak ów ideał nie jest do osiągnięcia — najlepszym z pozostałych możliwych rozwiązań jest neutralizacja całych Niemiec. Odbudowane, uzbrojone Niemcy w sojuszu z Ameryką stanowią widmo, które spędza sen z powiek rezydentów Kremla. Sojusz zbrojny niemiecko-amerykański — z punktu widzenia polityki sowieckiej jest najgorszą z możliwych kombinacji, której należy uniknąć niemal za każdą cenę.

Innymi słowy neutralizacja Europy rozpatrywana z punktu widzenia polityki sowieckiej — przyniosłaby pozytywne rozwiązanie dwóch kardynalnych zagadnień a mianowicie „spacyfikowanie” i zneutralizowanie całych Niemiec — oraz ewakuację wojsk amerykańskich z kontynentu.

Tym aktywom po stronie zysków odpowiadałaby — po stronie strat — ewakuacja z państw satelickich.

W tego typu układzie, utrata państw ujarzmionych nie byłaby dla Sowietów zbyt bolesna — ponieważ, z jednej strony towarzyszyłaby jej równoczesna ewakuacja Amerykanów z kontynentalnej zachodniej Europy — z drugiej zaś strony, neutralizacja Niemiec czyniłaby w pewnej mierze zbędnymi politycznie niepewne dywizje Rokossowskiego.

Imperium satelickie jest rozbudowywane jako przeciwwaga Niemiec, Niemiec uzbrojonych i sprzymierzonych z państwami sojuszu atlantyckiego. Z chwilą jednak gdyby Niemcy zostały zneutralizowane i wraz z całą Europą poddane ścisłej między-

narodowej kontroli — polityczna przydatność satelitów wybitnie by zmalała.

Daleki jestem od pomniejszenia znaczenia państw ujarzmionych pod względem politycznym, gospodarczym, strategicznym, propagandowym czy prestiżowym. Wydaje mi się natomiast, że tylko w ramach ogólnego układu dotyczącego całej Europy byłoby rzeczą możliwą (bez podejmowania wojny) nakłonić Rosję do wycofania się z państw środkowo-wschodnio europejskich.

W ciągu najbliższych lat po obu stronach nastąpi „nasyce nie” potencjałów atomowych. Wówczas atak amerykański na Rosję czy sowiecki na Amerykę oznaczałby światową katastrofę wodorową, której perspektyw i konsekwencji nikt nie jest w możności obliczyć czy przewidzieć. Należy wnioskować, że zarówno Rosja jak i Ameryka nie zaatakują się bezpośrednio i rozstrzygnięcia szukać będą nie na swoich lecz na cudzych terytoriach. Operacjom na obcym terytorium można nadać charakter wojen lokalnych, choćby nawet w tych wojnach stosowano „konwencjonalne” bronie atomowe.

Jeżeli się więc przyjmiemy, że obie strony będą unikać wojny wodorowej w skali globalnej — decydującego znaczenia nabiera „resztówka” świata to jest wszystko to, co do tej pory nie jest jeszcze ani sowieckie ani amerykańskie. Jest oczywiste, że obie strony będą usiłowały poszerzyć sfery wpływów przed ostateczną rozgrywką. W praktyce okazało się jednak, że są terytoria, które nie nadają się do ograniczonych operacji lokalnych. Takim terytorium jest Europa. Można zlokalizować wojnę na Korei ale nie w Europie.

Należy przyjąć za pewne, że walka o „resztówkę” świata na bardzo wielu odcinkach pozostanie nierozegrana. Nierozegrana pozostanie wszędzie tam — gdzie ograniczone operacje nie są w możności zapewnić rozstrzygnięcia. Nie jest więc wykluczone, że z czasem obie strony skłonne będą uznać wynik remisowy na danym odcinku, za rozstrzygnięcie w pewnej mierze długotrwałe.

Lęk przed wojną wodorową jest autentyczny po obu stronach barykady. Stratedzy po obu stronach nie mają jasnego obrazu jaką ceną byłoby okupione zwycięstwo i w jakim stopniu los zwycięzców byłby lepszy od losu pokonanych. W sumie, należy przyjąć niemal za pewne, że niezależnie od propagandy i taktyki — zagadnienie wojny światowej obie strony traktować będą z rosnącą ostrożnością.

Istotą „stalemate” czy impasu w polityce światowej jest fakt, że obie strony de facto rezygnują w chwili bieżącej z totalnego rozstrzygnięcia a sytuacja bez wojny powszechnej jest nie do rozwiązania. Osobiście jestem pewien, że gdyby w technice wojennej nie nastąpiły epokowe zmiany od roku 1945 — dziś znajdowaliśmy się w samym centrum trzeciej wojny światowej. Do roku 1945 obowiązywało w całej rozciągłości powiedzenie Napoleona, że Pan Bóg jest zawsze po stronie batalionów, które zwyciężają. Obecnie nie jest to już takie pewne.



Zwycięstwo okupione eksplozją setek bomb wodorowych może kryć dla zwycięzców katastrofalne perspektywy.

Jest wysoce prawdopodobne, że w najbliższym okresie, który trwać może długo — nie będzie ani wojny, ani rządu światowego, ani międzynarodowej kontroli atomowej. Główni przeciwnicy — choć brzmi to paradoksalnie — są spętani własną potęgą i sparaliżowani obawą przed wzajemnymi możliwościami demonstracji sił. Dzięki temu ich możliwości działania są ograniczone. Każdy nieopatrzny krok Ameryki czy Sowietów może spowodować wybuch konfliktu. Inicjatywy Francji czy Belgii nie pociągają za sobą takiego ryzyka.

Za kilka lat Europejczycy mogą dojść do wniosku, że tak Rosja jak i Ameryka nie chcą dopuścić do światowego konfliktu — nie mają de facto żadnych szans załatwienia problemu europejskiego. Tak w Waszyngtonie jak i w Moskwie politycy pogodzą się milcząco z tym, że problem europejski jest partią remisową i wskutek tego jakiegokolwiek zmiany nie są możliwe. Amerykanie i Rosjanie mogą się z tym pogodzić. Nie ma jednak najmniejszego powodu by mieli się z tym godzić Europejczycy.

Kontynuowanie obecnego układu (choćby na myśli mieć tylko Zachód) z przepołowionym Berlinem, z „neutralną” Austrią, z niemożnością załatwienia jakiegokolwiek problemu — doprowadzić musi w końcu do upadku i dekadencji, gdyż nie można bezkarnie żyć dziesiątkami lat w „obozie przejściowym”. Z politycznego punktu widzenia ów upadek Europy nie jest zyskiem ani dla Sowietów ani dla Ameryki. Jest on tylko ubocznym produktem zamrożenia nierozegranej sytuacji na pewnym odcinku światowego frontu sowiecko-amerykańskiego.

Na jakich przesłankach należałoby oprzeć statut zneutralizowanej Europy?

Warunkiem zasadniczym musiałyby być ewakuacja wojsk sowieckich i krajów Europy wschodniej — oraz ewakuacja wojsk amerykańskich i brytyjskich z Europy zachodniej. Obszar całej Europy zostałby uznany za strefę neutralną i byłby pod stałą kontrolą międzynarodowej komisji. Bezpieczeństwo byłoby zapewnione gwarancją O.Z.N.

Na marginesie warto zaznaczyć, że obecność obcych wojsk lądowych jako gwarantów — jest dziś zupełnym anachronizmem. Najlepszym „gwarantem” jest odpowiedni „parasol” lotniczy. Anglia z Hiszpanią nie byłyby objęte europejską strefą zneutralizowaną i amerykańskie bazy lotnicze na jej terytorium pozostałyby nietknięte.

Nie jest moim zadaniem w niniejszym artykule przedstawianie szczegółowego planu tak skomplikowanej międzynarodowej operacji. Nie twierdzę również, że plan neutralizacji Europy jest w tej chwili pomysłem realnym. Jedynym celem tego artykułu jest wykazanie, że mieszkańcy pewnej strefy „resztówki” świata jaką jest Europa, powinni przełamać pogłębiający się „impas” sowiecko-amerykański i wynegocjować dla swych obszarów statut neutralny.

Nie trzeba nigdy zapominać, że polityka odstraszania działa w dwóch kierunkach. Bomba wodorowa odstrasza nie tylko Rosję od podjęcia agresji przeciw Zachodowi — ale w większym jeszcze stopniu odstrasza Amerykanów od polityki i inicjatyw, które mogłyby wzmocnić napięcie międzynarodowe. Niestety polityka wyzwolenia należy do tych ostatnich.

Jeżeli wyłączamy teraz wojnę — to zmiany terytorialne są możliwe tylko na drodze układów neutralizujących sporny obszar.

Odrobienie Jałty w drodze pokojowej (jeżeli byłoby do osiągnięcia) wymagałoby zmiany układu europejskiego i wycofania się z kontyentu wszystkich sygnatariuszy a nie tylko Rosji.

Jak wynika z ogłoszonych w Ameryce dokumentów dla Stalina Jałta była przede wszystkim problemem Niemiec. „Potężna i niepodległa” Polska miała uniemożliwić Niemcom w przyszłości atakowanie Rosji.

Jeżeli chodzi o wschodnią Europę istniały i istnieją nadal tylko dwa programy polityczne dla tego obszaru. Program rosyjski i program niemiecki. Stany Zjednoczone i zainteresowane kraje z Polską włącznie, nie umiały dotąd wypracować żadnej koncepcji.

Porządek jałtański jest realizacją programu rosyjskiego. Nie oznacza to jednak, że Niemcy zrezygnowali ze swojej polityki wschodniej. W republice związkowej przybywa z każdym miesiącem organizacji politycznych, instytutów naukowych, pism, periodyków — poświęconych Europie wschodniej.

Jest oczywiste, że Rosji można by tylko wówczas proponować wycofanie się z jej programu wschodniego, gdyby równocześnie gwarantowało się układ uniemożliwiający Niemcom podjęcie ich programu wschodniego.

Zneutralizowanie Europy oznaczałoby w pierwszym rzędzie zneutralizowanie Niemiec i poddanie ich stałej międzynarodowej kontroli.

Europa zneutralizowana nie byłaby ani rosyjska, ani niemiecka, ani francuska. Byłaby neutralnym związkiem państw, którego bezpieczeństwo pokrywałaby gwarancja O.Z.N.

W moim przekonaniu Rosja nie pokusiłaby się nigdy o koreańskie rozwiązania na kontynencie europejskim. Wojny lokalne podejmowane będą zapewne gdzie indziej nie w Europie, która nadaje się tylko na scenę światowego spektaklu.

Sto lat temu narody ujarzmione modliły się o powszechną „wojnę ludów”. Dziś, nie wiem czy w ramach jakiegokolwiek religii wolno modlić się o wojnę atomową. Czy wolno modlić się o wyzwolenie dla 100 milionów kosztem wodorowego krematorium dla milionów a może dla dziesiątków milionów?



Polityk wschodnio-europejski czy pisarz czeski, polski czy rumuński potrzebuje wielkiego wysiłku i odwagi by analizując te zagadnienia wydobyć się z sieci fałszu świątobliwych zakłamania.

Pacyfiści Zachodu głoszą: wojna atomowa jest najwyższym złem i dlatego każdy kompromis zapewniający pokój jest lepszy i bardziej moralny niż wojna.

Politycy emigracyjni wierzą w moralność wojny wyzwolenczej a znakomita ich większość sądzi, że tylko wojna może przynieść uwolnienie krajom wschodnio-europejskim spod okupacji sowieckiej.

W moim przekonaniu obie powyższe filozofie wojny wymagają radykalnej rewizji.

Gdyby pacyfistyczna moralistyka głoszona przez wielu wybitnych ludzi na Zachodzie stała się podstawą oficjalnej polityki — bomba wodorowa wykopałaby większą przepaść między ujarzmionym Wschodem a wolnym światem niż wszystkie „żelazne kurtyny” razem wzięte. Ponieważ narody ujarzmione nigdy nie przyjmą poglądu, że wszystko jest lepsze niż wojna — wszystko, włącznie z ich wieczystą niewolą.

Bomba wodorowa w niczym nie umniejszyła praw każdego narodu do wolności. Z drugiej jednak strony, należy z naciskiem podkreślić, że broń atomowa narzuca tym, którzy decydować mają o podjęciu wojny nową, śmiertelną niemal ponad-ludzką odpowiedzialność. I tu jesteśmy u dna problemu. Narody ujarzmione muszą uznać, że moralistyka wojny uległa przemianom, to znaczy, że wojnę wolno dziś podjąć tylko w imię celów najwyższych i ponadnarodowych. Być może nie każda wojna wyzwolencza podpada pod tę kategorię celów najwyższych.

Zachód będzie miał prawo domagać się od narodów ujarzmionych uznania faktu, że podstawy moralne wojny wyzwolenczej uległy przemianom (bo konsekwencje każdej wojny wyzwolenczej obejmują dziś los świata) — jeżeli równocześnie odrzuci tę, że broń wodorowa jest stabilizatorem obecnego podziału globu, a tym samym sankcjonuje niewolę milionów.

Narody ujarzmione zdają sobie sprawę dokładniej niż politycy na Zachodzie z tego, że broń wodorowa nie utrwała i nie stabilizuje niczego. Paraliżuje pewne umysły i pewien odtam opinii publicznej na Zachodzie i nic poza tym. Widmo apokalipsy wodorowej nie wpłynęło ani na jotę na kurs polityki sowieckiej, której celem było, jest i będzie totalne skomunizowanie świata.

Bomba wodorowa niczego nie stabilizuje, wpływa natomiast niewątpliwie hamująco na proces krystalizacji ostatecznych decyzji. I dlatego obecny impas może trwać bardzo długo.

Byłoby osiągnięciem wprost historycznym, gdyby Stanom Zjednoczonym powiodło się w drodze pokojowych negocjacji, w okresie trwania owego impasu, przesunąć „żelazną kurtynę” bardziej na Wschód. Neutralizacja Europy prowadziłaby do tego typu rozwiązania.

Tak dla Rosji jak i dla Stanów Zjednoczonych nie Europa lecz Azja i daleki Wschód stanowią centrum głównych zainteresowań. Może właśnie dla tego neutralizacja Europy byłaby możliwą do zrealizowania.

W zakończeniu chciałbym podkreślić dwa momenty.

Wydaje mi się, że w obecnej sytuacji sens miałyby tylko wielkie bloki neutralne. Zneutralizowanie jednego państwa, np. Niemiec — nie rozwiązuje niczego, a stwarza wielką pokusę dla imperializmu sowieckiego. Neutralizacja jednego państwa nie stwarza systemu i w gruncie rzeczy jest tylko zaproszeniem do ratalnej kapitulacji.

Drugi punkt, który chciałbym podkreślić, sformułować by można następująco: chodzi o neutralizowanie terytorium a nie ludzi. Neutralizm w sensie jaki nadaję mu w tym artykule — jest tylko i wyłącznie określeniem statutu terytorialnego. Nie jest natomiast żadną polityczną ideologią, „trzecią siłą” czy innym nonsensem.

Dopóki istnieją Sowiety dążące do podboju świata, dopóki przywódczej polityce amerykańskiej nie powiedzie się wynegocjować, lub narzucić siłą rzeczywistej, międzynarodowej kontroli atomowej — każde proponowane rozwiązanie sytuacji europejskiej będzie miało oczywiście charakter czasowy.

Neutralizacja Europy nie byłaby również rozwiązaniem ostatecznym. Byłby to statut przejściowy — gdyż rozwiązaniem ostatecznym, do którego należy dążyć — będzie rząd światowy i neutralizacja całego globu.

Juliusz MIEROSZEWSKI

## Kronika londyńska

### LEGALIZM „LEGALNY” I „NIELEGALNY”

Doskonały publicysta, Aleksander Bregman, ogłosił cykl źródłowych i na dokumentach opartych artykułów pod łącznym tytułem: „Zagadka Augusta Zaleskiego”.

Są tacy, którzy sądzą, że p. Zaleski nie był w ogóle nigdy legalnym prezydentem R.P. Nawet przez 24 godziny. Według tego poglądu po śmierci prez. Raczkiewicza sytuacja ułożyła się następująco: funkcje legalnego prezydenta przejął p. A. Zaleski, który jednak legalnym prezydentem



nie był; legalnym prezydentem był T. Arciszewski, który jednak urzędu nie objął.

Opinia, że p. Zaleski nie jest i nigdy nie był legalnym prezydentem opiera się na wykładni art. 13. Konstytucji, który wymienia prerogatywy Prezydenta Rzeczypospolitej. Otóż do prerogatywy prezydenta *nie należy* odwoływanie dokonanej nominacji Następcy, sędziów Trybunału Stanu, czy senatorów. Raz zamianowany — kłamka zapadła, przepadło. Ponieważ p. Arciszewski ze stanowiska Następcy nigdy nie zrezygnował — wyznaczenie p. Zaleskiego następcą było nieważne i sprzeczne z konstytucją.

Gdybyśmy doszli do wniosku, że p. August Zaleski nie był w ogóle prezydentem — to oznaczałoby to, że wszystkie jego zarządzenia i dekrety były nieważne. A więc dekret o Skarbie Narodowym, nominacja generała Andersa na generała broni itd., itd.

Jest rzeczą zdumiewającą i coraz trudniejszą do pojęcia dla normalnego człowieka, w jakim celu nasi przywódcy brną coraz dalej i głębiej w ów legalistyczny bezsens. To jest znacznie bardziej ponura zagadka niż zagadka p. Zaleskiego. Nie ulega wątpliwości, że z tej matni nie ma wyjścia. Można tylko do serii dotychczasowych krętaństw i łamańców dodać nową serię krętaństw — równie wątpliwych jak poprzednie pod względem prawnym i moralnym.

Jest jasne i oczywiste, że nie można dziesiątkami lat podtrzymywać pewnego porządku prawnego w całkowitym odcięciu od jego źródła, to jest suwerennego narodu. To odcięcie od źródeł wiedzy do talmudystyki, wykrętnych interpretacji, naginań, do poniżającego karykaturowania niegdyś żywej i szanowanej litery prawa ojczystego.

Legalizm emigracyjny polega na „umawianiu się”. Po śmierci prez. Raczkiewicza pewna grupa osób umówiła się że p. Zaleski będzie prezydentem. Z p. T. Arciszewskim i z P.P.S. nie powiodło „umówić się” w tej sprawie.

Od czerwca ubiegłego roku pewna grupa polityków „umówiła się” uznawać nadal p. Zaleskiego za prezydenta — podczas gdy T.R.J.N. „umówiła się”, że wszystko co po czerwcu 1954 zdziała p. Zaleski jako prezydent będzie nieważne, chyba... że T.R.J.N. postanowi inaczej. To jest interesująca nowość, której nie znają inne ustroje państwowe. Wszystko co robi p. Zaleski jest nieważne, ale gdyby któregoś dnia zamianował swoim następcą osobę dobrze widzianą w kołach T.R.J.N. — nominacja byłaby ważna? Dlaczego? Dlatego, że panowie wchodzący w skład T.R.J.N. tak się „umówili”.

W emigracyjnym legalizmie dawno już nie istnieje pojęcie normy prawnej, artykułu czy przepisu. W wszystkim decyduje umowa interpretacyjna. I nie litera prawa lecz owe interpretacyjne paktety zawierane przez kliki są na emigracji źródłem wszelkiego „porządku”.

Jak wynika z wywiadu udzielonego prasie polskiej, generał Sosnkowski nie traci nadziei, że przecież zdoła porozumieć się z p. Zaleskim. Wprawdzie według wielokrotnych wypowiedzi polityków obozu zjednoczeniowego — kadencja p. Zaleskiego jako Prezydenta R.P. wygasła dnia 9 czerwca 1954 — to niemniej gen. Sosnkowski uważa, że p. Zaleski „...mógłby z łatwością dziś jeszcze dać dowód swej dobrej wiary i dobrej woli, nie upierając się przy swej osobie i rezygnując na rzecz następcy przez siebie obranego i wyznaczonego”.

Laik mógłby w tym miejscu zauważyć, że albo się jest prezydentem, albo się nim nie jest. Jeżeli ktoś prezydentem nie jest — nie ma ani prawa ani tytułu wyznaczania swojego następcy.

Może nieco zaskoczyć Czytelników w pierwszej chwili gdy powiem, że w moim zrozumeniu ci wszyscy, którzy uważają się za legalistów — jeżeli pragną być w zgodzie z logiką powinni masowo przejść na stronę p. Zaleskiego i poddać się jego rozkazom. Nie ulega bowiem wątpliwości, że z punktu widzenia legalizmu pozycja „legalistyczna” p. Zaleskiego jest tysiącokrotnie silniejsza, niż „legalizm” Rady Trzech czy T.R.J.N.

Do czerwca 1954 ogół Polaków i niemal wszystkie ugrupowania polityczne uznawali p. Zaleskiego za prezydenta R.P. Uznała go w pewnym sensie za prezydenta również i P.P.S. z p. T. Arciszewskim na czele, bo kładąc podpis pod Akt Zjednoczenia P.P.S. godziła się uznać za prezydenta R.P. gen. Sosnkowskiego, który miał przejąć najwyższy urząd z nominacji p. Zaleskiego. Jeżeli p. Zaleski był władny w sposób legalny mianować następcą prezydenta to sam musiał być konstytucyjnym prezydentem R.P., nawet dla P.P.S.

Czy prezydent miał prawo przedłużyć czas trwania kadencji swego urzędu?

W tej sprawie podkreślić należy jeden zasadniczy szczegół. P. Zaleski przedłużył swą kadencję w chwili, kiedy był jeszcze pełnoprawnym prezydentem R.P. Nie podjął tej decyzji po 9 czerwca 1954 lecz przed tą datą. Jeżeli prez. Raczkiewicz stał na stanowisku, że prezydent ma prawo odwołać prawnie wyznaczonego następcę — to w moim przekonaniu — prezydent w czasie wojny tym bardziej jest w prawie przedłużyć czasokres swojej własnej kadencji. W tym drugim wypadku decyzja dotyczy tylko jego osoby a nie osoby nowego następcy, którego kandydatura winna być uzgodniona (w myśl „umowy paryskiej”) ze stronictwami.

Do czego zmierzają te uwagi?

Nie zamierzam bronić ani polityki „zamku” ani działalności p. Zaleskiego. Pragnę natomiast wykazać, że o ile panowie z Rady Trzech i z T.R.J.N. stoją na stanowisku legalistycznym to ich miejsce jest w obozie zamkowym a nie poza nim. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że nie Rada Trzech, lecz p. Zaleski reprezentuje „zręby państwowości”, konstytucję, symbole i pieczęcie.

Zespół „Kultury” odrzuca legalizm nie dlatego, że „wypowiedział posłuszeństwo” p. Zaleskiemu i nie z powodu takich czy innych różnic w wykładni Konstytucji. Odrzucamy legalizm, ponieważ odrzucamy koncepcję „państwa na emigracji” opartego o fikcyjny ustrój prawny, oderwany od ustawodawczych źródeł narodu.

W warunkach emigracyjnych litera prawa konstytucyjnego staje się dosłownie martwą a nad jej trupem odbywają się niekończące spory i waśnie. W gruncie rzeczy nie dzielą nas poglądy polityczne lecz sekiarskie różnice interpretacyjne. Cóż odróżnia P.P.S. od zwolenników „zamku”? Socjalizm, nowoczesny demokratyczny duch reformy?... Nikogo nie interesują reformy. Różnice, pasje, namiętności, ambicje związane są wyłącznie z talmudyczną epokową „kwestią” czy prez. Raczkiewicz miał prawo cofnąć nominację p. Arciszewskiego na następcę Prezydenta R.P., czy tego prawa nie miał?

W ten sposób pojmowany legalizm prowadzi do całkowitego wyjalo-



wienia życia politycznego a uwagę i energię polityków ześrodkowuje na czysto fikcyjnych zagadnieniach.

Choć sami odrzucamy legalizm, obiektywnie musimy stwierdzić, że ośrodek „zankowy” z p. Zaleskim na czele wykazuje daleko więcej logiki i konsekwencji niż T.R.J.N., która zamiast od legalizmu się odciąć usiłuje „wyinterpretować” go na swoją korzyść. Legalizm można albo przyjąć, albo odrzucić. *Nie można jednak odrzucić prezydenta i konstytucji a zatrzymać legalizm.*

Przed T.R.J.N. były tylko dwa wyjścia. Albo krocząc konsekwentnie po drodze zamachu stanu ogłosić, że urząd prezydenta „vacat” i obsadzić go własnym kandydatem — albo całkowicie odciąć się od legalizmu. Niemal po upływie roku zamachowcy doszli jednak od smutnego wniosku, że z punktu widzenia legalizmu pozycja p. Zaleskiego jest niepomniernie silniejsza niż członków Rady Trzech razem wziętych. Na tym również stanowisku stanął gen. Sosnkowski, który w znanym wywiadzie udzielonym prasie polskiej oświadczył między innymi:

„...urząd prezydenta gotów jestem przyjąć jedynie w ramach ładu prawnego i politycznego — zaś nigdy na drodze którą określiłem mianem metod „quasi-rewolucyjnych”.

Co to oznacza? Oznacza to, że gen. Sosnkowski za „ład prawny i polityczny” w sensie legalistycznym uważa wyłącznie i jedynie porządek konstytucyjny, biorący swe źródło z aktów noszących podpis p. Zaleskiego.

Nie ulega wątpliwości, że emigracyjni przywódcy *zaczynają wyraźnie przeceniać „nośność” i wytrzymałość polskiej opinii publicznej na nonsensy produkowane przez ich patologiczny anty-talent polityczny.*

A więc tak. Gen. Anders wypowiada posłuszeństwo prezydentowi. T.R.J.N. stwierdza, że wszystko co p. Zaleski zdziała po dniu 9. VI. 1954 jest nie ważne. Równocześnie gen. Sosnkowski, twórca Aktu Zjednoczenia i duchowy przywódca tzw. obozu zjednoczenia — za źródło konstytucyjnej sankcji uważa tylko p. Zaleskiego. Z tego wniosek bezsporny, że p. Zaleski jest jeszcze ciągle prezydentem R.P. dla gen. Sosnkowskiego — choć już nie jest prezydentem dla gen. Andersa (jednego członka Rady Trzech) — a nie był nigdy prezydentem dla p. Arciszewskiego (drugiego członka Rady Trzech).

Gen. Sosnkowski potępiając kategorycznie „quasi-rewolucyjne” metody i wysuwając koncepcję wszczęcia nowych rokowań z p. Zaleskim — całkowicie skompromitował dotychczasową chwijną linię postępowania Tymczasowej Rady Jedności Narodowej.

Wydaje się, że gen. Sosnkowski uważa, iż na nic nie jest za późno i ideałem byłby nawrót do sytuacji sprzed czerwca 1954.

Innymi słowy gen. Sosnkowski gotów jest uznać prawomocność aktów p. Zaleskiego dokonanych w wiele miesięcy po dniu 9 czerwca 1954.

Jaki jest wynik netto naszych dotychczasowych rozważań?

Jak długo pragnie się być w zgodzie z logiką, zdrowym rozsądkiem i moralnością — nie można żenić legalizmu z nie-legalizmem, łamania konstytucji z konstytucją, detronizacji z uznawaniem zdetronizowanego. T.R.J.N. nie jest organizacją legalistyczną — nie jest jednak również instytucją, któ-

ra z legalizmem zerwała. Jest tworem opartym o niejasne, i co gorsza, sprzeczne założenia prawne.

Osobiście nie wierzę by obecna T.R.J.N. zdołała wydobyć się z matni tych sprzeczności. Jedyną drogą wiodącą do uzdrowienia byłoby wybory dotyczące pełnego składu Rady. Ale takich wyborów Egzekutywa gen. Odzieżyńskiego nie rozpisze.

## PRZED DECYDUJĄCYM KROKIEM

W numerze kwietniowym „Kultury” omawialiśmy apel Głównej Komisji Skarbu Narodowego w Londynie w sprawie powrotu do centralistycznej gospodarki groszem publicznym. W związku z powyższym apelem Prezydium Komisji Skarbu Narodowego na Kanadę — wydało komunikat w którym czytamy między innymi:

„Doceniając intencje Głównej Komisji w tym względzie Komisja Skarbu Narodowego na Kanadę nie omieszka rozpatrzyć na swym dorocznym, walnym zebraniu w maju lub czerwcu br., po odnowieniu połowy swego składu w drodze przewidzianych statutem wyborów, czy i o ile tutejsze warunki pozwoliłyby na rewizję uchwał z 25 sierpnia 1954. Mocą tej uchwały, na czas trwania kryzysu pieniężne zebrane przez Skarb Narodowy w Kanadzie są — na każdorazowe zlecenie Głównej Komisji — przelewane bezpośrednio i wyłącznie na następujące, niewątpliwie bezsporne potrzeby: a) konserwacja skarbów wawelskich, b) utrzymanie placówki R.P. w Irlandii, c) dalsze prowadzenie audycji radiowych na Polskę w Madrycie, d) pomoc dla Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie z siedzibą w Londynie, e) polskie prace oświatowe i kulturalne w samej Kanadzie.

Zagadnienie to rozpatrzone być musi przede wszystkim w świetle postępow odbudowy zaufania i ofiarności płatników w Kanadzie przy dotrzymaniu w całej pełni zobowiązań powziętych przez Komisję Skarbu Narodowego na Kanadę. W związku z powyższym Prezydium Komisji uważa za swój obowiązek potwierdzić publicznie, że od dnia uchwały z dnia 25 sierpnia 1954 roku do chwili jej ewentualnej prawomocnej zmiany, żaden grosz złożony na Skarb Narodowy w Kanadzie nie poszedł i nie pójdzie na inne cele, niż zastrzeżone tą uchwałą i przytoczone powyżej ogólnonarodowe i bezsporne potrzeby, a także, że jakakolwiek jej ewentualna rewizja nie mogłaby wejść w życie przed terminem, umożliwiającym każdemu płatnikowi złożenie świadczeń na Skarb Narodowy z pełną świadomością ich przeznaczenia.”

Czy zasady demokratyczne mają obowiązywać jedynie w okresach kryzysów? Czy nieodzownym warunkiem demokratyzacji Skarbu Narodowego w Kanadzie — musi być nieustający rozgardiasz w Londynie?

Osobiście nie mogę dopatrzeć się przyczynowego związku pomiędzy tymi zjawiskami. Natomiast jedno jest pewne. Gdyby płatnicy Skarbu Narodowego w Kanadzie anulowali swe uchwały z 25 sierpnia 1954 roku byłby to krok wstecz.

Nie jest naszą rzeczą opracowywanie szczegółowego programu dla wal-



nego zebrania płatników kanadyjskich i siłą faktu nasze sugestie musimy ograniczyć do kilku wskazań ogólnych.

Przed wszystkim zjazd powinien stanąć bezkompromisowo na stanowisku, że nic o nas bez nas — nic o naszych pieniądzach bez naszej decyzji.

Choć daleki jestem od krytykowania cytowanego powyżej oświadczenia Komisji Skarbu Narodowego na Kanadę — to jednak nie wydaje mi się rzeczą słuszną wiązanie całego zagadnienia z tzw. „odbudową zaufania”. Czy demokratyzację Skarbu Narodowego trzeba będzie powiesić na kołku w chwili gdy zaufanie do władz centralnych w Londynie zostanie odbudowane? Czy tylko dlatego dążymy do demokratycznej przebudowy Skarbu Narodowego ponieważ nie mamy zaufania do góry?

W moim rozumieniu, choćby Główna Komisja Skarbu Narodowego w Londynie tudzież Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego — składały się wyłącznie z samych ideałów obleczonej w ludzkie kształty — i wówczas nie byłoby najmniejszego powodu rezygnować z demokracji.

Na tegorocznym walnym zebraniu kanadyjscy płatnicy powinni uregulować jasno i wyraźnie stosunek kanadyjskiego Skarbu Narodowego do Głównej Komisji w Londynie. Przed wszystkim winni postanowić:

1. — *Skarb Narodowy w Kanadzie jest instytucją samodzielną a NIE oddziałem londyńskiej firmy „Danina Polska Ltd.”;*
2. — *Władze Skarbu Narodowego w Kanadzie działają na podstawie uchwał płatników, a nie na podstawie dyrektyw czy zleceń Głównej Komisji Skarbu Narodowego w Londynie;*
3. — *Propozycje Głównej Komisji Skarbu Narodowego w Londynie — dotyczące celów zbiórki i przelewów gotówki — muszą być każdorazowo potwierdzone uchwałą reprezentacji płatników;*
4. — *Zwołanie zjazdu Skarbów Narodowych z kontynentu amerykańskiego dla skoordynowania pracy.*

Powzięcie postanowień, które szłyby po tych liniach — nie oznaczałoby ani zerwania z Londynem ani z Główną Komisją Skarbu Narodowego czy T.R.J.N. Uchwały tego typu zamieniałyby natomiast zasadę dyktatu na zasadę współpracy.

Nie ma najmniejszego powodu przypuszczać, by większość wskazań, czy zaleceń londyńskiej Głównej Komisji Skarbu Narodowego nie uzyskała poparcia płatników kanadyjskich. W gruncie rzeczy jeśli chodzi o wydatkowanie pieniędzy skarbowych w grę wchodzi cele bezsporne i oczywiste, a dyskusji podlegać może tylko kolejność zaspakajania tych potrzeb.

Gdyby płatnicy kanadyjscy zorganizowali swój Skarb Narodowy jako instytucję samodzielną rządzącą się statutem uchwalonym przez większość, gdyby podkreślili gotowość do lojalnej, uchwałami określonej współpracy z Główną Komisją Skarbu Narodowego w Londynie — ustanowiliby pozytywny przykład dla innych. Ustanowiliby przykład jak należy dążyć w praktyce do zażegnania obecnego kryzysu, którego istotę stanowi niechęć do jasnych sformułowań i lęk przed demokracją.

LONDYŃCZYK

## Przeгляд gospodareczy

### Szyfrowe prace Sowietów

Upadek Malenkowa był znów, po raz nie wiadomo który, okazją do powtórzenia się tych wszystkich rzeczy, które jak schemat, grają w podobnych sytuacjach. Komuniści twierdzą, że zasadniczo nic się nie zmieniło, że po prostu naprawiono popelnione błędy, że skorygowany „kurs” doprowadzi do najwspanialszych wyników w najkrótszym czasie. Zachodnio-europejscy fellow-travellerzy mówią: oto, z winy mocarstw zachodnich, stracono sposobność dogadania się z Malenkowem i przyczyniono się do tego, że władza sowiecka przeszła w ręce bardziej nieprzejednane. A zwykły człowiek, operujący zdrowym rozsądkiem, mówi sobie: nic nie rozumiem, co się dzieje w tym domu wariatów, kategorycznie potępiających dziś te właśnie zasady, które jako zbawienne zachwalali jeszcze przed rokiem. Jednocześnie powstają na Zachodzie bardzo charakterystyczne zjawiska pochodne, natury psychologiczno-politycznej. Z jednej strony za „dobrego bolszewika” zaczyna być uważany ten, którego już nie ma: tak Lenin stał się „dobry” w okresie Stalina, Malenkow „dobry” gdy on odszedł. Z drugiej strony fakt, że Malenkow nie został od razu zamordowany, gdy przestał być premierem, oznacza w opinii wielu ludzi, że sowiecki ustrój polityczny uległ procesowi demokratyzacji. Mniejszą już uwagę zwraca się na to, że skoro przyczynami dymisji Malenkowa były jego niekompetencja w polityce agrarnej i brak doświadczenia administracyjnego, to dlaczego na jego miejsce przyszedł Bułganin, który jest jeszcze bardziej niekompetentny w sprawach rolnictwa a nie więcej doświadczony w administracji? Trochę dziwny wprawdzie wydaje się niejednemu fakt, że Malenkow pokutuje za grzechy Chruszczewa, który od lat jest spiritus mo-



vens sowieckiej polityki agrarnej, ale to znów znajduje proste, jak dialektyka, wytłumaczenie: dobro Partii, a więc Sprawy, wymaga, aby doktryna stanowczego prymatu ciężkiego przemysłu zwyciężyła „wulgaryzację marksizmu”, popelnioną w programie 1953 roku przy udziale Malenkowa (i jego obecnych... przeciwników).

Aby zdać sobie sprawę z gospodarczego tła tego kryzysu politycznego w Sowietach oraz z perspektyw dalszego ich ekonomicznego rozwoju, rzućmy okiem na wczoraj i dziś ekonomiki Z.S.S.R.

### ZWICHNIĘCIE RÓWNOWAGI EKONOMICZNEJ

Rok 1928 to początek okresu wielkiej industrializacji Rosji, procesu, którego intensywność i tempo nie mają sobie równych w historii. W okresie ćwierćwiecza 1929-1953 Rosja zainwestowała w ciężkim przemyśle 638 miliardów rubli, podczas gdy w transporcie 193, w rolnictwie tylko 94, w lekkim przemyśle tylko 72. W ciągu 25 lat, każdego roku, reinwestowano w ciężkim przemyśle około 1/4 całego dochodu społecznego. Nakład kapitałowy na rozwój tych gałęzi gospodarstwa narodowego, które zaspakajają codzienne potrzeby konsumenta, to jest dają mu żywność i konieczne artykuły przemysłowe, wynosił zaledwie nieco więcej niż 1/4 tego, co pochłaniała budowa stalowni, maszyn do ciężkiego przemysłu itd. Gospodarka siłą roboczą też szła po tej linii: w pewnych okresach aż 70% całej siły roboczej zatrudnione było w ciężkim przemyśle. Polityka ta doprowadziła do tak wielkiego wzrostu ciężkiego przemysłu, że zafana gospodarczo Rosja stała się pierwszym w Europie, a drugim w świecie, mocarstwem przemysłowym. Ceną tego osiągnięcia było jednak zupełnie niedostateczne rozwinięcie produkcji trwałych i nietrwałych artykułów przemysłowych codziennego użytku, a równocześnie zniszczenie równowagi ekonomicznej kraju poprzez wytworzenie jaskrawej nierówności w rozwoju przemysłu i rolnictwa. Co więcej: zła polityka agrarna doprowadziła do zburzenia równowagi wewnątrz samego rolnictwa, a to poprzez nierównomierność rozwoju uprawy i hodowli, na niekorzyść tej ostatniej. Oto kilka cyfr najbardziej esencjonalnych, które charakteryzują tę sprawę. Globalna produkcja przemysłowa z 1938 roku wzrosła do 1953 mniej więcej o 100% podczas gdy rolnicza tylko o 10%, a przecież w międzyczasie, mimo strat wojennych, miał miejsce przyrost ludności. Produkcja zbóż w pewnych latach np. w roku 1951 nie tylko nie wzrastała, ale nawet malała. Poglówie żywego inwentarza spadło w stopniu bardzo poważnym i wynosiło w roku 1953 — w stosunku do 1928 — połowę ilości koni i połowę ilości bydła, przy czym zwłaszcza spadek ilości krów, tej tak ważnej pozycji hodowlanej, był katastrofalny. A produkcja dóbr wytwórczych wzrosła w omawianym ćwierćwieczu aż 55 razy! O tym, jakie są skutki podobnego zachwiania równowagi ekonomicznej dla poszczególnych okresów

gospodarczych, świadczą najjaskrawiej lata 1932 i 1933, gdy nie tylko miliony ludzi umarły z głodu, ale także spadła produkcja stali, węgla i innych podstawowych wytworów ciężkiego przemysłu. Sytuacja w tych latach była w pewnym sensie nawet gorsza niż w głodowym bezpośrednio porewolucyjnym okresie 1920-1921, gdy Lenin uratował ją metodą pro-kapitalistycznego Nepu. Okres stalinowski był wolny od podobnych miazmatów kapitalizmu prywatnego. Stalinowska polityka rozbudowy przemysłu operowała za to deflacją o natężeniu takim, jakie możliwe jest tylko pod rządami dyktatury kapitalizmu państwowego.

Opisane powyżej zjawisko zburzenia równowagi ekonomicznej w sowieckiej gospodarce jest podstawowym czynnikiem, tłumaczącym złe wyniki produktywne rolnictwa, którego rozwój przytłoczony został polityką inwestycyjno-przemysłową ostatniego ćwierćwiecza. Przejdźmy teraz do przedstawienia innych czynników, które, łącznie z wymienionym, w ostatecznym rozwinięciu złożyły się na tło gospodarcze upadku Malenkowa.

### NIEKOMPETENTNY CENTRALIZM

W rolnictwie sowieckim zbyt dużo jest sztywnych dyspozycji gospodarczych, dyktowanych z góry bez uwzględnienia różnic w warunkach gleby i klimatu. Jest to wada kardynalna, gdyż dostosowywanie pracy rolnika do warunków naturalnych jest najbardziej elementarnym wymogiem tej pracy. Chruszczew przyznał ostatnio, że ta wada polityki agrarnej istnieje w szerokim zakresie. Można sobie wyobrazić jakie katastrofalne skutki dla wydajności rolnictwa muszą stąd wynikać jeżeli błąd tego typu pomnożyć przez ilość rodzajów produktów rolnych i przez olbrzymią przestrzeń uprawy i hodowli w Sowietach. Ale błąd ten trzeba jeszcze pomnożyć przez ilość lat błędzenia biurokratycznego. Bo oto Chruszczew stwierdza, ni mniej ni więcej, że państwowe urzędy planowania przez *cały szereg lat* robiły podstawowe błędy! Dopiero w marcu br. ministerstwo sowchozów zorientowało się w tej sprawie i stwierdziło w swym dekreście, że planowanie rolnicze było wadliwe i nieskuteczne, gdyż dopuszczano zbyt mało lokalnej inicjatywy. Okazuje się, że od 10 marca 1955 — słowami dekretu — „jest zupełnie zbędne do wygospodarowania potrzebnych produktów rolnych, aby centralny urząd dawał kolchozom i sowchozom plany odnośnie powierzchni siewnej i rodzaju zasiewu albo odnośnie ilości bydła do wyhodowania. Taka procedura nie umożliwi kolchozom i sowchozom wykazania inicjatywy w kierunku prawidłowego prowadzenia krajowej gospodarki rolnej”. Myśli zawarte w tym dekreście są niewątpliwie słuszne, ale spóźnione o równe 25 lat. To opóźnienie tłumaczy stan rzeczy, w którym, jak to obrazowo powiedział Chruszczew, świnie nie dają bekonu, krowy nie dają mleka a kury nie znoszą jajek.

Poważną wadą planowania sowieckiego jest również brak na-



leżytego powiązania spraw uprawy i hodowli. Te dwie dziedziny powinny być traktowane jako całość organiczna, powinny być rozwijane współzależnie i harmonijnie, gdyż istnieje ścisła współzależność ich losów. Wiąże się z tym również sprawa rolniczych nadwyżek eksportowych i składów-zapasów zbożowych: obu tych rzeczy Sowietom brak wskutek złej polityki agrarnej. Co więcej polityka ta doprowadziła Rosję do absurdu: do konieczności importowania żywności. Obecny stan rolnictwa sowieckiego jest w swej istocie zarówno „kryzysem ziarna zbożowego” jak i „kryzysem hodowli”. Z przebiegu tego kryzysu, który rozwija się poprzez lata, widzimy, że sowieckie ministerstwo rolnictwa przesadnie akcentuje to uprawę, to znów hodowlę, a poszkodowana w danej chwili dziedzina oceniana jest nade wszystko dopiero wtedy, gdy jest za późno: gdy już nie tyle można ją spokojnie rozwijać, ile raczej trzeba ratować trwożnymi apelami do ogółu rolników. Trzeba jednak przyznać, że w tej sprawie Chruszczew zorientował się ostatnio i, jak się zdaje, jego polityka agrarna będzie teraz w praktyce pamiętała o swoim nowym planie, mającym zapewnić i chleb dla konsumpcji ludzkiej i paszę dla bydła. Ale to jest rzeczą przyszłości. Jak dotąd, deficyt występował w obu dziedzinach, przy czym przeciętna produkcja ziarna na głowę ludności jest dziś w Rosji, po 38 latach tak zwanej gospodarki planowej, zaledwie trochę większa niż była w roku 1913.

### DOSYĆ TRAKTORÓW, ALE ZA MAŁY PŁON

Ponieważ gospodarka sowiecka stawia na mechanizację rolnictwa, ponieważ w masowym użyciu maszyn rolniczych widzi drogę, prowadzącą do sukcesów agrarnych i zarazem postęp w stosunku do rzekomo niezmechanizowanego rolnictwa kapitalistycznego — zdawałoby się, że koordynacja technicznego aparatu rolnictwa z planowaniem płonów powinna być rzeczą ściśle przestrzeganą w gospodarce sowieckiej. W rzeczywistości jednak tej koordynacji brak, co przyznają najwyższe resorty rolnicze w Moskwie. Na pierwsze miejsce wysuwa się tu bardzo niezadawalające zaopatrzenie Ośrodków Motorowo-Traktorowych w części zamienne, co powoduje unieruchomienie maszyn rolniczych, nieraz w najgorętszym sezonie pracy na roli. W innych wypadkach, nawet gdy od strony czysto technicznej i zaopatrzeniowej wszystko jest w porządku, pracownicy rolni często nie mają dostatecznego przygotowania do obchodzenia się z maszynami i nie umieją robić z nich właściwego użytku. Sowieckie ministerstwo rolnictwa wyraźnie stwierdza to zło, jak również fakt, że „organizacja oczyszczania, suszenia i transportu ziarna chlebowego jest krańcowo niezadawalająca” w pewnych rejonach. W ten sposób duża ilość zboża gnije. W tych warunkach ilość maszyn, stojących do dyspozycji rolnictwa, bynajmniej nie przesądza sprawy płonów w sensie dodatnim. W artykule, ogłoszonym w *Prawdzie* z 2 stycznia br., Woroszyłow podaje, że w roku

1954 rolnictwo sowieckie miało 1.260.000 traktorów, 326.000 kombajnów, 370.000 wozów mechanicznych i „niezliczoną ilość pierwszorzędnych maszyn innych typów”. Lenin marzył o stu tysiącach traktorów i twierdził, że gdyby Rosja osiągnęła tę cyfrę, chłop stanąłby po stronie komunizmu. Fakty nie potwierdzają tej przepowiedni.

### PLAGA BIUROKRACJI

Biurokracja, jak ołów, ciąży nad życiem gospodarczym Sowietów. Potop papierowych instrukcji zalewa gospodarkę, co przyznaje Chruszczew. Np. jedna ze stacji Motorowo-Traktorowych w Gorkowskiej Obłasti otrzymała w okresie wrzesień-listopad 1953 — aż 654 instrukcje. Członek rządu sowieckiego Szatalin stwierdza, że rozpanoszyła się metoda zastępowania konkretnych prac przez konferencje, które do niczego nie prowadzą. I znów Chruszczew mówi o pewnej fabryce rowerów, w której każdy warsztat musi co miesiąc przygotować kwestionariusz, zawierający odpowiedzi na *tysiąc* pytań. Wieczna reorganizacja przeprowadzana jest w instytucjach, rządzących życiem gospodarczym, przy czym nie rzadko po przeprowadzeniu zmian następuje powrót do punktu wyjścia. Plagą są posiedzenia, które uniemożliwiają właściwą pracę kierowników, np. według danych Chruszczewa w ministerstwie sowchozów odbyło się w roku 1954 *sto* posiedzeń. Stosownie do niezbyt dawnej wypowiedzi Malenkowa „istniejący stosunek ilości osób zatrudnionych w pracy bezpośrednio produktywnej do ilości pracowników papierowych, a z drugiej strony ilość kierowników, wymagają dalszych zmian na rzecz dziedziny produkcji”.

Gdy życiem gospodarczym rządzą biurokraci, nikt w gruncie rzeczy nie odpowiada za jego niepowodzenia. I to właśnie widzimy w Sowietach, gdzie nie obywatele obarczają odpowiedzialnością ministrów, lecz ministrowie oskarżają swych urzędników, a ci z kolei przerzucają odpowiedzialność jeden na drugiego. Gdy sytuacja staje się wreszcie niemożliwa, ktoś pozornie winny płaci stanowiskiem albo głową lub też niewinny „dobrowolnie” bierze na siebie odpowiedzialność.

Ten obraz można zaokrąglić następującym szczegółem pseudo-demokratycznym. Oto Szwarnik, prezes centralnego komitetu sowieckich związków zawodowych, z zadowoleniem oświadczył, że na konferencjach fabryk i kolchozów rozpatrzone w 1953 roku „dziesięć milionów projektów ulepszeń produkcyjnych, z których osiem milionów zastosowano w praktyce”. Szwarnik wzbogacił w ten sposób historię gospodarczą świata nauką, że nie jest dobrze dla gospodarstwa społecznego, gdy jest w nim zbyt dużo dobrych pomysłów.



## INNE CZYNNIKI KRYZYSU

Są też na terenie gospodarstwa sowieckiego czynniki ujemne bądź to całkowicie niezależne od prowadzonej polityki gospodarczej, bądź też stanowiące pośrednie tylko następstwa tej polityki. Do pierwszej grupy należą np. rujnujące skutki suszy w roku 1946 i, niedawno, wskutek niepomyślnej pogody, złe zbiory buraków cukrowych na Ukrainie, tym źródle 2/3 buraków cukrowych całej Rosji. Do drugiej grupy czynników należy masowy przepływ ludności ze wsi do miast, utrudniający sprawę aprowizacji. Najważniejszym jednak i najświeższym daty czynnikiem w tej drugiej grupie jest fakt, że ostatnio wskutek spadku cen konsumpcja żywności w Z.S.S.R., zarówno na wsi jak w mieście, rosła szybciej niż produkcja. Ta ostatnia nie mogła dogonić konsumpcji tak, że w ostatnich 6-ciu miesiącach dotkliwe były braki w dziedzinie mięsa (niekonserwowanego), jajek, masła i innych produktów mleczarskich. Właśnie spóźnienie mięsa, które w okresie 1940-1954 wzrosło trzykrotnie, było jedną z rzeczy, dających Chruszczewowi argument antykonsumencki.

Opisane powyżej czynniki kryzysu rolnictwa sowieckiego prowadzą nas do sprawy Malenkowa.

## MALENKOW I CHRUSZCZEW

Jest rzeczą oczywistą, że Malenkow w żadnej mierze nie przyczynił się do pogorszenia stanu rolnictwa Z.S.S.R.: po prostu dlatego, że główne czynniki tego kryzysu są stare, jak sam ustrój sowiecki, że są wynikiem biurokratycznej planowości bez planu, polityki gospodarczej o wciąż zmiennych założeniach, miotającej się od jednej koncepcji do drugiej. Co więcej: program Malenkowa z roku 1953, dający liczne koncesje chłopstwu, był jedynym, który przynajmniej w zasadzie mógł podnieść stan rolnictwa, gdyby był konsekwentnie wykonywany przez czas dostatecznie długi. Mimo to Malenkow został usunięty i właśnie motyw agrarny był tym, który w oczach ludności rosyjskiej miał przede wszystkim uzasadnić jego dymisję. Sprawa ma oczywiście charakter czysto polityczny, ale polityka łączy się tu z ekonomią w sposób tak ścisły, że użycie motywu gospodarczego po prostu samo się narzucało przeciwnikom Malenkowa.

Teza Chruszczewa — tak jak się ją przedstawia w bieżącej propagandzie sowieckiej — sprowadza się do tego, że Malenkow wszedł na drogę niedoceniańca ważności prymatu ciężkiego przemysłu; tylko ten prymat gwarantuje dostateczną ilość maszyn dla rolnictwa; tylko wzrost rolnictwa podniesie poziom życia ludności sowieckiej, no i oczywiście zapewni bezpieczeństwo państwa. Powracając de facto do stalinizmu gospodarczego, Chruszczew podaje go masom w formie troski o zaspokojenie ich potrzeb. Ile jest prawdy gospodarczej w tym stanowisku?

Rzecz oczywista, że potrzebny jest pewien optymalny poziom ciężkiego przemysłu dla dobra rolnictwa i konsumenta. Szef Gosplanu Saburow, uważa np., że produkcja dóbr wytwórczych musi wzrosnąć o 18%, aby przemysł lekki i konsumpcyjny mogły wzrosnąć o 10%. Abstrahując od sprawy trafności tej proporcji, należy uznać zasadniczą słuszność tezy o związku wzajemnym tych dziedzin gospodarstwa społecznego. Chodzi jednak o to, że Malenkow wykazywał ten sam zasadniczy stosunek do sprawy ciężkiego przemysłu, co Chruszczew. Liczne wypowiedzi Malenkowa z lat 1953 i 1954 świadczą o tym, że uważał on dalszy wzrost ciężkiego przemysłu za „stos pacierzowy całego gospodarstwa narodowego i potęg państwa”. Sądził jednak, że skoro obecnie ciężki przemysł jest już tak bardzo rozwinięty, to należy na razie przesunąć akcent ważności do przemysłu konsumpcyjnego i lekkiego by stworzyć wśród ludności sowieckiej element politycznego zadowolenia, którego dotychczas było brak. W ramach rozumowania ekonomicznego pomiędzy Malenkowem i Chruszczewem nie ma w gruncie rzeczy żadnej różnicy.

Ale jest wielka różnica w sensie politycznym. To „na razie” musi bowiem spowodować obniżenie potencjału wojennego. Dopuszczalność zaś, choćby przejściowego, obniżenia tego potencjału zależy od oceny sytuacji międzynarodowej. Jesienią 1953 nie tylko Malenkow, ale i Chruszczew uważał, że *Nep* prorolniczy i pro-konsumencki jest wskazany. Dziś najwidoczniej ocena sytuacji międzynarodowej, może pod naciskiem armii, prowadzi Chruszczewa do odmiennego wniosku. Wobec tego chce on porzucić politykę 1953 roku. Ale porzucić ją, przy „zachowaniu twarzy”, może tylko w ten sposób, żeby zrobić kozła ofiarnego ze współautora tej polityki, musi go obciążyć całkowitą odpowiedzialnością za wejście Sowietów na drogę „wulgaryzowania marksizmu”. W tym samym kierunku, co motyw międzynarodowo-polityczny, działa też fakt, że régime po-stalinowski skonsolidował się i widocznie Chruszczew uważa, że nie istnieje już konieczność zabiegów o względy społeczeństwa. W tej sytuacji *Malenkowizm* ma się stać w oczach mas współczesnym *Bucharinizmem*. Polityczne podobieństwo tych dwóch *izmów* zostaje optycznie wzmocnione przez wzorowe pokajanie się towarzysza Malenkowa. Fizyczna jego likwidacja zaokrągliłaby obraz podobieństwa.

O ile chodzi o konkretną politykę agrarną to Chruszczew wysuwa z rozmachem pomysły i już częściowo realizowany plan wzięcia pod uprawę olbrzymich terenów dziewiczych na Syberii, w Kazachstanie, na Uralu i w rejonie Wołgi, oraz głosi konieczność uprawy na wielką skalę kukurydzy — na wzór amerykański. Na temat kukurydzy *Prawda* zapisała całą wielką stronę. Sloganem rolnictwa są dziś *ziemie dziewicze*; towarzyszy im „*ideologia kukurydzy*”. Na jak długo starczą te slogany? Jaka będzie rzeczywista wydajność nowej polityki agrarnej, prowadzonej w cieniu starej polityki przemysłowej? Na pytania te



będzie można dać odpowiedź zapewne w niedalekiej przyszłości. Jeżeli Chruszczew zdoła zapewnić Rosji dostateczną ilość zboża i żywności mimo dalszej rozbudowy ciężkiego przemysłu, to siła polityczna tej nowej gwardii na firmamencie sowieckim będzie rosła. Jeżeli przegra tę bitwę o zboże, to w łańcuchu upadłych odchyleńców od linii partyjnej przybędzie następne ogniwo. Cokolwiek jednak będzie, dotychczasowy przebieg rozwoju gospodarczego Z.S.S.R. utwierdza nas w przekonaniu, że cykliczne kryzysy kapitalizmu zostały „zastąpione” przez stały niemal kryzys sowieckiego rolnictwa (\*).

Stanisław ZARZEWSKI

(\*) Z faktu, że wyniki sowieckiego rolnictwa są tak bardzo złe, wyłaził wniosek, że żadna poprawa w tej dziedzinie nie jest możliwa. Wydaje mi się, że wniosek ten jest niesłuszny. Przede wszystkim należy przypomnieć sobie, że około roku 1939 rolnictwo sowieckie, choć zawsze pozostające w tyle za kapitalistycznym, jednak wykazywało pewien postęp w stosunku do lat poprzednich. W tymże czasie zaopatrzenie ludności w artykuły przemysłowe pierwszej potrzeby zaczęło się poprawiać. Podczas wojny system kolchozowy, choć załamał się bardzo poważnie także na terenach nieobjętych inwazją niemiecką, jednak przyczynił się w pewnym stopniu do mniej więcej dostatecznego wyżywienia armii i do minimalnego wyżywienia znacznej części ludności cywilnej. Stopień załamania się prywatno-gospodarczego aparatu wyżywienia Rosji w końcu pierwszej wojny światowej był zapewne większy jeszcze niż stopień załamania się gospodarki kolchozowej podczas ostatniej wojny. Dalej należy wziąć pod uwagę, że mimo swej bardzo złej polityki agrarnej i nieustannego właściwie kryzysu na tle zachwiania równowagi w gospodarstwie społecznym, rząd sowiecki wciąż jeszcze ma duże pole manewrowe na terenie gospodarczym. Może np. stosować „plodowian polityczno-gospodarczy” forytując w jednym okresie rolnictwo, w innych przemysł i w ten sposób wyrównywać w dłuższych okresach czasu zło, jakie tkwi w całej strukturze sowieckiego gospodarstwa. Co więcej: wzięcie pod uprawę ziem dziewiczych może dać wyniki pozytywne i przyczynić się do rozwiązania zagadnienia ziarna chlebowego i całego szeregu problemów, z nim związanych. W tej chwili nie ma żadnej podstawy do twierdzenia, że plan co do ziem dziewiczych załamał się. Nie można również twierdzić, że nie zostanie znaleziona jakaś formuła optymalnego ustosunkowania rozwoju ciężkiego przemysłu do rozwoju pozostałych dziedzin gospodarstwa społecznego Z.S.S.R. Program gospodarczy Chruszczewa, choć ma dziś barwę raczej stalinowską, może z czasem zmalenkowieć. To ostatnie jest prawdopodobne w sytuacji, nacechowanej odprężeniem międzynarodowym, gdyby ono kiedykolwiek nastąpiło, albo w sytuacji, w której niezadowolony chłop wystawiłoby gospodarckę sowiecką na bezpośrednie niebezpieczeństwo załamania się.

## Najnowsza historia Polski

### Katyń i Polski Czerwony Krzyż

Kiedy, w styczniu 1940 roku, na skutek rekwizycji przez Niemców prywatnych polskich fabryk utraciłem stanowisko w przemyśle, ofiarowałem na czas wojny swoje usługi Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi i zostałem mianowany Sekretarzem Generalnym P.C.K. W pewnym sensie Czerwony Krzyż był ostatnim śladem polskiej suwerenności, tolerowanym przez Niemców na terenie „General Gouvernement”.

Z kwestią polskich jeńców wojennych w sowieckich obozach zetknąłem się już w pierwszym okresie wojny, nie przeczuwając wówczas w jak tragicznych okolicznościach będę miał z nią później do czynienia. Listy od polskich oficerów i podchorążych (8.820 oficerów oraz 6.200 podchorążych, oficerów policji i straży granicznej) internowanych w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie zaczęły docierać do ich rodzin już w pierwszych tygodniach 1940 roku. W tym samym czasie Polski Czerwony Krzyż otrzymał instrukcje od Niemców, dotyczące przygotowania obozów dla oficerów, którzy mieli zostać repatriowani z sowieckiej niewoli. Zabraliśmy się natychmiast do roboty i obozy były wkrótce gotowe, ale po kilku miesiącach oczekiwania na zapowiedziany przyjazd jeńców — Niemcy poinformowali nas, że nasi oficerowie pozostaną w Sowietach i że obozy należy zamknąć. Jednocześnie listy od naszych jeńców przestały przychodzić do Polski, a poczta kierowana do trzech wymienionych obozów zwracana była nadawcom. Mimo naszych prośb, Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża w Genewie nie mógł uzyskać żadnych wiadomości o losie polskich jeńców w Z.S.S.R. Tak się sprawa

Materiały drukowane w tym dziale, zamieszczone są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.



przedstawiała aż do chwili wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, która oczywiście przekreśliła wszelką możliwość nawiązania kontaktu.

„Bomba Katyńska” wybuchła w pierwszych dniach kwietnia 1943.

Specjalny wysłannik Goebbelsa przybył wówczas do Warszawy, i w pałacu Bruhla Niemcy zorganizowali konferencję, na którą zaprosili przedstawicieli społeczeństwa (kler, RGO, Magistrat m. Warszawy, niektóre Związki Zawodowe, jak Związek Pisarzy, samorządy i P.C.K.). Delegat Berlina oświadczył zebranym, że armia niemiecka odkryła masowe groby polskich oficerów w lesie katyńskim, dodając, że Niemcy są w posiadaniu dowodów że morderstwa dokonali Rosjanie i że szczególnie barbarzyńskie i ohydne okoliczności zbrodni mogłyby stworzyć atmosferę psychologiczną umożliwiającą otwarcie „nowej ery” w stosunkach polsko-niemieckich. Nazajutrz po tym „informacyjnym zebraniu” odlecieć miał specjalny samolot z Warszawy do Smoleńska i oświadczone, że zarezerwowane są w nim miejsca dla przedstawicieli Polskiego Czerwonego Krzyża. Nasz prezes, Władysław Lachert, który odmówił już wzięcia udziału w zebraniu, odmówił również wydelegowania kogokolwiek w tej misji. Ku naszemu zdumieniu, odmowy te zostały przyjęte bardzo uprzejmie przez Niemców.

W ciągu następnych dni, omawiając straszliwą rewelację, wielu z nas podejrzewało oczywiście prowokację zmontowaną przez Niemców. Ale, przeczuwając, że po tej pierwszej próbie zaangażowania P.C.K. przyjdą inne.

Poprosiliśmy o instrukcje władze Podziemia. Zasada, że łącznikiem istniejącej jawnej organizacji z Podziemiem mogła być tylko jedna zaufana osoba była ściśle przestrzegana. Miało to na celu zmniejszenie ryzyka tzw. wysp. W P.C.K. łącznikiem był W. Gorczycki, długoletni dyrektor stowarzyszenia, z zawodu lekarz. Był on prawdziwą duszą organizacji. O jego charakterze najlepiej świadczy fakt, że będąc wezwany do Gestapo na Al. Szucha gdzie mu zaproponowano składanie periodycznych meldunków o antyniemieckiej robocie P.C.K. odpowiedział spokojnie: „Możecie zrobić ze mną co chcecie, ale jestem za stary by złamać swój honor i lekarski i oficerski”. Zaimponowało to indagującemu gestapowcowi który odpowiedział: „Ja, eigentlich verstehe ich Sie”.

W warunkach konspiracji nawiązanie kontaktu i uzyskanie decyzji władz Podziemia nie było łatwe i wymagało czasu. Po paru dniach nakazano nam przyjąć niemieckie zaproszenie i współpracować w pracach nad ekshumacją i identyfikacją zwłok, pod warunkiem że będzie się to odbywać w warunkach zapewniających możliwość obiektywnego sądu. Naszym zadaniem miało być ustalenie stanu faktycznego bez pójścia na rękę propagandzie niemieckiej.

W kilka dni później odwiedził mnie Ferdynand Goetel, przyjaciel z dawnych lat, który wziął udział w pierwszym niemieckim

kim locie do Smoleńska i wręczył mi raport, przeznaczony dla Polskiego Czerwonego Krzyża. Ten pierwszy autentyczny raport polski, napisany przez inteligentnego człowieka, wyciągającego własne wnioski z potwornego widowiska, które oglądał na własne oczy, był dla nas cenny. Goetel widział tylko kilka ekshumowanych zwłok, ale stan gleby, widok otwartych masowych grobów nawarstwionych ludzkimi ciałami, dokumenty znalezione przy zwłokach, i wreszcie osobiste rozmowy z rosyjskimi świadkami przekonały go całkowicie o sowieckiej zbrodni. W swym gniewie chciał natychmiast zaalarmować polską opinię publiczną. Tu zdania nasze się różniły, gdyż obawiałem się posunąć, które mogłyby być wykorzystane przez Niemców.

Nie czekaliśmy długo na następne wezwanie niemieckie: 14 czerwca zawiadomiono nas, że tegoż dnia odleciał z Krakowa samolot wiozący dwóch wysokich urzędników krakowskiego oddziału P.C.K. Samolot miał lądować w Warszawie i zabrać naszą delegację do Smoleńska. Po krótkiej dyskusji zdecydowaliśmy wysłać nie delegację zarządu P.C.K., ale zespół ekshumacyjny, który zacząłby natychmiast na miejscu pracować. Ponieważ nie można było przewidzieć czy współpraca z niemieckimi władzami wojskowymi okaże się możliwa do pogodzenia z niezbędnymi warunkami godności i obiektywizmu, członek Zarządu P.C.K. miał towarzyszyć zespołowi, na miejscu zadecydować czy praca jest możliwa i jakie ma przybrać formy a następnie powrócić do Warszawy aby złożyć sprawozdanie Zarządowi. Jako wyznaczony do tego zadania członek Zarządu, oświadczyłem w miejsca Niemcom, że jestem upoważniony do działania jedynie w zakresie obowiązujących przepisów Czerwonego Krzyża i że w żadnym wypadku nie wezmę udziału w jakiegokolwiek działalności propagandowej. Mój rozmówca, Dr Grundman, wysoki urzędnik „Propaganda Abteilung” odpowiedział mi, że doskonale rozumie moje położenie.

W ciągu kilku godzin nasz Zarząd musiał wybrać spośród ochotników z personelu P.C.K. trzech najodpowiedniejszych ludzi, którzy by stanowili szkielet zespołu. Później, gdyby praca okazała się możliwa, mieliśmy ekipę wzmocnić. Biorąc pod uwagę nieprzewidziane i prawdopodobnie uciążliwe warunki pracy, Dyrektor P.C.K. ze szczególnym staraniem wybierał kierownika zespołu. Wyznaczony został kpt. L. Rojkiewicz, oficer który wstąpił do P.C.K. po kampanii wrześniowej, znany z inicjatywy i zdolności administracyjnych. Na marginesie chcę tu zaznaczyć, że kpt. Rojkiewicz został po powrocie do Warszawy aresztowany przez Gestapo i rozstrzelany na ulicy w czasie jednej z bestialskich publicznych egzekucji zakładników.

Na lotnisku spotkałem naszych krakowskich urzędników, dr Plapperta i dr Szebestę, księdza, Ojca Jasińskiego, którego wysłał arcybiskup Sapieha celem odprawienia modlitw nad grobami, trzech Niemców, których nam przedstawiono jako członków berlińskiej policji kryminalnej, rzekomo mających odszyfrować znalezione dokumenty oraz polskiego doktora, delegowa-



nego przez wydział lekarski władz niemieckich w Krakowie do mojej pomocy (ze swej strony wziętem ze sobą w tym samym celu, jednego z warszawskich specjalistów medycyny kryminalnej), wreszcie trzech przedstawicieli „warszawskiej prasy”. Oficjalnym przewodnikiem ekspedycji był niejaki Zenzinger, urzędnik wydziału propagandy Franka, mówiący biegle po polsku.

Odlecieliśmy wielkim Junkersem i po spędzeniu pierwszej nocy w Mińsku, przybyliśmy do Smoleńska nazajutrz rano. W ostatnim etapie lotu, ze względu na bliskość sowieckich linii, eskortowały nas niemieckie myśliwce. Z lotniska zawieziono nas samochodami do hotelu oficerskiego, gdzie mogliśmy się umyć i posilić. Przypuszczałem, że zobaczę groby tegoż dnia, ale oświadczone nam, że wizyta odbędzie się dopiero nazajutrz rano. Dowiedziałem się później od niedyskretnego Niemca że władze wojskowe chciały wywołać większe wrażenie wykopując więcej zwłok i dlatego odłożyły inspekcję o 24 godziny.

Zaproponowano nam tymczasem zwiedzenie Smoleńska. Przewodnikiem był młody sympatyczny oficer, który przedstawił się jako student berlińskiej akademii Sztuk Pięknych. Byłem bardzo ciekaw jak wygląda rosyjskie miasto, okupowane przez Niemców. Zaczęliśmy od bizantyjskiej katedry, po której oprowadzał nas drobnego wzrostu niemiecki żołnierz — profesor berlińskiego uniwersytetu. Pokazano nam resztki wielkich obronnych wałów i czarny obelisk z carskim orłem, nietkniętym przez reżym sowiecki — pamiątka pierwszej wielkiej bitwy w wojnie z Napoleonem. O parę kroków dalej — resztki wielkiego gipsowego pomnika Stalina — nogi w ciężkich rosyjskich butach. Wokół cokołu leżały odłamki rozstrzaskanego tułowia. Pamiętam jak te nogi wydały mi się silnie, mimo wszystko, wrosnięte w rosyjską ziemię.

Grupy rosyjskich jeńców wojennych czyściły ulicę. Nie wyglądali głodni, ale ubrani byli w różne szmaty wojskowe i cywilne. W pewnej chwili ujrzałem anachroniczny widok: przejeżdżał obok nas stary rosyjski chłop w łachmanach, długobrody i długowłosy, na wozie zaprzężonym na starą rosyjską modłę i ciągniętym przez konika o długiej sierści. Maszerujący ulicą żołnierze niemieccy wybuchnęli śmiechem. Starzec zobaczywszy niemieckiego oficera z nami nisko mu się pokłonił z dziwnie hieratyczną godnością: obraz niezmiennej Rosji, pod jeszcze jednym najeżdżcą. Nie inaczej wyglądali jego przodkowie za Katarzyny Drugiej czy Piotra Wielkiego.

Nagle otoczyła nas grupa cywili i miesząc rosyjski i niemiecki, żywo gestykulując zaczęła ożywioną rozmowę o jakimś przedstawieniu teatralnym, które miało się odbyć wieczorem. Niemiecki oficer wytłumaczył mi że jest to grupa rosyjskich aktorów wzięta do niewoli z sowiecką jednostką i obecnie dająca przedstawienia pod jego kierownictwem dla żołnierzy niemieckich. Dotąd, jak na wojsko hitlerowskich Niemiec, nasze wrażenia były niemal zbyt idylliczne, ale o kilka kroków dalej grupa wyndniałych Żydów, prowadzona do pracy przez uzbrojoną straż,

przywróciła nas do rzeczywistości. Mimo wszystko, nawet i ich los wydawał się lepszy od ich współwyznawców na tyłach frontu, mordowanych tysiącami w Tremblince. Nasz sympatyczny przewodnik odwracał głowę. Miałem wrażenie, że atmosfera tutaj w pobliżu frontu, była jednakże bardziej ludzka. Jakkolwiek okrucieństwa, popełnione w czasie wojny przez wojsko, a zwłaszcza lotnictwo niemieckie, były straszliwe — władze okupacyjne na tyłach były o wiele bardziej barbarzyńskie.

Po powrocie z wycieczki poinformowano mnie, że w czasie kolacji oficerowie niemieccy opowiedzą nam o okolicznościach odkrycia zbrodni katyńskiej. Przyjechali po nas dwaj niemiecy — przedstawili się jako Oberleutnant Slovenzik i Oberleutnant von Arndt — i zawieźli nas do kasyna, na którym zauważyłem mało zachęcający napis: „Offizierskasino — Propaganda Kompanie”. Wchodząc na salę zobaczyłem w głębi duży, wspólny stół i szereg mniejszych stolików. Stosując się do moich instrukcji, żeby nie siadać przy stole z Niemcami, ekipa nasza zajęła miejsca przy małych stolikach. Niemieccy policjanci i „przedstawiciele warszawskiej prasy” usiedli przy jednym stoliku. Wraz z Kpt. Rojkiewiczem i dwoma krakowskimi urzędnikami z P.C.K. wybrałem czteroosobowy stół. Czterej oficerowie niemieccy podeszli zażenowani do dużego stołu, nakrytego na dziesięć osób i zasiedli przy nim sami. Po skromnym, ale przyzwoitym posiłku podano kawę. Wtedy wstał Oberleutnant Slovenzik. Zaczął swe przemówienie od stwierdzenia, że kiedy wojsko niemieckie zajęło Polskę, Reich „oddął Rosji wschodnie prowincje Polski” i wiele polskich oddziałów musiało poddać się Sowietom. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej został komendantem placu w Smoleńsku zaraz po jego zajęciu. Dowiedział się wtedy, że polscy robotnicy pracujący dla Reichswehry, odkryli groby polskich oficerów w pobliskim lesie, który okalał willę, służącą przed wojną za dom odpoczynkowy dla pracowników N.K.W.D. Przestraszeni ilością odkrytych zwłok, robotnicy zakryli groby i postawili na nich proste krzyże brzozone; niedługo potem odjechali na inne miejsce przeznaczenia. Sprawa pozostałaby może zapomniana, gdyby nie fakt, że w licznych rozmowach z tubylcami Slovenzik napotykał ciągle na wzmianki o egzekucjach rosyjskich ofiar przez N.K.W.D. na tym samym miejscu, a także i o morderstwie polskich oficerów na wiosnę 1940. Zgodność tych zeznań skłoniła Slovenzika do rozpoczęcia poszukiwań z własnej inicjatywy. To co odkrył napełniło go zdumieniem i przerażeniem: las krył siedem masowych grobów, które według niego mieściły około 11.000 zwłok polskich oficerów. Jego zdaniem mord musiał być popełniony po dokładnym przygotowaniu i na rozkaz wysoko postawionych czynników. Istotnie, z przesłuchania tubylców wynikało, że w kwietniu i maju 1940 roku przyjeżdżały na pobliską stację Gniezdowo regularne transporty oficerów, których przewożono w zamkniętych ciężarówkach do lasu katyńskiego. Po wjeździe każdej ciężarówki słyszano strzały, krzyki i wrzaski. Las był otoczony uzbrojoną



strażą i nie można się było do niego zbliżyć. Slovenzik pokazał nam fotostatyczne kopie tych świadectw i oświadczył, że nazajutrz sami będziemy mogli przesłuchać świadków. Waga tego odkrycia była taka, że Slovenzik przesłał raport do Berlina. „Głęboko oburzony losem ludzi, których sam nauczył się cenić na polu walki — mówił — był dumny i szczęśliwy kiedy w odpowiedzi na swój raport otrzymał telegram od samego Führera”, nakazujący mu przeprowadzenie identyfikacji zwłok „celem zawiadomienia rodzin pomordowanych”. Slovenzik zakończył swoje przemówienie apelem do polskiej opinii publicznej aby wreszcie zrozumiała całą ohydę i grozę tej barbarzyńskiej mocy, zwalczanej obecnie przez Reich w imieniu cywilizacji. „Cały świat, z Polską na czele, powinien przyłączyć się do tej walki”.

Musiałem odpowiedzieć na to przemówienie. Stuchając go miałem wrażenie, że opiera się ono na prawdziwych faktach, przedstawionych na rozkaz w specjalnym świetle, dla celów propagandowych. Celem tej propagandy było oczywiście rozbicie solidarności aliantów z Rosją w chwili kiedy los wojny zaczynał przeważać na niekorzyść Niemiec. Czułem również, że Berlin musiał już od jakiegoś czasu wiedzieć o tym morderstwie. Użyto go obecnie jako broni propagandowej.

Zacząłem od oświadczenia, że zostałem delegowany wyłącznie celem stwierdzenia czy współpraca Polskiego Czerwonego Krzyża w ekshumacji zwłok jest możliwa. Nie moglibyśmy podjąć się tej pracy sami i musielibyśmy otrzymać zapewnienia daleko idącej pomocy. W pobliżu linii frontowej jesteśmy oczywiście gotowi zastosować się do wszelkich obowiązujących przepisów bezpieczeństwa, ale musimy nalegać na otrzymanie całkowitego niezależnego dostępu do zwłok i do znalezionych dokumentów. (Chodziło mi tu przede wszystkim o kwestię ustalenia daty morderstwa bez ewentualnego fałszerstwa niemieckiego).

W tym miejscu przerwał mi Slovenzik, zapewniając mnie, że otrzymamy wszelką potrzebną pomoc i że nikt nam nie będzie przeszkadzać. W formie dialogu przedyskutowaliśmy potem techniczne zagadnienia, jak kwestię rąk roboczych, koszta (które miały być w całości pokryte przez armię), kwestię nowych grobów itd. Poruszyłem również sprawę przekazania spadku rodzinom ofiar i otrzymałem zapewnienie, że wszystkie znalezione przedmioty będą przechowane i oddane nam natychmiast po zakończeniu technicznych badań.

Zakończyłem moje przemówienie zdaniem, które przygotowałem sobie z góry. W odpowiedzi na apel do polskiej opinii publicznej powiedziałem że, mimo iż nie jestem bynajmniej upoważniony do przemawiania w czyimkolwiek imieniu, jestem przekonany że polska opinia publiczna będzie wzburzona odkryciem katyńskiej zbrodni, ale że Niemców nie powinno dziwić jeśli Polacy będą pamiętać że została ona popełniona w chwili kiedy Z.S.S.R., obecny wróg Niemiec, związany był z Reichem paktem, oddającym Rosji wschodnie ziemie Polski. Zdawałem sobie sprawę, że tego rodzaju oświadczenie, mimo że na pozór odważ-

ne, nie mogło pociągnąć za sobą w danych okolicznościach żadnych przykrych dla nas skutków. Nie byłem jednak przygotowany na reakcję jaka miała miejsce. Rzadko kiedy widziałem taki wyraz wściekłości i wstydu na niemieckich twarzach, ale Slovenzik wstał zza stołu, i wraz ze swoim zastępcą zbliżył się do naszego stolika zamawiając kieliszki koniaku. Zagrała tutaj przyzwoitość starego austriackiego oficera. Istotnie, jak się okazało z rozmowy, Slovenzik służył w czasie pierwszej wojny światowej w tym samym pułku co Plappert, nasz główny przedstawiciel w Krakowie. Zaczęły się oczywiście sypać wspólne wspomnienia. Następnego dnia rano zapytaliśmy o kościół w którym O. Jasiński mógłby odprawić mszę. Skierowano nas do małego budynku, w którym zainstalowano katolicką kaplicę dla niemieckich żołnierzy. Młody kapelan w mundurze prostego żołnierza służył do mszy. Klęczeliśmy z Plappertem po obu stronach ołtarza. Ta msza, odprawiona przez polskiego księdza w rosyjskim mieście okupowanym przez Niemców, z niemieckim księdzem w mundurze ze swastyką jako ministrantem, pozostała mi w pamięci jako symbol międzynarodowego charakteru Kościoła.

Po śniadaniu zawieziono nas do lasu katyńskiego, położonego o kilka kilometrów na zachód od Smoleńska. Z szosy wjechaliśmy na leśny trakt, po czym wozy stanęły i szliśmy dalej pieszo w kierunku pagórków na wielkiej polanie. Pomiędzy drzewami powiewały flagi z czerwonym krzyżem. Po chwili zobaczyliśmy masę szarych form leżących na szczycie najbliższego wzgórza i w tymże momencie powiew wiatru przyniósł straszliwy fetor rozkładających się ciał. Jeszcze kilka kroków i staliśmy nad wielkim grobem w formie litery L. Polana pokryta była zwłokami, a wewnątrz grobu, pochylając się, zobaczyliśmy potworny splot nóg, rąk, ciał i głów, wystających z ubitej ziemi. Stanęliśmy jak skamienieli. Na trawie i mchu leżało wokół nas około 400 wykopanych już zwłok, a poza wielkim grobem widzieliśmy zarysy następnych. Jak we śnie posuwałem się naprzód. Przeszło kilka minut zanim ochłonąłem i przypomniałem sobie, że stoją przede mną konkretne zadania.

Wyprostowałem się i zacząłem obserwować. Wszystkie zwłoki ubrane były w polskie mundury przeważnie w ciężkie zimowe płaszcze. Stan zachowania był wyjątkowy — odznaczenia, guziki wyglądały jak nowe. Ciała przeszły przez skomplikowany proces gnicia i zarazem mumifikacji, zapewne dzięki piaszczystej glebie. Twarze były już bez skóry i jamy ustne i oczne przeświecały poprzez wyschlą błonę mięśni i membran. Czaszki pokryte były włosami, które utraciły barwę. Zauważyłem, że kolor zachowały jedynie włosy rude — jak np. na zwłokach jednego z dwóch ekshumowanych generałów. Ręce natomiast były doskonale zachowane — o nietkniętej skórze i paznokciach, o widocznych liniach dłoni. Slovenzik i doktorzy zwrócili moją uwagę na metodę egzekucji. Była przerażająco jednakowa: na każdej głowie ta sama rana, drobny otwór z tyłu, u podstawy czaszki i otwór wyjściowy na czole. Takie rany mogła zadać tylko ekipa



ekspertów, i to z najbliższej odległości. Jak się to stało, że wszyscy ci ludzie zostali tak samo zamordowani?

Powoli kształtowałem sobie potworną wizję. Widziałem grupę jeńców wychodzącą z wozów, w tym samym miejscu co my. Musieli być natychmiast otoczeni uzbrojoną strażą. Cała grupa, nie zdająca sobie jeszcze sprawy z tego co ją czeka, idzie w górę tą samą ścieżką którąśmy przeszli. Nagle, przed samym szczytem, strażnicy tworzą tyralierę z tyłu, z elkaemami w ręku. Odcinają drogę i tak beznadziejnej ucieczki. Jeszcze kilka kroków, i nagły wrzask rozkazu, brutalne razy kolbami i oszołomione ofiary stoją nad grobem — widzą zamordowane zwłoki swych poprzedników. Twarze bledną w nagłym zrozumieniu, że to koniec. Nie ma nawet czasu na indywidualne reakcje, gdyż oto za ofiarami formuje się przygotowany rząd katów z pistoletami w ręku. Krzyki — wystrzały — i kopnięcie strąca opadające ciało do masowego grobu. Potem żołnierze skaczą do jamy, aby ułożyć równolegle nowe zwłoki na wierzchu poprzedniej warstwy. I straż wraca żartując może, czyszcząc płaszcze — po następnej grupie ofiar.

Może przebieg morderstwa był inny, ale w każdym razie tak to widziałem. Czy nie było żadnego fizycznego oporu ze strony ofiar, mimo beznadziejności? Wkrótce znalazłem odpowiedź na to pytanie natrafiając na zwłoki o odmiennym wyglądzie: płaszcz zarzucony na głowę i przewiązany pod szyją sznurem; ręce związane z tyłu innym sznurem, przerzuconym pętlą pod sznur na szyi, aby uniemożliwić jakikolwiek ruch. I na tych zwłokach ta sama rana: płaszcz był zarzucony na głowę tak aby podstawa czaszki była częściowo obnażona — dla lufy pistoletu i wygodę kata. Tak wyglądały zwłoki tych, którzy w ostatniej chwili zerwali się do walki nie o życie — ale o śmierć. Inni nie mieli nawet czasu na postawienie rozpaczliwego oporu, albo szok nagły obezwładnił ich całkowicie, albo wreszcie, wiedząc, że i tak muszą umrzeć, woleli nie narażać się na gwałt fizyczny ze strony swych oprawców. W jamie ustnej jednej z ofiar — pełno trocin: żeby zdławić krzyki...

Szliśmy dalej wzdłuż grobów. Przy obu krańcach każdego grobu Niemcy wykopali pionowe dziury, żeby sprawdzić wysokość pokładu zwłok. Wielki grób — w formie litery L — wykopany był w dół wzgórza, i niższa jego część pełna była czarnej mazi z wystającymi z niej członkami zwłok. Grób musiał być wykopany na wiosnę w zamrożonej jeszcze ziemi i zapełnił się wodą przy odwilży. Oto jeszcze jeden dowód, że zbrodnia nie została popełniona — jak twierdzili później Rosjanie — przez Niemców na jesieni 1941 roku.

Ojciec Jasiński, potwornie błądzący i bliski zemdlenia, wdział liturgiczne szaty, i odmawiając modły za zmarłych, pokropił groby wodą święconą. Ukłękliśmy i zmalowaliśmy wraz z nim modlitwy, podczas gdy Niemcy i grupa Rosjan patrzyła na nas w milczeniu. Zaraz po spełnieniu swego obowiązku ksiądz wstał, ale natychmiast upadł, zemdlony. Zanieśliśmy go pod drzewa, z dala

od ohydneho fetoru. Po chwili przyszedł do siebie, ale leżał na ziemi aż do chwili wyjazdu, z chustką na twarzy.

Zaproponowano mi rozmowy z chłopami rosyjskimi, których w tym celu sprowadzono, i których zeznania czytałem poprzedniego wieczora. Mówiłem z nimi po rosyjsku i zapamiętałem zwłaszcza starego Rosjanina, o uczciwej i otwartej twarzy, który z dużą swobodą odpowiadał na wszystkie pytania, nie zwracając najmniejszej uwagi na stojących wokół niemieckich żołnierzy. Z pewnością nie powtarzał wyczonej lekcji. Przerwałem rozmowę z nim kiedy zauważyłem, że zbliża się Niemiec z mikrofonem. Slovenzik, który obserwował mnie z pewnej odległości, podszedł do mnie i poprosił mnie o opowiedzenie o mych wrażeniach przed mikrofonem. Ostro odmówiłem. Po chwili przyszedł von Arndt z tą samą propozycją i dostał tę samą odpowiedź.

Mogłem teraz uważać moje zadanie za zakończone i rozmówiłem się z Rojkiewiczem. Miał on pozostać na miejscu i kierować zespołem. W najbliższym czasie mieliśmy mu dostać nowych ludzi. Pozostawiając mu wolną rękę dałem Rojkiewiczowi jedną tylko ścisłą instrukcję: miał przerwać pracę i zażądać transportu do Warszawy gdyby niemieckie przepisy bezpieczeństwa przeszkadzały mu w wykonaniu zadania, lub gdyby odmówiono nieskrępowanego dostępu do zwłok. Podkreśliłem, że głównym zadaniem jest ustalenie daty morderstwa. Nie dlatego bym miał wątpliwości co do autorstwa zbrodni przez Rosjan — wszelkie podejrzenia na ten temat nie istniały już w moim umyśle — ale zależało mi na ustaleniu dokładnej daty przez nas samych.

Pozostało jedno pytanie, które do końca zostało bez odpowiedzi. Podczas mojej inspekcji doszedłem do wniosku, że siedem katyńskich grobów zawiera od czterech do sześciu tysięcy zwłok, i nie mogłem zrozumieć liczby jedenastu tysięcy, podanej przez Berlin. Zapytałem o to Slovenzika, ale jego odpowiedzi były wymijające. Powiedział mi on że cyfra jedenastu tysięcy oparta była na przypuszczeniu że cała polana jest jednym grobem, o mniej więcej jednakowym nawarstwieniu zwłok. To mnie nie przekonało — i wówczas Slovenzik powiedział zagadkowo, że przekonam się iż metodyczne przekopanie polany da w rezultacie potwierdzenie cyfry podanej przez Niemców. To wydało mi się bezsensowne, ale utwierdziło mnie w przekonaniu że Niemcy przeszukają dokładnie całą polanę. Przypuszczenie, które wówczas przyszło mi na myśl, i które dotąd wydaje mi się prawdopodobne, jest to, że Niemcy w okresie swego przymierza z Sowietami dowiedzieli się o zamierzonej eksterminacji polskich oficerów w Z.S.S.R. Kiedy odkryli masowy grób katyński, przypuszczali, że kryje on zwłoki wszystkich niemal jeńców. Niemcy cenili Polaków jako żołnierzy i byłoby dość dziwne żeby nie starali się repatriować polskich oficerów z Rosji, kraju potencjalnie wrogiemu, do którego niemiecki sztab generalny nie miał nigdy zaufania. Wiemy, że istotnie starali się uzyskać w roku 1940 repatriację tych oficerów. Jeśli dowiedzieli się o zamierzo-



nej likwidacji jeńców, to tłumaczyłoby tajemnicze milczenie, które zapanowało nagle z dnia na dzień, w sprawie repatriacji.

Po opuszczeniu łasku katyńskiego zawieziono nas na pobliski posterunek Feldpolizei. Zainstalowano tam małe laboratorium pod kierownictwem Dr Buhtza, kryminologa z Wrocławia, znanego naszym lekarzom z przedwojennych zjazdów międzynarodowych. Odczytywano tam i rekonstruowano zniszczone dokumenty. Cały spadek katyński był tam złożony. Ilość przedmiotów i dokumentów znalezionych przy zwłokach była zadziwiająca. Obok dowodów tożsamości, pełno było listów, fotografii, papierów, portfeli z pieniędzmi, złotych monet, papierosnic... W niektórych wypadkach tożsamość ofiar nie przedstawiała wątpliwości, w innych brak dokumentów ich całkowite zniszczenie uniemożliwiało identyfikację. Zbrodnię popełnioną w tak wielkim pośpiechu, że nie przeszukano nawet ofiar. Mało metodyczna i nie podobna do Niemców procedura.

Odbyłem krótką rozmowę z Dr Buhtzem, który nalegał abyśmy wydelegowali polskich doktorów do pomocy. W chwili naszego wyjazdu do Smoleńska Leutnant von Arndt zabrał mnie na bok i powiedział, że niemieccy oficerowie są osobiście zainteresowani moją opinią, zapewniając mnie że moje słowa nie zostaną podane prasie. Po chwili wahania odrzekłem, że opuszczam Katyń wstrząśnięty do głębi i że mogę zaświadczyć o przyzwoitej postawie wojska niemieckiego wobec naszej ekipy. Niemiec był najwidoczniej zadowolony z mojej odpowiedzi. Odpowiadała ona zresztą prawdzie, a zachowawszy się ostro w stosunku do Niemców dwa razy w ciągu dwudziestu czterech godzin, chodziło mi o stworzenie jak najlepszych psychologicznych warunków dla pracy naszego zespołu, który pozostawał zdany na łaskę i niełaskę Wehrmachtu.

Po powrocie do Smoleńska, poinformowałem Slovenzika oficjalnie o mojej decyzji pozostawienia zespołu z Rojkiewiczem na czele, i zapowiedziałem przylot nowych ludzi w najbliższych dniach. Opuszczaliśmy Smoleńsk popołudniu i dolecieliśmy do Warszawy wieczorem.

Nazajutrz rano, zdałem sprawę z mojej misji przed zarządem P.C.K. i mój raport, skondensowany w ośmiu krótkich punktach, został zaaprobowany. Natychmiast potem zostałem wezwany do oddziału propagandy Gubernatora Warszawy. Czekali tam na mnie Dr Grundman i Dr Heinrich, SS-owiec i oficjalny nadzorca Polskiego Czerwonego Krzyża. Byli również dwaj inni Niemcy, których przedstawiono mi jako członków „Geheime Staatspolizei”, „specjalnie zainteresowanych w sprawie katyńskiej”. Mieli oni zresztą istotnie zwierzęce twarze gestapowców z amerykańskiego filmu. Podczas całego przebiegu rozmowy nie zabrali ani razu głosu, odgrywając rolę niemych, ale decydujących świadków.

Po opisanu tego co widziałem w Katyniu, poprosiłem o samolot celem dostania dalszych członków naszej ekipy. Zgodzono się natychmiast. Poprosiłem również o ustalenie stałej łączności

między zarządem P.C.K. a Katyniem, ale tu otrzymałem tylko zapewnienie „przekazania mej prośby”. W tym miejscu Niemcy zaczęli niebezpieczną dyskusję o metodach, które należało zastosować aby Polacy zrozumieli misję Reichu w jego wojnie z Rosją w obronie Europy. Na te argumenty odpowiedziałem, stwierdzając, że przecież nie było nigdy w Polsce sympatii komunistycznych, ale że po wszystkim co się stało od roku 1939 trudno żeby Niemcy mogli oczekiwać nagłej zmiany w nastrojach Polaków wobec nich i tu powszechnie nastroje antyrosyjskie społeczeństwa polskiego będą z pewnością bardziej wzmocnione trzeźwym przedstawieniem katyńskiej zbrodni, niż hataśliwą propagandą.

Ale moje argumenty bynajmniej nie przekonały moich rozmówców. Po chwili milczenia Heinrich oświadczył, że Berlin oczekuje ode mnie udzielenia wywiadu, który miałby się ukazać we wszystkich niemieckich gazetach. Przypomniałem Grundmanowi, że z góry oświadczyłem, że nie jestem upoważniony do udziału w jakiegokolwiek akcji propagandowej. Grundman musiał mi przyznać rację. Wobec tego Heinrich stwierdził, że nie będzie nalegać na wywiad prasowy, ale że mam napisać list do władz niemieckich, który byłby ogłoszony w niemieckiej prasie, by ułatwić przedruki pismom brytyjskim i w ten sposób wpłynąć na stanowisko „moich rodaków w Londynie”. Heinrich „nie widział jak mógłbym tego odmówić”. Napięcie wzmagano się i przeszedł mnie zimny dreszcz kiedy spojrzalem na milczące twarze gestapowców. Odmówiłem ponownie, stwierdzając, że nie widzę żadnej różnicy pomiędzy wywiadem, a listem opublikowanym w prasie, i że wreszcie — moi rodacy w Anglii byłiby i tak przekonani że postawiono mnie przed wyborem między napisaniem tego listu i obozem koncentracyjnym. Grundman wybuchnął śmiechem, zgadzając się ze mną — i atmosfera nagle została rozładowana. Ale Esesowiec, widocznie niezadowolony, stwierdził, że jako nadzorca Polskiego Czerwonego Krzyża żąda oficjalnego sprawozdania od zarządu P.C.K. o mojej misji. Sprawozdanie ma być dostarczone przed piątą popołudniu. Pożegnałem się i wznaczonym czasie Propaganda Abteilung otrzymała wyciąg z porządku dziennego zebrania zarządu P.C.K., dotyczący mojego raportu. To był jedyny materiał dostarczony kiedykolwiek niemieckiej propagandzie przez P.C.K. w sprawie katyńskiej.

Gdy wróciłem do biura zatelefonował do mnie mój przyjaciel Józef Wierusz-Kowalski, prosząc, abym zaszedł do niego celem spotkania „wspólnego znajomego”. Tym „wspólnym znajomym” był Stefan Korboński, którego nie znałem osobiście, ale którego znała cała Polska (anonimowo) z rozkazów wydawanych ludności jako szef Walki Cywilnej. Tym razem zdawałem sprawę z mojej misji człowiekowi który był legalnym przedstawicielem mego rządu. Korbońskiego interesowało przede wszystkim autorstwo zbrodni katyńskiej. Na podstawie mego referatu doszedł do przekonania że była to — tym razem — Rosja Sowiecka. Zaaprobował stanowisko P.C.K.



Na tym skończyła się moja indywidualna rola.

W kilka dni po moim powrocie ze Smoleńska, Niemcy zaprosili P.C.K. na wizytację obozu polskich jeńców w Niemczech. Cel był oczywisty: mieliśmy porównać względnie przyzwoite warunki jeńców wojennych w Niemczech z Katyniem. Jednocześnie jednak setki niewinnych ludzi umierało codziennie w niemieckich obozach koncentracyjnych. Odmówiliśmy przyjęcia zaproszenia, odrzucając wszelką dalszą dyskusję. Stwierdziliśmy, że gotowi jesteśmy przyjąć tę propozycję, jako gest pod adresem Międzynarodowej Konwencji Genewskiej, pod warunkiem że zachowanie się Niemców w Polsce odpowiadać będzie zasadom tejże Konwencji. Załączaliśmy całą listę najbardziej oczywistych wypadków pogwałcenia Konwencji przez Niemców. Nie potrzeba dodawać, że zaproszenie nie zostało powtórzone.

Międzynarodowe reperkusje sprawy katyńskiej są znane. Jeśli chodzi o polską opinię publiczną, to oczywiście nie stała się ona z dnia na dzień proniemiecka, jak naiwnie tego oczekiwali niektórzy Niemcy. Chociaż więc wojska niemieckie w dalszym ciągu współpracowały z naszym zespołem w Katyniu, władze przestały się interesować tą sprawą. Zarządowi P.C.K. nie dano już żadnych samolotów do dyspozycji. Żaden członek zarządu P.C.K. nie dojechał już do Katynia. Posłaliśmy jednak dziewięciu naszych pracowników celem wzmocnienia zespołu. Wśród nich ludzie, którzy w razie potrzeby mogli objąć kierownictwo. Pojechał również lekarz i trzech prokuratorów anatomicznych, którzy nie należeli do P.C.K., ale zostali wyznaczeni przez niemieckie władze za zgodą naszego krakowskiego oddziału.

Wojsko niemieckie dostarczyło rosyjskich robotników cywilnych i jeńców, do przekopywania grobów i ekshumacji zwłok. Na stacji Feldpolizei identyfikacja zwłok dokonywana była przez Polaków i Niemców łącznie, przy grobach zaś przez samych Polaków, pod strażą uzbrojonych Niemców. Każde zwłoki zaopatrywano w numerowaną etykietę, stwierdzającą miejsce (według rzędu i głębokości) w masowym grobie, a również miejsce spoczynku na nowym cmentarzu.

Nawiasem mówiąc, kiedy przekazałem tę listę w roku 1946 rządowi polskiemu w Londynie, okazało się że z drobnymi wyjątkami zwłoki leżały w masowych grobach w tym samym porządku w jakim oficerowie opuszczali obóz w Kozielsku. Ta jedna okoliczność jest druzgocząca dla sowieckiej tezy oskarżającej Niemców. Istotnie, gdyby jeńcy nasi byli sprowadzeni do Katynia dla robót drogowych, i dopiero w półtora roku później zamordowani przez Niemców, to w jaki sposób miały się zachować porządek grup opuszczających Kozielsk?

Wszystkie ważne dokumenty i przedmioty znalezione przy każdym zwłokach umieszczano razem z jednym naramiennikiem mundurowym w kopercie, oznaczonej numerem znalezionych zwłok. Koperty te przesyłano dwa razy dziennie do laboratorium policyjnego, gdzie odbywało się ściślejsze dochodzenie. Niektóre dokumenty były jeszcze czytelne. Utożsamiono w sumie

około 70 procent zwłok. Nieczytelne dokumenty umieszczano w kopertach, oznaczonych tylko numerem zwłok, razem z przedmiotami.

Lekarz i anatomiczni prosekutorzy pracowali głównie nad zwłokami nieutożsamionymi.

Wszystkie bez wyjątku daty znalezione na dokumentach i dziennikach kończyły się w maju czy kwietniu 1940 — co pokrywało się z likwidacją obozu w Kozielsku.

Niemcy w dalszym ciągu pilnie szukali dalszych grobów w lesie katyńskim. Przez szereg tygodni bez powodzenia. Ale drugiego czerwca, dokładnie w chwili opróżnienia pierwszych siedmiu grobów, znaleźli ósmy grób, który na podstawie bocznych drążów, mógł zawierać około 150 zwłok. Nasza ekipa wzięła się natychmiast do pracy, i ekshumowała dziesięć pierwszych zwłok, kiedy nagle Niemcy, zdradzający od pewnego czasu zdenerwowanie, nakazali, pod pretekstem przepisów sanitarnych, zawieszenie wszelkich prac na okres letnich miesięcy. Prawdopodobnie nie chcieli w ogóle pozwolić na zakończenie wszystkich prac ekshumacyjnych, gdyż ostateczna liczba zwłok, ściśle ustalona, musiałaby zdyskredytować cyfrę 11.000, którą operowali od początku.

W Katyniu odkopano 4.243 zwłoki co po dodaniu 140 zwłok w ósmym grobie dokładnie odpowiada liczbie wysłanych na śmierć z Kozielska.

Kontrola i przepisy bezpieczeństwa, którym podlegała nasza ekipa, były o wiele luźniejsze niż się tego spodziewałem. Nasi ludzie mogli chodzić sami na spacer, kąpać się w Dnieprze i rozmawiać z tubylcami, bez żadnych ze strony Niemców utrudnień. Wszystkie te prywatne rozmowy potwierdzały zresztą datę i okoliczności morderstwa. Zachodziły pewne tarcia pomiędzy Niemcami i naszą ekipą, ale nie doszło nigdy do poważnego konfliktu. W pewnej chwili kierownik ekipy otrzymał rozkaz grzebania zwłok oficerów niemieckiego pochodzenia osobno — jako „Volksdeutschów”. Odmówił tego kategorycznie — i Niemcy nie nalegali. Najważniejszy incydent dotyczył grobu w kształcie litery L, który, jak wspominałem, był w dolnej swej części zalany wodą. Slovenzik zobowiązał się dostarczyć pompy do osuszenia grobu, ale nie mógł wykonać tej obietnicy z powodu intensywnych nalotów sowieckich. Wobec tego zasugerował, aby ekshumację tej części odłożyć na później, gdyż nie można było, jego zdaniem, wymagać nawet od rosyjskich przymusowych robotników wykonania tak przykrego zadania. W odpowiedzi na to cała nasza ekipa zgłosiła się ochotniczo do wykonania ekshumacji i cała praca została wykonana gołymi rękoma przez naszych ludzi, bez żadnej obcej pomocy. Wydobyto tam 46 zwłok, które wszystkie związane były sznurami.

Z miejscowej topografii wynika wyraźnie, że obecność trupów związanych sznurami nie była spowodowana walką, rozczętą przez jeńców wcześniej, ale tym, że niektóre ofiary zaczęły walkę u brzegu jamy w formie „L” stoczyły się wal-



cząc z oprawcami w dół i tam zostały zamordowane. Aby uniknąć noszenia trupów pod górę Rosjanie zakopali ich w dolnej odnodze. W innych grobach, które były wykopane na równiejszym terenie, trupy związane sznurami były przemieszane z drugimi.

Los katyńskiej masy spadkowej stanowi osobny rozdział. Laboratorium Dr Buhtza na stacji Feldpolizei okazało się niezdolne do odszyfrowania wszystkich dokumentów, i Berlin, chcąc jak najprędzej mieć rezultaty dochodzeń, nakazał przesłać całego materiału w dziewięciu wielkich skrzyniach do Instytutu Medycyny Sądowej w Krakowie, powierzając go Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi. Instytut był nadal w polskich rękach, pod nadzorem przyzwoitego Niemca, Dra Becka. Postanowiliśmy z polskim kierownikiem instytutu, Drem Roblem, zabrać się natychmiast do naukowej pracy nad dokumentami, ale jak najdłużej zwlekać ogłoszenie jej rezultatów, aby nie dawać broni hitlerowskiej propagandzie. Widziałem sam pracę nad dokumentami. Po chemicznej kąpeli i suszeniu, szary płat papieru, na którym nie znać było śladu pisma, podsuwano pod hermetyczną metalową skrzynkę w ciemnicy. Tutaj włączenie prądu wywoływało promieniowanie pisma, które stawało się czytelne. Robota nad dokumentami została zakończona względnie szybko. Dostarczyła nowego materiału identyfikacyjnego i ustaliła bez żadnej wątpliwości że jeńcy z Kozielska byli przesyłani do Katynia w kolejnych transportach i tam zamordowani. Najcenniejszym źródłem informacji były 22 dzienniki prowadzone przez niektóre ofiary. Czytałem je wszystkie. Wzmiankują one datę odjazdu w nieznane, oczekiwaną zresztą przez jeńców z radością, gdyż zapowiedziana była duża zmiana, może nawet uwolnienie oficerów. Dzienniki opisują życie obozowe, fatalne warunki żywnościowe, komunistyczną propagandę w obozach. Końcowa data we wszystkich dziennikach — to kwiecień lub maj 1940. Najbliższe śmierci notatki — to major zapisujący przyjazd do samego lasu katyńskiego, i pułkownik — na stację Gniezdowo.

Gdy Armia Czerwona zbliżała się do granic Polski stało się jasne, że wbrew naszym oczekiwaniom, mimo niebezpieczeństwa sowieckiej inwazji, Hitler nie podda. Zaczynaliśmy się obawiać o los katyńskich dokumentów, wiedząc, że Berlin ma je zamiar obwozić specjalnym propagandowym pociągami po „Festung Europa”. Próba zdobycia skrzyń siłą przez naszych ludzi spaliła na panewce, i ostatecznie oddział SS zabrał je do Wrocławia, gdzie znalazły się poza naszym zasięgiem. Słyszeliśmy później, że w miarę zbliżania się Rosjan, oddział ewakuował się dalej pod kierownictwem Dra Becka. Dopiero po wojnie okazało się, że wszystkie dokumenty zostały na rozkaz spalone przed zajęciem Drezna przez Rosjan.

Po „uwolnieniu” Polski, nowy rząd zwolnił cały zarząd P.C.K. z zajmowanych stanowisk, dając nam zresztą pisemne poświadczenia „patriotycznego zachowania się pod okupacją niemiecką”.

Niedługo potem dostałem do rąk rosyjską broszurę pod tytułem: „Komunikat Specjalnej Komisji do Zbadania Okoliczności Zastrzelenia Jeńców Wojennych, Polskich Oficerów, przez Najeźdźców Niemiecko-Faszystowskich”. Nie byłem zdziwiony, że ta „Specjalna Komisja” (bardzo rzeczywiście specjalna), nie zawierała żadnego przedstawiciela sprzymierzonego czy neutralnego, z tych samych powodów dla których Związek Sowiecki odmówił w roku 1943 utworzenia Międzynarodowej Komisji Czerwonego Krzyża. Był to wstęp do znanej komedii mającej na celu przypisanie zbrodni katyńskiej Niemcom.

Mój ostatni kontakt w Polsce ze sprawą katyńską miał miejsce w roku 1945. Być może że niektórzy członkowie „Polskiego Rządu Tymczasowego Jedności Narodowej” naiwnie wierzyli w sowiecką wersję o zbrodni katyńskiej. W każdym razie rząd zdecydował się na otwarcie polskiego „dochodzenia” w sprawie katyńskiej. Polecono mi oficjalnie sporządzić pisemne sprawozdanie z mojej misji do Katynia, i doradzono mi przy tym „w moim interesie” położyć nacisk na każdy szczegół który by wskazywał na to, że zbrodnia została dokonana przez Niemców. Zgodziłem się na złożenie świadectwa, ale z góry zaznaczyłem, że nie będę mógł powołać się na nic co by wskazywało, że Katyń jest zbrodnią niemiecką. W moim świadectwie opisałem szczegółowo całe moje doświadczenie w tej sprawie, ale, wiedząc że Dr Robel został zaaresztowany w Krakowie i obawiając się że może zająć sprzecznosc w naszych zeznaniach, pominąłem całkowicie milczeniem całą część badawczą naszej pracy. Moje świadectwo zostało przeczytane „w kołach oficjalnych” i uznano je za niewystarczające. Zostałem ponownie wezwany do tej samej osobistości urzędowej. Tym razem, rozmawiając w cztery oczy, opowiedziałem całą prawdę, nie kryjąc się bynajmniej z mymi wnioskami. Mój rozmówca wydawał się szczerze zdziwiony. Muszę tu oddać sprawiedliwość ludziom w ówczesnym rządzie: po tym wytłumaczeniu powiedziano mi, że dochodzenie nad sprawą katyńską będzie zawieszono. Nie tylko nie spotkała mnie z tego powodu żadna przykrość, ale w kilka dni później poinformowano mnie poufnie, że póki sprawa jest w rękach rządu nie mam się czego obawiać. Natomiast gdyby N.K.W.D. miało zażądać aktów tej sprawy, moje bezpieczeństwo może być zagrożone.

Jako jeden z głównych świadków sprawy katyńskiej opuściłem Polskę nielegalnie, w maju 1946, z pomocą naszego podziemia.

Zdałem sprawę z mej misji w Katyniu rządowi polskiemu w Londynie. W sześć lat później, zostałem powołany na świadka przez Komisję Amerykańskiego Kongresu Inwestygacji sprawy katyńskiej.



## Kronika kulturalna

### Z wystaw londyńskich

Pierwszą z nich była wystawa (pod nazwą „The Arts Council Collection”. Nie wyróżniała się ani specjalnie wysokim poziomem eksponatów ani też oryginalnością koncepcji plastycznych, ale dawała dość jasny przegląd osiągnięć w plastyce brytyjskiej obecnej doby.

Najciekawszy był akcent położony przez organizatorów wystawy na to, że mamy tutaj do czynienia z „Państwowym Mecenatem Sztuki”. Ten aspekt wystawy rysował się tym wyraźniej, że żaden z cenionych artystów nie Brytyjczyków nie znalazł się w gronie szczęśliwców, których prace zostały zakupione do kolekcji Arts Council.

Historia „Państwowego Mecenatu Sztuki” na terenie Wielkiej Brytanii jest stosunkowo młoda i sięga pierwszych lat ostatniej wojny kiedy to zrozumiano, że czasy prywatnego mecenatu skończyły się bezpowrotnie. W roku 1942 powołano do życia instytucję pod nazwą Council for the Encouragement of Music and Arts (w skrócie C.E.M.A.). Jej działalność w ciężkich wojennych warunkach była niezmiernie pożyteczna. Wiele dokonano zwłaszcza w dziedzinie popularyzowania nowoczesnej sztuki wśród szerokich mas.

Na przedce skompletowaną kolekcję sztuki współczesnej wysłano w teren jako wystawę objazdową. Pomysł był świetny, wystawa docierała do najbardziej izolowanych od kulturalnego życia zakątków kraju. Tysiące ludzi zwiedziło wystawę, w tym większość po raz pierwszy miała możliwość zetknięcia się ze sztuką nowoczesną. Po zakończeniu wojny, w roku 1946, gdy życie wracało do normalnych warunków i większość artystów powróciła do swych pracowni dla koordynacji wysiłku twórczego kraju, powołano do życia Arts Council, który przejął obowiązki C.E.M.A. Poza planem propagowania sztuk plastycznych wśród społeczeństwa postanowiono także zorganizować pomoc artystom przez regularne zakupowanie ich prac do zbiorów państwowych.

Intensywna działalność jaką rozwinęła ta instytucja przeja-

wiająca się w licznych, znakomicie organizowanych wystawach wydaje się nie budzić żadnych zastrzeżeń; natomiast sprawa zakupu dzieł sztuki jest szeroko komentowana i ogólnie stwierdza się że coś tutaj szwankuje.

W okresie prawie dziesięciu lat swego istnienia Arts Council nabył 170 obrazów (w tym akwarele i rysunki) oraz dwadzieścia rzeźb na ogólną sumę 22.400 funtów. Jak stwierdza John Berger (malarz i krytyk), który analizował to zagadnienie, wprowadza się to do ofiarowania 260 artystom po dziesięć funtów rocznie. Dziesięć funtów akurat wystarcza — na pokrycie wydatków na przybory malarskie jakie jeden artysta zużywa w przeciągu miesiąca. Ale nie tylko sprawa stanowczo za szczupłych funduszy przeznaczonych na zakup dzieł sztuki została poddana krytyce. Wybór dzieł, jak też sposób ich zakupu budzi również zastrzeżenia. Ta sprawa przy bliższym rozpatrywaniu jest bardziej skomplikowana niżby się pozornie wydawało.

Arts Council rozporządza funduszami publicznymi co zobowiązuje do pewnej formy wydatkowania pieniędzy. Problem czy przy zakupie dzieł sztuki ma być brany pod uwagę smak małej raczej grupy ludzi plastycznie wyrobionych czy też ma się dogadzać gustom szerszej publiczności musiał być jakoś rozwiązany. Wybrano możliwie demokratyczny sposób. Wyłoniono mianowicie mały zespół ludzi spośród członków Art Panel, który dokonuje zakupów. Zespół taki zmienia się każdego roku. Tak postawiona sprawa wprawdzie wyklucza z góry utrzymanie jednej linii przewodniej w kompletowaniu zbiorów, które w rezultacie powstają dość przypadkowo, ale zabezpiecza to od niebezpiecznej stronniczości.

Omaiwana wystawa doskonale odzwierciedlała wszystkie zalety i wady takiego ostrożnego i kompromisowego podejścia do tego zagadnienia. Rzeczowa krytyka odnośnie działalności tak pożytecznej instytucji jaką jest Arts Council sprowadza się do tego, że „Prawdziwy Mecenat” nie powinien ograniczać się jedynie do zakupowania z wystaw obrazów dla zbiorów państwowych, ale na dobrą sprawę od poważnego mecenatu oczekiwać należy wielkich zamówień poprzez które można by wpływać na poziom sztuki w kraju i podnoszenie ogólnego smaku. Współczesne doświadczenia z tego zakresu wykazały, że sztuka kierowana nie dawała dobrych wyników (zarówno wielka twórczość Rembrandta jak i Cézanne'a mało miały wspólnego z zamówieniami), niemniej jednak pozostawienie artystów samym sobie, bez środków do pracy i życia wcale sprawy nie załatwia.

Ta wystawa wydobyła jeszcze raz na światło dzienne problem którego dotąd nie udało się rozwiązać w sposób zadawalający w żadnym z istniejących, nowoczesnych ustrojów. Na ogół docenia się dziś dostatecznie znaczenie sztuki w życiu społeczeństw ludzkich i czyni się doświadczenia na niedużą na razie skalę jak zaradzić kryzysowi w sferze spraw artystycznych, który się wytworzył na skutek przemian ekonomiczno-społecznych.



Działalność Arts Council wydaje się być takim laboratorium doświadczalnym na terenie Zjednoczonego Królestwa.

Złośliwi twierdzą, że najbardziej konkretne korzyści z istnienia takich rządowych instytucji propagujących sztukę, wynoszą na razie jej urzędnicy, którzy posiadają dobre warunki pracy w opalanych biurach z wygodnymi fotelami i regularną płacą, a tymczasem artyści, którym ci urzędnicy niby mają służyć, pracują najczęściej w warunkach opłakanych. W przysłowionym chłodzie i głodzie tworzą swoje dzieła, które w rezultacie stają się łupem handlarzy sztuki i wszystkich pseudo-kulturalnych organizacji żerujących na bezinteresownym trudzie artystów.

Wystąpienie dziewięciu malarzy abstrakcjonistów z wystawą ostatnich swoich prac w Redfern Gallery, dostarczyło powodu do dyskusji na temat malarstwa abstrakcyjnego. O ile pesymiści uważają, że próby abstrakcjonistów zakończyły się niepowodzeniem i że należy zaniechać dalszego brnięcia w niedorzecznych założeniach, to liczni optymiści nie wyrzekają się marzeń, że któregoś dnia uda się przebić ową ścianę, która bar rykaduje drogę do nowej sztuki.

Wystawione obrazy, zbudowane z form geometrycznych, o ładnej powierzchni technicznie dobrze położonej farby, sprawiły wrażenie dekoracyjnych elementów przeznaczonych do ozdoby nowoczesnych wnętrz. Ta faza dociekań na jakiej utknęły poszukiwania abstrakcjonistów rzeczywiście zaczyna nużyć. Powtarzanie w koło tych samych form z małymi kompozycyjnymi przesunięciami przestaje być zabawne. Wydaje się, że sami abstrakcjonisci zdają sobie z tego sprawę i szukają wyjścia z impasu. Kilku malarzy z grupy wystawiających, a między nimi Victor Pasmore, szukają rozwiązań w trójwymiarowej rzeczywistości i posługują się już nie płaskimi figurami geometrycznymi lecz bryłami. Do tego celu używają różnego materiału, najpopularniejsze jednak jest drzewo.

Ładna stolarszczyzna może również zachwycić wrażliwego na szlachetny materiał i dobre rzemiosło widza, ale sprowadzenie malarstwa do pseudo-stolarszczyzny nie wydaje się zbyt szczęśliwym pomysłem. Sprawy malarskie należy rozwiązywać środkami malarskimi. Łatwiej być oryginalnym, zaskakując widza kilku wypolituowanymi drewnianymi klockami, przytwierdzonymi do tła w znalezionych punktach płaszczyzny i oprawionych w pomysłową ramę, ale czy dla tego celu warto poświęcać tak wspaniałe środki jakimi dla malarza były i są kolory. Aczkolwiek każdy wysiłek zmierzający do nowych odkryć w sztuce godny jest uwagi, to powaga z jaką ci malarze traktują te stolarskie spekulacje wydaje się słabą stroną tego eksperymentu. Za dużo „mądrych” teorii i argumentów a za mało radości z prostego faktu jakim jest widzenie kształtów i barw.

„Oryginalność za wszelką cenę” nie zawsze jest opłacalna.

Zygmunt TURKIEWICZ

## Książki

### Mowa katalogów

Wszyscy wiedzą, że sytuacja polityczna na Kremlu odbija się natychmiast w ikonografii sowieckiej. Zależnie od tego czy portret Chruszczowa jest większy czy mniejszy, czy wisi bliżej środka czy dalej, wnioskuje się o wzroście jego wpływów lub o nadchodzącym upadku. To samo da się zaobserwować odnośnie hierarchii nazwisk w komunikatach oficjalnych itp. Pewien Niemiec opracował nawet podobno system naukowo-statystyczny, z pomocą którego da się nieomylnie wyliczyć kto jest w danej chwili górą. Te rozważania nasunęły mi się przy wertowaniu ostatnich katalogów wydawnictw polskich i wschodnio-niemieckich. Tak więc do połowy r. 1953 pierwsze miejsce w Biuletynie Eksportowym „Prasy i Książki” w Warszawie zajmował dział *Marksizm-Leninizm, druga Polska Ludowa, trzecie Budownictwo Socjalistyczne ZSRR, Kraje Demokracji Ludowej, potem Nauki społeczno-polityczne i ekonomiczne, Filozofia, Historia*. Na szarym gdzieś końcu wreszcie *Literatura piękna*. Dla porównania warto zaznaczyć, że w „kapitalistycznych” katalogach francuskich na pierwszym miejscu znajduje się *Filozofia-Religia* w zachodnio-niemieckich zaś na pierwszym miejscu jest bibliografia, na drugim religia i teologia. Konstatujemy bez większego zdziwienia, że mniej więcej pod śmierci Stalina marksizm-leninizm zajmował w katalogach polskich miejsce teologii.

Śmierć Stalina wprowadziła niewątpliwie pewne zamieszanie. Katalog Państwowego Wydawnictwa Naukowego, drukowany w kwietniu 1953, nie zna już w ogóle działu marksizm-leninizm. Na pierwszym miejscu umieszcza filozofię, w którą włączono nieliczne książki takie jak praca zbiorowa „Zagadnienia materializmu dialektycznego”. Ciekawe, że w katalogu tym nie figurują zupełnie czterej filozofowie, których dzieła w wydanym w roku 1951 w Warszawie katalogu książek naukowych zajmowały siedem pierwszych stron (112 pozycji): Marx, Engels, Lenin, Stalin. Wydane nieco później Biuletyny „Prasy i Książ-



ki" zdradzają jeszcze większą dezorientację. Oto na pierwszym miejscu umieszczono tu niedawnego kopciuszka: literaturę piękną. Po niej naukę o literaturze, językoznawstwo, literaturę dla młodzieży, filozofię, a na ósmym dopiero miejscu nauki ekonomiczne i społeczne. Co dziwniejsze, w dziale filozofia znalazły miejsce dwie książki sowieckie o „marksistowskiej teorii poznania W. Lenina”, ale *Dzieła* samego Lenina (tom 27) zostały relegowane do nauk ekonomicznych. W tymże dziale znalazła się praca Langego o „Ekonomicznych podstawach socjalizmu” Stalina. Dla porównania warto zaznaczyć, że w poprzednim numerze *Biuletynu* (a jest to wydawnictwo miesięczne) same dzieła Stalina zajmowały 11 pozycji, oczywiście na pierwszym miejscu. W następnych *Biuletynach* podział ów, z literaturą na pierwszym miejscu, został utrzymany, czy to siłą bezwładu czy dla zmylenia kapitalistów.

Z innych katalogów polskich zdaje się także wynikać, że marksizm jest ciągle jeszcze chowany skromnie pod korcem, ale być może z innych powodów. I tak kto weźmie do rąk katalog „Domu Książki” w Warszawie, zatytułowany *Technika, przemysł, transport, łączność*, to dojdąwszy do strony 33 katalogu natrafi niespodzianie na tytuł: *Literatura społeczno-polityczna*, która zaczyna się od działu: *O klasykach leninizmu i ich dziełach*, a kończy na dziale: *Walka o pokój* (tu dwa utwory znanego bojownika o pokój Andrzeja Wyszyńskiego, jedna z nich pt. „O pokój i przyjaźń narodów”). *Wszystkie* książki w tym dziale traktujące o klasykach marksizmu-leninizmu są przełożone z rosyjskiego, gdy w dziale *Materializm i nauki społeczne* są jednak autorzy nie-rosyjscy (A. Schaff, J. Kuczyński, jeden Francuz, dwu Chińczyków).

W innym katalogu, a mianowicie we „wstępnym projekcie planu wydawniczego” na rok 1955, na pierwszym miejscu jest literatura społeczno-polityczna, na czwartym — literatura naukowa i popularno-naukowa (jeden poddział przewidziany: *Sport i turystyka*, jedyny tytuł przewidziany: „Otwarcia szachowe”(1)). Na szóstym miejscu mamy literaturę dla dzieci i młodzieży, na siódmym — literaturę piękną. Aby dowiedzieć się, co zawiera grupa druga i trzecia, trzeba by poczekać na sam projekt planu, gdyż we wstępnym projekcie planu widocznie nie wiedzano jeszcze co tam umieścić.

A teraz weźmy do ręki katalog za rok 1954 niemieckiej centrali eksportowej w Lipsku (mieszczącej się przy ulicy Lenina). Dzieli się on na *Geisteswissenschaften* (humanistyka), *Naturwissenschaften* (przyroda, medycyna itd.), *Technik, Belletristik*. Na pierwszym miejscu znajduje się dział *Politika-Historia*, dzięki czemu udało się tam zmieścić dzieła Grotewohla (3 tomy, 1.900 stron) wydane przez Instytut Marxa-Engelsa-Lenina-Sta-

(1) Trudno się temu dziwić, skoro w innym polskim katalogu w dziale *Nauka. Kultura. Oświata* jest nie tylko podręcznik szachowy, ale i dwa podręczniki gimnastyczne (zapewne jako fiz-kultura).

lina oraz dzieło samego Marxa - Engelsa - Lenina - Stalina o historii Niemiec (2 pierwsze tomy 1.300 stron), jak również książkę niejakiego Golikowa „Armia sowiecka w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej”. Książki węgierskiego marksisty Lukacsa znalazły się natomiast znacznie dalej, w dziale *Filozofia*.

Byłoby chyba zbyt śmiało wyciągać z tych skromnych danych wnioski o odwrócenie od stalinizmu. Jak widzimy, prace Stalina i o Stalinie po chwilowej przerwie wychodzą znów wcale obficie i marksizm odzyskał swoje miejsce, choć nie pod własną nazwą, ale mniej lub więcej zamaskowany bądź to wśród nauk społecznych, bądź w historii czy w filozofii. Warto w każdym razie, post factum, zanotować dezorientację, jaka zapanowała po śmierci Stalina i która doprowadziła nawet do tego, że na pierwsze miejsce wysuwano literaturę piękną.

A teraz co się wydaje w Polsce i w innych krajach za żelazną kurtyną? Zarówno w Polsce jak we wschodnich Niemczech uderza wielka ilość wydawnictw technicznych i to bardzo specjalnych. Wiele z nich jest tłumaczonych z rosyjskiego, tak na przykład na około 180 pozycji technicznych w ostatnim katalogu Domu Książki co najmniej 110 jest tłumaczonych z rosyjskiego, sądząc po nazwiskach autorów (2). Co dziwniejsze, to samo dzieje się w Niemczech, gdzie przekłada się z rosyjskiego podręcznik dla robotników obsługujących wysokie piece, książki o obliczaniu norm przy budowie maszyn, a także o zmniejszaniu strat przy fabrykacji drutu. We wschodnich Niemczech przekłada się również z rosyjskiego książkę o melioracji gruntów, podręcznik gimnastyki dla kobiet (3), popularno-naukową książkę biologa sowieckiego Chalifmana *Pszczoty*, książkę o mikroanalizie, nie mówiąc już oczywiście o zbiorowym dziele Miczurina, Nuźdina i Oparina poświęconym zwalczaniu reakcyjnego mendelizmu-morganizmu. Monografia sowieckiego botanika Neporożnego, poświęcona mieczykowi (gladiolus) zachwalana jest w poważnym składniad i dobrze wydanym katalogu niemieckim jak następuje: „daje dobre wyobrażenie o wartości i znaczeniu, jakie przykładają się w Związku Radzieckim do pracy w dziedzinie roślin ozdobnych”.

Z literaturą jest lepiej, ale ogółem na 237 pozycji katalog wschodnio-niemiecki zawiera 47 przekładów z obcych języków. W tym 40 z rosyjskiego (między innymi opowiadania litewskie i łotewskie), dwa z francuskiego (Aragon i Wiktor Hugo), dwa z angielskiego, dwa z chińskiego (wprost) i dwa z polskiego (Orzeszkowej „Die Hexe”; Zabińskiego, którego katalog okre-

(2) A liczyłem tylko nazwiska na pewno nie-polskie, a więc nie brałem pod uwagę takich nazwisk jak Rychter, Korol, Wasilewski czy Peretiatkiewicz, które też mogą być rosyjskie. W rzeczywistości więc cyfra jest na pewno wyższa.

(3) Czyżby istniała jakaś specjalna sowiecka gimnastyka dla kobiet? Bo oto i w katalogu polskim na rok 1954 znajduje się tłumaczony z rosyjskiego podręcznik gimnastyki kobiecej, innych zresztą autorów, a reklamowany jako jeden z najlepszych podręczników na świecie.



śla „z zawodu polski zoolog”, opowieści o zwierzętach). Wśród książek dla dzieci przeważają też tłumaczenia z rosyjskiego. Obok wartościowych, jak *Koniok-Garbunok*, *Bajki ludów Związku Sowieckiego*, Tolstoj, są także *Rady dla Pionierów* i opowieści o dawnym ucisku kapitalistycznym na Uralu. Ale tu też znalazła się jedna z dwu książek angielskich i to wcale nieoczekiwana: „Wyspa skarbów”. Niestety, miałem pod ręką tylko jeden katalog wschodnio-niemiecki z r. 1954 i to eksportowy, toteż nie wątpię, że we wschodnich Niemczech wydaje się i przekłada więcej. W każdym razie warto zauważyć, że w przekładach z krajów tzw. demokracji ludowych reprezentowane są tylko Chiny i Polska. Można dodać, że w dziedzinie językoznawstwa ukazało się kilka podręczników i antologii francuskich, włoskich i hiszpańskich, jak również teksty nowogreckie.

Węgierski katalog eksportowy, który również udało mi się znaleźć w Paryżu (rumuńskiego, czeskiego ani bułgarskiego nie ma na lekarstwo) nie zawiera ani książek technicznych, ani żadnego przekładu z obcych języków. Jasne, że nikt zagranicą nie będzie sprowadzał węgierskich podręczników technicznych ani węgierskich przekładów z Tolstoja lub Gogola. (Katalog niemiecki, o którym wspominaliśmy, jest pewno przeznaczony i dla Niemiec zachodnich, a polski liczy na milionową emigrację na Zachodzie). Ale to sprawa, że dla naszych celów katalog węgierski jest mniej przydatny. Możemy jednak zauważyć, że jest w nim sporo klasyków węgierskich XIX wieku, a także autorów sprzed 1945: poeci Petoeffi, Ady Endre, Arany Janos, parnasista, zwolennik zachodniej orientacji i tłumacz Dantego Babits, Vorosmarty, sławna „Tragedia człowieka” I. Madacha, a nawet nowy przekład „Iliady” (w Polsce mamy nowy przekład „Odyssey” Parandowskiego). Z prozy: K. Mikszath, tenże Babits, chłopski realista Z. Moricz. Ukazały się też studia o tych pisarzach (Ady, Arany, Mikszath). Warto zaznaczyć, że ze współczesnych pisarzy są tylko ci, którzy umarli przed 1944 (także reklamowany obecnie bardzo Atila József). Ani śladu natomiast nie ma z klasyków XVI-XVIII wieku. W każdym razie katalog jest specjalnie zrobiony na wynos i można podejrzewać, że także na Węgrzech klasycy XIX i XX wieku stanowią niewielki procent nakładów, a że i tu nie brak literatury marksistowskiej.

Jak wygląda kwestia tłumaczeń w Polsce? Tu sprawa jest nieco ułatwiona, bo katalog literatury pięknej z roku 1954 podzielony jest sumiennie na literaturę polską, „rosyjską i radziecką” (w niej Ukraińcy Szewczenko i Franko, którzy nie należą ani do jednej, ani do drugiej), literaturę „krajów demokracji ludowej” i wreszcie „literaturę pozostałych krajów”. Oczywiście w katalogu tym góruje ilościowo po polskiej (930 pozycji) literatura „rosyjsko-radziecka” (w tym też Litwa itd.) — 530 pozycji, potem jednak przychodzi Francja — 96, niemiecka republika demokratyczna — 73 (w tym też Goethe, Heine, Tomasz Mann), Czechy-Słowacja (sic!) — 54, Anglia — 30, Węgry — 25, USA, Chiny, Bułgaria — po 17.

Niewątpliwie należałoby się też zastanowić nad treścią przekładanych książek. Z rosyjskiego przekłada się, obok różnych opowieści o kolchozach białoruskich i bohaterskim sportowcu-partyzancie, także Czechowa, Tolstoja, Kuprina, Turgeniewa, Puszkina. Z francuskiego obok Aragona, Stila (redaktor komunistycznej gazety *Humanité*) i Vaillanda, przede wszystkim klasyków i „pisarzy postępowych XIX-XX wieku”. Nie tylko Romain Rolland, A. France, Zola (4), Hugo, ale też Maupassant, Martin du Gard, Flaubert („wybitny realista”), „Wesele Figara” i „Cyrulik sewilski”, Moliere i Musset, a nawet Ramuz. Jest Wolter, ale brak Rousseau. Zresztą katalog jest może niepełny. Wiem skądinąd, że w 1951 wydano Dumasa („Hrabia Monte Christo”), „Trzej Muszkieterowie”) oraz Stendhala „Pustelnię parmeńską”.

Z Anglików są Galsworthy, Dickens, Walter Scott, Stevenson, Thackeray. Ameryka zawdzięcza tak wysoką cyfrę szczęściu książkom Howarda Fasta. Dania (14 pozycji) dziewięciu książkom M. Andersen-Nexo.

Literatura dla dzieci nie jest niestety podzielona według wyżej wspomnianego systemu geografii społecznej. O ile jednak udało mi się zorientować, to na 77 pozycji co najmniej 28 jest sowieckich, jedna duńska (bajki Andersena), jedna angielska (Kingsley „Heroje”), bardzo dobra książka i jeszcze jedna zapewne zachodnio-europejska. Wśród książek dla młodzieży proporcja się zwiększa: 67 sowieckich na 128. Warto jednak tu zanotować kilka książek węgierskich (m. in. „Chłopcy z Placu Broni”), Selmę Lagerloef, rumuńską książkę Sadoveanu (dziś laureat sowiecki, ale w swoim czasie wybitny pisarz), a także Leśmiana „Przygody Sindbada żeglarza”, Korczaka „Król Maciuś”, książki Morcinka, Szelburg-Zarembiny, Or-Ota, Przyborskiego i Bajki Mickiewicza. Był to katalog z marca 1954.

Ciekawe, że we wstępnym projekcie planu” wydawnictwa „Czytelnik” na rok 1955 na 25 pozycji dla dzieci i młodzieży (w tym wybór z „Na Skalnym Podhalu”) jest tylko jedna książka rosyjska. Co innego w literaturze pięknej. Dzieli się ona teraz: na: 1. polską, 2. rosyjską i narodów ZSRR i 3. pozostałą, nazywaną dyskretnie „Literatura przekładowa klasyczna” i „Literatura przekładowa współczesna”, podzieloną jednak na kraje według alfabetu. Tak więc demokracje ludowe odepchnięte są w ciemności zewnętrzne razem z kapitalistami i kolonialistami.

Otóż na rok 1955 zapowiada się z polskiej literatury „klasycznej” (to jest sprzed 1939 roku) wydanie pierwszych 11 tomów z piętnastotomowej serii utworów Zeromskiego i to w nakładzie 50.000 a także 3 tomy Dzienników. Z innych mają się ukazać „Nad Niemnem” i „Cham”, „Pan Tadeusz” i sonety krymskie (nakład 50.000), Potockiego „Rękopis znaleziony w Saragocie”, powieści Kraszewskiego (w tym „Macocho” w na-

(4) Zola, podobnie jak Balzac, ma najwyższe „placet”, przekładany jest bowiem na rosyjski.



kładzie 40.000), Sieroszewskiego „Zamorski diabeł” i „Kulisi” (walka z kolonializmem), wybór poezji Syrokomli, Berenta „Nurt” i „Diogenes w kontuszu”, Borkowskiego „Parafiańszczyzna”, dwie powieści Struga, a wreszcie pamiętnik opisujący Warszawę w roku 1793. Ze współczesnych autorów zapowiadają wspomnienia Słonimskiego, „Notatki z obu brzegów Wisły” P. Hertz, jak również „Pamiętniki” Sławoja Składkowskiego. Wznowienia: Dąbrowskiej „Noce i Dnie”, „Ludzie stamtąd” (ucisk feudalny), Gójawczyńskiej „Dziewczęta z Nowolipek” (Mordcinka „Wyrąbaną chodnik”, Dołęgi-Mostowicza „Kariera Nikodema Dyzmy”, Natkowskiej „Granica”, Uniłowskiego „20 lat życia” (beznadziejność życia pod kapitalizmem). W dziale poezji obok „Pism” Tuwima (pod redakcją Broniewskiego), „Wiersze wybrane” Gałczyńskiego (nakład 30.000), „Wybór wierszy i satyr” Światopelka Karpińskiego (bardzo mały nakład — 3.000), i wreszcie „Wiersze wybrane” W. Sebyły (nakład też 3.000). Można by więc zaryzykować twierdzenie, że da się zauważyć pewien nawrót ku literaturze dwudziestolecia, choć w pierwszym rzędzie drukuje się z niej oczywiście utwory o treści socjalnej.

Z literatury klasycznej rosyjskiej (i „narodów ZSRR”) obiecują nam „Wybór wierszy” Lermontowa w przekładzie Zagórskiego, dzieła zebrane Czechowa (tom drugi i trzeci) i Gogola (tom pierwszy i drugi). A także przedsowieckiego pisarza galicyjskiego Iwana Franki „Wybór utworów” (nakład 10.000). Z sowieckich pisarzy pierwsze miejsce zajmują Erenburg i Szołochow.

W literaturze „przekładowej” klasycznej na pierwszym miejscu stoi ilościowo Francja (8 pozycji): Maupassant, Balzac, Anatol France, Diderot. Potem Anglia: Dickens — 4 książki, Sterne, Defoe „Moll Flanders”. Z niemieckiej Henryk Mann i A. Zweiga „Spór o sierżanta Griszę”, z węgierskiej mają się ukazać trzy przekłady z klasyków XIX wieku, a wreszcie ma się ukazać jedna książka chińska (klasyczna — przekład z angielskiego) i jedna koreańska (współczesna — przekład z rosyjskiego).

W przekładach z literatury współczesnej górują Niemcy (8 pozycji). W dziale literatury amerykańskiej obok Bret-Harte i Dreisera „American Tragedy” jest znów nieśmiertelny Howard Fast („Sacco i Vanzetti”), z literatury duńskiej oczywiście M. Andersen-Nexo, z francuskiej Aragon i Stil.

Ogólnie biorąc polskich pozycji w literaturze pięknej zapowiada projekt 187, rosyjsko-radzieckich 41, demokratyczno-ludowych 27, pozostałych 42 (w tym jednak co najmniej 20 komunistów lub sympatyków). Otóż w katalogu Domu Książki z marca 1954, zawierającym więc zapewne publikacje z lat 1946-1953, przedstawiało się to następująco: Książki polskie — 50%, rosyjskie — 25%, demokracje ludowe — 12%, pozostałe kraje — 12%. Obecnie zaś mamy 60% książek polskich, rosyjskich — 14%, demokracje ludowe — 10%, pozostałe — 16%. Jak dalece można wyciągać wnioski z tych cyfr, trudno powiedzieć. Ani jeden,

ani drugi katalog nie dają prawdopodobnie cyfr absolutnie pewnych, no a w dodatku ów projekt planu wydawniczego nie tylko nie jest planem wydawniczym, ale nie jest nawet projektem, tylko wstępem projektu. Wystarczyłoby więc dodać jeszcze jakie 40 tytułów sowieckich (wydanych na przykład poza planem przez ministerstwo spraw wojskowych), aby proporcja się zmieniła. Jednakże analiza nakładów zdaje się potwierdzać wnioski o zmniejszeniu przemożnego procentu książek sowieckich. Tak więc w dziale literatury pięknej projektuje się wydanie blisko 4 milionów tomów z literatury polskiej, przeszło 700.000 tłumaczeń z rosyjskiego, około 300.000 tomów tłumaczeń z literatury krajów „ludowo-demokratycznych” i wreszcie około 750.000 z pozostałych literatur. Można by to przedstawić za pomocą następującej tabelki:

#### WSTĘPNY PROJEKT PLANU WYDAWNICZEGO NA ROK 1955 (5)

*Ilość tytułów. Procent. Nakład w tys. tomów. Procent.*

Literatura:	Ilość tytułów	Procent	Nakład w tys. tomów	Procent
polska	187	63%	3.900	68,9%
sowiecka	41	14%	715	12,6%
lud.-dem.	27	9%	300	5,3%
pozostałe	42	14%	750	13,2%

Widzimy więc, że cyfry nakładów przechylają jeszcze szalę na korzyść literatury polskiej, a na niekorzyść radzieckiej, a zwłaszcza „demokratyczno-ludowej”. Trudno z tych cyfr wnioskować czy publiczność czyta chętniej literaturę radziecką czy zachodnią, ale można z pewnym prawdopodobieństwem twierdzić, że — podobnie jak to było przed wojną i jak to ma miejsce na Zachodzie — nie żywi w każdym razie zainteresowania dla literatury małych krajów Środkowej Europy: Węgier, Rumunii, Czechosłowacji. Warto zaznaczyć, że i przekłady z literatury włoskiej, duńskiej oraz południowo-amerykańskich wydawane są w bardzo małych nakładach (5 do 10 tysięcy). Literatura zachodnia zawdzięcza tak wysoką cyfrę globalną wielkim nakładom Balzaka, Jacka Londona, Dickensa i francuskich komunistów J. Lafitte oraz A. Stil (wszyscy po 50.000).

Powyższe wnioski zdaje się potwierdzać to, że nakłady klasyków sowieckich po polsku dochodziły przed dwoma laty do 100.000, gdy największy nakład przewidziany na rok 1955 to 50.000 (niejaki Bubiennow), po nim 40.000 (Szolochow), 30.000 (Erenburg i Gogol). Czechow wychodzi w nakładzie 10.000, Lermontow ma mieć zaledwie 3.000 nakładu.

A jak się miała sprawa dotychczas. Ponieważ cyfry katalogu „Domu Książki”, o którym wspominaliśmy przed chwilą, odno-

(5) Wszystkie cyfry są oczywiście przybliżone, gdyż projekt jest tylko wstępny. Całą literaturę niemiecką, współczesną i klasyczną, zaliczyliśmy zgodnie z dotychczasową konwencją, do ludowo-demokratycznej. (Jak wspomnieliśmy powyżej, obecnie dzieli się literaturę piękną na trzy działy: polską, radziecką, i „przekładową”).



szą się do kilku lat, a brakuje w nim być może książek wyczerpanych, a więc najpopularniejszych, skonfrontowaliśmy je wobec tego z katalogiem „Książki i Wiedzy” z roku 1952 (oddanym do druku w kwietniu 1952). Wyniki w dziedzinie literatury pięknej przedstawia poniższa tabelka (6):

Literatura:	„Książka i Wiedza” 1952		„Dom Książki” (1946-54)	
	Tytułów	Procent	Tytułów	Procent
polska	66	50%	930	50%
sowiecka	28	21%	540	25%
dem.-lud.	12	9%	270	12%
pozostałe	26	20%	270	12%

Jeżeli nawet proporcje są bardziej zbliżone do rzeczywistości w katalogu „Książki i Wiedzy”, to wydaje się, że istnieje, czy istniał do 1953, pewien parytet, którego nie wolno było przekroczyć: książki „pozostałych krajów” nie mają przewyższać ilościowo książek sowieckich.

Wspominaliśmy powyżej, że w projekcie na 1955 jest jedna jedyna książka sowiecka dla młodzieży (na 26, ale nie wiem do jakiej literatury mam zaliczyć Wandę Wasilewską). Tu więc jest w każdym razie wyraźna różnica, którą przedstawia tabelka (6):

#### KSIĄŻKI DLA DZIECI

	„Książka i Wiedza” 1952		„Dom Książki” (1946-54)	
	Tytułów	Procent	Tytułów	Procent
polskich	6	33%	37	48%
sowieckich	12	66%	31	40%
innych	—	—	3	4%
niepewnych	—	—	6	8%

#### KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY

	„Książka i Wiedza” 1952		„Dom Książki” (1946-54)	
	Tytułów	Procent	Tytułów	Procent
polskich	16	41%	51	40%
sowieckich	22	56%	67	52%
innych	1	3%	8	6%
niepewnych	—	—	2	2%

Różnice w pierwszej tabelce między cyframi z kwietnia 1952 (a więc za rok 1951-52) a cyframi z marca 1954 (obejmującymi wydawnictwa z lat 1946-53) dadzą się zapewne wytłumaczyć

(6) „Książka i Wiedza” jest wydawnictwem „Dom Książki” księgarnią. Pierwszy katalog zawiera wyłącznie książki wydane przez jedno wydawnictwo w 1951-52, a drugi książki najróżniejszych wydawnictw z lat 1946-53 znajdujące się na składzie czyli niesprzedane do marca 1954. Niepewne, to książki, których autorzy mają nazwiska takie jak Rychter etc. Oczywiście statystyka opierająca się na tak małych cyfrach jak 3 czy 6 nie ma wielkiej wartości. Ważna jest tylko przewaga książek sowieckich.

tym, że przed rokiem 1950 drukowano znacznie więcej książek polskich dla dzieci. W rzeczywistości jednak przewaga książki sowieckiej dla młodzieży jest — czy była do roku 1953 — jeszcze bardziej miażdżąca. Istnieje bowiem na przykład osobny dział, nazywany *Wydawnictwa ZMP*, w którym nawet książki, zatytułowane „Wolne Węgry” czy „Synowie Korei” tłumaczone są z rosyjskiego. Nie trzeba zapominać, że wśród książek dla młodzieży pisanych przez autorów polskich wiele jest takich, jak J. Broszkiewicz „Powrót do Jasnej Polany” (życie radzieckich sierot po drugiej wojnie światowej), Centkiewiczów „Zdobycy bieguna północnego” (dzieje radzieckiej wyprawy polarnej) itp. Trudno się oczywiście zorientować z samych tytułów ile jest takich książek w planie na rok 1955. (Są w każdym razie dwie książki Centkiewiczów, jedna Wasilewskiej.)

Literatura piękna stanowi zresztą dziedzinę, w której specjalnie dużo jest tytułów zachodnio-europejskich. Należy przypuszczać, że w literaturze społeczno-politycznej i technicznej przewaga książek sowieckich jest nie mniejsza, niż w latach poprzednich.

Jeśli można wyciągać bardziej ogólne wnioski z tych materiałów, z natury rzeczy niekompletnych, to będą one następujące: po chwilowej dezorientacji w okresie zaraz po śmierci Stalina, komunizm powrócił na należne mu miejsce, choć ciągle jeszcze w rękawiczkach, to jest pod bardziej strawną nazwą. W wydawnictwach literatury pięknej zdaje się panować większy liberalizm, wyrażający się tym, że zmieniono dawną sztywną formułkę, według której literatura sowiecka ma obejmować 25% całości, a reszta, to jest nie-polska i nie-sowiecka, nie ma prawa tej cyfry przewyższać. Obecnie, to jest w roku 1955, literatura nie-polska i nie-sowiecka sięga 20-25%, sowiecka obejmuje tylko 15% i ma parytet z zachodnią, zresztą tylko dzięki temu, że literatury niemieckiej nie zaliczyliśmy do zachodniej. Dzieje się to kosztem literatur „ludowo-demokratycznych”, którymi gardzą i czytelnicy i władza i które tłumaczy się raczej dla oka (ilość tytułów ta sama co poprzednio, około 10%, ilość nakładów 5%). Korzysta na tym głównie literatura polska, zwłaszcza współczesna (66%), co oznacza w praktyce jeszcze większy prowincjonalizm. Nie ma więc się z czego cieszyć. Najciekawszym może wnioskiem jest to, że istniał i istnieje wyraźny klucz-rozdzielnik, czysto mechaniczny, według którego wydawano przekłady i ograniczano ilość tłumaczeń nie-sowieckich. Rozdzielnik ten, jak się wydaje, jest nieco bardziej liberalny w roku 1955, ale zastrzegaliśmy się już, że nasze cyfry są bardzo względne. W każdym razie zmniejszenie przewagi rosyjskiej wśród książek dla dzieci i młodzieży wydaje się pewne. Jak dalece należy to przypisać wykształceniu pisarzy „socjalistycznych” własnego chowu, trudno powiedzieć. A czy mamy do czynienia z ewolucją trwałą, czy też z chwilową zmianą taktyki, będzie można osądzić najprędzej za rok.



## Z krajowej prasy literackiej

„To nie maskarada... chociaż wszyscy są w maskach”

W marcowej „Twórczości” — „Fragmety z Dziennika” powieściopisarki Anny Kowalskiej dają dość rewelacyjny obraz atmosfery krajowej „elity literackiej”. Proporcja ingredientów — jak zwykle w dziennikach pisarzy: trochę erudycji trochę melancholii dnia codziennego, trochę złośliwości wobec różnych X. M. i N. których wtajemniczeni mogliby łatwo zidentyfikować. Ale przy tym świadomość „double-thinku”, autosugestii „dobrej wiary” i „dobrej woli” wobec „nowej rzeczywistości” — którą należy przyjąć zachowując subtelną fikcję indywidualnego sądu. Oto kilka wyjątków:

1950

10. XII. — „Wczoraj na kolacji N. powiedział o sobie: ‘Nie mam ambicji być konsekwentnym. Dość że robię rzeczy postępowe, jeszcze mam w nie wierzyć?’ M. powiedział o nim że jest jak ksiądz-ateusz”.

22. XII. — „Wczoraj w Monopolu zebranie towarzyskie literatów... smutniejsze od stypy. Rozmowa zdechła... Wszyscy skępowani... Ach, jak smutno tu”.

30. XII. — „Wieczorem u I. Nastrój burżuazyjny i jaki! Mimo deklamacji mamy: musi się uwierzyć w komunizm”.

1951

27. III. — „S. zatelefonował do J. „Czytelnik” nie wpisze do planu ‘Listów’ Cyncerona. Zbyt elitarne. Doradza może Pliniusza. Ech...”

3. IV. — „Czułam się i czuję wśród moich domowników jak rząd który nie uzyskuje wotum zaufania”. (Jak trudno pozbyć się nieaktualnych obrazów...)

7. IV. — „Wieczorem J. Z literatury dwudziestolecia wybiera jedno Gombrowicza”.

15. IV. — „W Klecinie... rozmawiałam z nauczycielką. Jasne, proenne stworzenie. Wychowawca ideowy, nowy czysty człowiek, prawdziwy, szczerzy... Ale opisz to, któż uwierzy?!... Komunizm jest tu, na prowincji, nie wśród pijackich cwaniaków i kawiarnianych wielmożów”.

16. IV. — „Jakież inne maniere od czasu „Czytelnika”. K. był królem elegancji. Wczoraj u fryzjera... Wieczorem u M. był F., od razu powiało nudą. X. w niemożliwie seledynowej sukni z gigantyczną broszką za trzy grosze...”

18. IV. — Z pobytu w Warszawie najprzyjemniejsze wspomnienie to bytność na „Grzechu”. Świetnie wyreżyserowane, grane, taktowne uzupełnienie przez Kruczkowskiego. Najlepsza agitka w wielkim stylu...”

7. IX. — „Długa rozmowa z Z... jest dwoisty. Nie mogę uwierzyć by takim był naprawdę, jakim chce się wydawać, ani też by naprawdę tak myślał jak myśli. Przypuszczam że z nim jest jak z K., a mianowicie że stara się myśleć jak mówi, wedle tego co głosi. Narzuca sobie tok myślenia z własnych, a tak licznych przemówień, aby czuć się w porządku. Jest zbyt ambitny, a raczej zbyt szanujący się, by mówić co innego niż myśli, stara się więc myśleć tak jak mówi...”

1. IX. — „Miałam trzy wieczory o literaturze radzieckiej. Najlepiej był przygotowany odczyt i dyskusja w ośrodku szkolenia kadr ZSCH. w Katedrach wrocławskich. Dom pięknie odnowiony, świetlica. Kłozety potworne. Nie przestęp prog... W Oleśnicy... było 50 chłopaków, a jest ich tysiąc... trzeci odczyt w liceum dla przedszkolank. Smród, bród, tępota...”

1952

9. III. — „Nadszedł K. Opowiadał o szympansach i węzłach, co bawiło Tulcię. Utrzymuje go żona. On sprząta, gotuje. Ciekawy człowiek. Pozbawiony słuchu historycznego...”

29. V. — „S. to temat do powieści. Bohaterka pozytywna bez makiżaju... To co opowiada o fabryce, przypomina raczej intrygi dworskie niż życie robotników z powieści socrealistycznej”.

29. V. — „Wczoraj u Heleny... Wiele o szczerości i odwadze. Ale to jeszcze nie tak. Ustaliły się pewne konwencje, w milczeniu przez wszystkich przyjęte. Nie chodzi tu o odwagę bohaterską, ani tzw. cywilną, ale niejako westymentarną. Najodważniejszy człowiek nie przyjdzie na wieczorne przyjęcie oficjalne w płóciennym ubraniu. Nawet dziwak ubiera się przytomnie, czyli jak inni. To nie maskarada. Chociaż wszyscy są w maskach”.

(i)

## Nadesłane nowości wydawnicze

ZENKOVSKY (B.). *Histoire de la philosophie russe*. Tome II. Pp. 512. (Ed. Gallimard, Paris, 1955. Frs 1.100).

STANKIEWICZ (J. dr). *Etnograficynja i historycynja terytoriji i hranicy Belarusi*. Str. 24 (z mapą). (Wyd. New York, 1953).

DONCOV (D.). *Pochid Karlja XII na Ukrainu*. Str. 40. (Wyd. Londyn, 1955).

JANOVSKÝJ (Jurij). *Majster Korablja*. Roman. Str. 240. (NTSz., New York, 1954).

SZUMELDA (J.). *Wid Marksa do Malenkowa*. Str. 220. (Paryż 1955).

STANKIEWICZ (J.). *Dolja mojej belaruskaje*. (Iaje vonkasnjaja historija). Str. 19. (Odbitka z „Vedv”. New York, 1954).

BOROVSKÝJ (M.). *Ukrajinske misceve i osobove nazovnyctvo v internacionalnij botanicnij terminologiji*. Str. 64. (Wyd. UVAN, Winnipeg, 1955).

PIDMOHYLNYJ (Valerijan). *Misto*. Roman. Str. 300. (Wyd. UVAN, New York, 1954).

BENDER (Vitalij). *Marsz molodo-*

sty. Tom I. str. 163. Tom II str. 166. (Wyd. Dniprowa Chwyla, Monachium, 1954).

REVUCKYJ (V.) *Pjať velykych aktoriv ukrajinskoji sceny* Str. 94. (Wyd. Paryż, 1955).

KWIETKA (Vitan). *Lavon Vitan-Dubiejkauski*. Da 85 uhodkau naradzeńnia. Str. 40. (Wyd. Instytut Najnowszej Historii Białorusi im. Franciszka Skaryny, New York, 1954).

STANKIEWICZ (J.). *Mova rukapisu „Al Kitab”*. Cz. I.: Foneytyka. Str. 88. (Wyd. Instytut Najnowszej Historii Białorusi im. Fr. Skaryny New York, 1954).

MAŁANIUK (Jewhen). *Poezji*. Str. 308. (Nakładem T-wa Naukowego im. Szewczenki w USA, New York, 1954. Cena dol. 2,50).

BOCHENSKI (I. M.). *Die Zeitgenossischen Denkmethode*. Str. 151. (Wyd. Francke Verlag, Bern, 1954).

JASIEŃCZYK (Janusz). *Słowo o bitwie*. Tryptyk powieściowy. Str. 267. (Nakładem czytelników, Londyn, 1955).



## Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze !

W numerze 1/87-2/88 „Kultury” za styczeń-luty 1955, na stronie 206 w recenzji p. Gliksona z ostatniego tomu wydawnictwa p. Turkowa znajduję kilka nieścisłych informacji o mojej rodzinie. Proszę o łaskawe ich sprostowanie.

Założycielem rodziny Toeplitzów był Juda Leib Toeplitz, który osiedlił się w Lesznie w ostatnich latach panowania Augusta III, lub w pierwszych Stanisława Augusta. Miał on dwóch synów: Mozesa i Samuela i dwie córki.

Po drugim rozbiorze przenosi się wraz z Samuelem do Warszawy, gdzie młodszy syn umiera pod koniec XVIII wieku. Juda wraca wówczas do Leszna, gdzie przeżywa starszego syna (zm. w 1802 roku) i umiera 1. VIII. 1806 roku. Na grobie jego w Lesznie widziałem przed 1939 r. kawał kamienia młyńskiego z hebrajskim napisem: „Tu leży człowiek uczciwy”. Żona jego, Hindele, zmarła w 1828 r. Daty urodzenia Judy, ani jego przybycia do Polski ustalić nie mogłem.

Mozes miał 5 dzieci. Wśród jego potomków było kilku matematyków, adwokatów, lekarzy. Wszyscy ziemczeni.

Samuel i jego żona Gewendel mieli 4 synów: Teodor, zm. 1832 r. Żonaty z Franciszką z Oesterreicherów — p. niżej. — Leopold — marymontczyk — zm. w 1867, czy 1868 r. Żonaty z Karoliną z Rosenów, siostrą Mathiasa p. n. — Dr. Max., ordynator szpitala Św. Ducha przy ul. Elektoralnej, kawaler orderu Virtuti Militari, zm. na tyfus, czy na cholera w 1831 roku, nie żonaty. — Zygmunt, żonaty z p. Wrochau, zamieszkały w Kaliszu, potomstwo jego wymarło.

Liczne natomiast potomstwo mieli Teodor i Leopold, obydwaj moi pradziadkowie.

Teodor prowadził dom spedycyjno-ajenturowy przy ulicy Danielewiczowskiej i był przeważnie w kłopotach finansowych, z których wybawiała go babka jego żony Judyta Jakubowicz. We wszystkich dokumentach, jakie ja widziałem figuruje jako „Teodor”, nie mógł to więc być ów legendarny „Tewele”, o którym pisze p. Turkow, a o którym nikt z Toeplitzów nie słyszał. Z synów jego: Ludwik wywędrował do Ameryki. Henryk, po śmierci matki prowadził dalej firmę, jako „Franciska Toeplitz Successores” do bankructwa po wielkim kryzysie cukrowym, Benedykt przeniósł się do Gdańska, najmłodszy zaś, Bonawentura, mój dziadek, też marymontczyk, pracował, jako technik w różnych cukrowniach.

Leopold miał licznych synów, z nich trzech marymontczyków: Szymon, Ludwik i Mieczysław. Widocznie pięciu Toeplitzów, którzy studiowali w Marymoncie złożyło się u p. Turkowa w jedną osobę. Szymon mieszkał w Kutnie i był pierwszym w rodzinie cukrownikiem.

Asymilatorami byli wszyscy. Kierunek ten nadała rodzinie wspomniana Judyta Jakubowicz. Teodor był ochotnikiem w żydowskim batalionie obrońców Warszawy w 1831 r. i żona jego raz w mundurze męża stała dwie godziny na warcie. Córka Leopolda, Augusta (późniejsza Samuelowa Bergsohn) była w 1863 r. kurierką Rządu Narodowego. Jej szwagier, Aleksander Bein, był zesłany do Wologdy, etc.

Incydent z Kazimierzem Leonem Toeplitzem podany jest prawie ściśle. Kazimierz został skazany (o ile pamięć mnie nie myli) na 10 lat więzienia. Przesiedział dwa, czy trzy, a reszta kary, po pożyczce „tytoniowej” została mu zamieniona na wygnanie z kraju. Przebył około 5-ciu lat zagranicą, a do Polski wrócił po którejś z amnestii. Było to więc zwolnienie z więzienia, ale nie tak proste, jakby wyglądało z recenzji z wydawnictwa p. Turkowa.

Jeszcze jedno sprostowanie: wuj mój, Józef Toeplitz z Mediolanu, nigdy poplecznikiem faszyzmu nie był. Przeciwnie, jego bierna rezystencja i antyfaszystowska postawa doprowadziły go do konieczności opuszczenia kierowniczego stanowiska w Banca Commerciale Italiana i do zrzeczenia się wielu stanowisk w przemyśle włoskim. Pisma jego żony, Jadwigi z Mrozowskich, były w ostatnich latach faszyzmu zakazane we Włoszech.

Dziękując z góry za umieszczenie tego sprostowania, przesyłam kopię dla p. Turkowa. Jemu też, czy innym zainteresowanym służę moimi wspomnieniami, zanim pamięć zacznie mnie zawodzić.

Łączę wyrazy wysokiego poważania.

Stefan MEYER  
Sao Paulo.

Szanowny Panie Redaktorze,

Ostatnia „Kultura” Nr 3/89, 1955 w dziale „Dokumenty chwili” pod tytułem „Skarb Narodowy w New Jersey”, podała rzekomy przebieg Walnego Zebrania Komitetu Skarbu Narodowego na stan New Jersey, odbytego w niedzielę dnia 9 stycznia 1955 roku.

Autor artykułu nie upoważniony przez Zarząd do tego rodzaju enuncjacji, wyraża poglądy „własne”, zwłaszcza w omawianiu sporów konstytucyjnych i naświetlań działalności Skarbu Narodowego. Stwierdzam, iż na Wolnym Zebraniu całkowicie pominięliśmy wszelkie dyskusje na tematy sporne, że było to zebranie — może jedyne w swoim rodzaju — na którym dosłownie nikt nie poruszał kwestii drażliwych, a tak uwypuklone i w krzywym zwierciadle przedstawione zatroszczenie się o „Oświatę i Wyższe Uczelnie” było poruszane, jako wniosek, podpisany między innymi przeze mnie. Przeszedł on jednogłośnie bez żadnej dyskusji czy dyskryminacji pod adresem Głównej Komisji Skarbu Narodowego.

Ażeby być jak najbardziej obiektywnym i dać właściwy obraz toczących się obrad, przytaczam w dosłownym brzmieniu wyciągi z protokołu Walnego Zebrania, zatwierdzonego na plenarnym zebraniu Komitetu, odbytym w Newark, N.J. w dniu 4 marca br.:

Sprawozdanie prezesa Ks. Msgr. F. P. Kowalczyka: „...Wobec istniejącego rozdzicia na skutek nie dojścia do zjednoczenia wszystkich Polaków, które przeprowadzał gen. broni K. Sosnkowski, tak Komitet, jak poszczególne Kola nie przejawiały swojej działalności. Wielu członków Skarbu Narodowego nie opłaciło składek. Wielu zniechęciło się do dalszej pracy. Niezależnie jednak od pokłóconych stron — nie wdając się w spory konstytucyjne — Komitet Skarbu Narodowego w stanie New Jersey postanowił pracować dalej. Sprawa Polski i uciemiężonego Narodu jest naszą sprawą wspól-



na. Dla niej będziemy pracowali. Zebrane fundusze będą przekazywane nie dla skłóconych stron, lecz na placówki dyplomatyczne, pomoc inwalidom, cele charytatywne i kulturalne.

....Ostatnie sprawozdanie z działalności składał Ks. W.A. Rojek, naświetlając ogólne prace zarządu Komitetu, a szczególnie trudności, które wpłynęły na skutek niezgody stronnictw politycznych i nie dojścia do zgody w Londynie i nie podpisania Aktu Zjednoczenia przez p. Zaleskiego...

....Stosunek Skarbu Narodowego na stan New Jersey do zaistniałych sporów jest neutralny. Skarb Narodowy nie miesza się do polityki, a ma na celu tylko sprawę Polski. Niezгода polityczna, która zaostrzyła się w ciągu 1954 roku na skutek niepodpisania Aktu Zjednoczenia, zahamowała bardzo prace w terenie, odebrała ducha do działania wśród społeczeństwa, pokrzyżowała plany pracy i zniechęciła wielu ludzi do idei Skarbu Narodowego. Mimo tych trudności nie należy załamywać się. Ideą Skarbu Narodowego jest dobro umęczonej Polski i z tą ideą mamy iść do społeczeństwa polskiego i do naszych przyjaciół. Bez względu na niezgodę polityczną mamy obowiązek utrzymania placówek dyplomatycznych i opiekowania się sierotami i dziećmi polskimi...

....Wolne wnioski: P. inż. Z. Łukaczyński zgłosił następujący wniosek: „Zgromadzeni na dorocznym walnym zebraniu Komitetu Skarbu Narodowego na stan New Jersey w dniu 9 stycznia 1955 roku, delegatki i delegaci zwracają się do polskich czynników kierowniczych w Londynie z żądaniem, by w dysponowaniu funduszami Skarbu Narodowego nie pomijać — jak się do tej pory dzieje — polskiej oświaty i kultury na obczyźnie, a w szczególności szkolnictwa wyższego, średniego i podstawowego, oraz Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie”.

Pod wnioskiem p. inż. Łukaczyńskiego znajdowało się szereg podpisów.

....Ks. W.A. Rojek i p. Klemp zgłosili następujący wniosek: „Komitet Skarbu Narodowego na stan New Jersey na swym dorocznym zebraniu w Newark N.J., odbytym w dniu 9 stycznia 1955 r., uznając, że dobro sprawy polskiej jest naczelną zasadą wszystkich Polaków na obczyźnie — rzucił Hasło: „Przez Skarb Narodowy do Zjednoczenia Narodowego”.

Obydwa wnioski poparte i poddane pod głosowanie przeszły jednomyślnie”.

Oto właściwy „obraz” odbytego Walnego Zebrania.

Ks. Wojciech Artur ROJEK,  
Sekretarz Generalny.



2 HOGARTH ROAD,  
LONDON S. W. 5,  
ENGLAND

## POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog

100 POPULARNYCH PACZEK

oraz Wykaz Przepisów Celnych —  
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze  
wszystkich części świata.

# HASKOBA LTD.

## RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Jozef LOBODOWSKI nous donne — sous forme de polémique avec quelques articles parus dans « Kultura » — un essai sur la poésie polonaise d'entre les deux guerres.

Jan BRZEKOWSKI pose la question de « synchronisation » entre histoire et littérature.

Andrzej BOBKOWSKI travaille comme modéliste de réduction en Guatémala. Il déteste l'Europe, les intellectuels, le communisme et Toynbee. Il nous dit tout cela dans son journal avec beaucoup de verve. Zofia ROMANOWICZOWA évoque la respectabilité bureaucratique d'une session d'anciens prisonniers de camps de concentration. Et les anciens souvenirs l'envahissent...

« Kultura » présente des poèmes du jeune poète polonais Bogdan CZAYKOWSKI.

Juliusz MIEROSZEWSKI pose la question de la neutralisation de l'Europe. A son avis l'U.R.S.S. serait peut-être disposée à payer le prix d'une neutralisation de l'Allemagne par l'évacuation et la neutralisation des pays « satellites » de l'Europe orientale. Pour l'U.R.S.S., comme pour les Etats-Unis, c'est l'Asie et non pas l'Europe qui est, dans ce moment, le centre de leurs intérêts. C'est ce que pourrait rendre possible une neutralisation de l'Europe.

Stanislaw ZARZEWSKI étudie les développements récents de l'économie soviétique.

Dans la section de « La plus récente histoire de Pologne », Kazimierz SKARZYNSKI évoque la visite qu'il effectua à Katyn, en avril 1943, en sa qualité de secrétaire général de la Croix-Rouge polonaise.

Des chroniques culturelles et littéraires complètent le présent numéro, ainsi que la suite du nouveau roman de Czeslaw MILOSZ.

## ENGLISH SYNOPSIS

Jozef LOBODOWSKI gives us, in polemical form, an essay on Polish poetry between the wars.

Jan BRZEKOWSKI endeavours to state the terms of « synchronisation » between history and literature.

Andrzej BOBKOWSKI works as a plane modelist in Guatemala. He hates Europe, intellectuals, communism, Toynbee. He tells us all this in his very lively diary.

Zofia ROMANOWICZOWA tells of a respectably bureaucratic meeting of former prisoners of concentration camps. And old memories surge up...

Is neutralised Europe a possibility? asks Juliusz MIEROSZEWSKI. He thinks the U.S.S.R. might be willing to pay a price for a neutralised Germany by evacuating and neutralising « satellite » countries of Eastern Europe. For U.S.S.R., as for U.S.A., Asia, and not Europe is, at present the central point of interest.

Stanislaw ZARZEWSKI studies recent developments of Soviet economy.

In the section of « Recent Polish History », Kazimierz SKARZYNSKI speaks of his visit to Katyn, in April 1943, in his character of secretary general of the Polish Red Cross.

Cultural and literary sections and a new instalment of Czeslaw MILOSZ last novel complete the issue.



## Wybory do skarbu narodowego w Kanadzie

Komisja Skarbu Narodowego na Kanadę ustaliła terminarz czynności wyborczych związanych z odnowieniem połowy swojego składu w drodze dorocznych wyborów korespondencyjnych, do których zostaną powołani wszyscy dawni płatnicy Skarbu Narodowego, którzy otrzymali wkładki na rok 1955, a spośród płatników nowych — ci, którzy opłacili swoją daninę conajmniej od dnia 1-go stycznia br.

Zgłoszone zostały następujące kandydatury: Józef Bauman (Edmonton, Alta), Józef Dutkiewicz (Kitchener, Ont.), Adolf Ferber (Toronto, Ont.), Leon Kolbuszewski (Hamilton, Ont.), Tadeusz Koyer (Samia, Ont.), Anastazja Kozłowska (Hamilton, Ont.), Wojciech Adam Krajewski (Toronto, Ont.), ks. Edwin Malak (Edmonton, Alta), Adam J. Misiak (Toronto, Ont.), Jan Ostrowski (Huntsville, Ont.), Tadeusz Romer (Montreal, Que.), Alfred Sas-Korczyński (Montreal, Que.), Wiktor Szyryński (Ottawa, Ont.), Tadeusz Świdorski (Toronto, Ont.), Artur Tamowski (Montreal, Que.), Adam Żurawski (Ottawa, Ont.).

Wszyscy wyborcy do dnia 30 kwietnia otrzymają zestaw potrzebnych druków wyborczych (instrukcja, ostemplowany arkusz wyborczy i specjalna koperta). W razie jakichkolwiek pomyłek czy niedopatrzeń reklamować należy w najbliższej placówce terenowej Skarbu Narodowego. Właściwe głosowanie trwać będzie od 1 do 21 maja. Otwarcie kopert przez Komisję Skrutacyjną, której przewodniczyć będzie przewodniczący Komisji Rewizyjnej Skarbu Narodowego na Kanadę, gen. A. Szylling, odbędzie się w niedzielę, dnia 22 maja br. Prace Komisji Skrutacyjnej będą całkowicie jawne — godzina i miejsce jej urzędowania będą ogłoszone dodatkowo.

W ciągu pierwszych trzech miesięcy r. 1955 wpływy Skarbu Narodowego w Kanadzie wyniosły ogółem \$1.642.57. Z sumy tej wydatkowano: na potrzeby Związku Harcerstwa Polskiego w Kanadzie \$300.00 oraz na Polski Instytut Naukowy w Ameryce, Oddział w Kanadzie, \$150.00.

Adres Komisji Skarbu Narodowego na Kanadę: 1774 Cedar Ave. Montreal 25, P. Q.

Korespondent londyński „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,  
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon CH1swick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,  
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4<sup>e</sup>)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.  
Dépôt légal: 2<sup>e</sup> Trimestre 1955.

## PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
<b>AFRYKA POŁUDNIOWA:</b> Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg .....	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
<b>ARGENTYNA:</b> Tadeusz Dąbrowski, „Liberia Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires .....	10 peso	60 peso	120 peso
<b>AUSTRALIA:</b> „Vistula” (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney .....	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
<b>BELGIA I KONGO BELG.:</b> Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vanderkindere, Bruxelles-Uccle. Nr konta pocztowego 7315-20 .....	30 frb.	145 frb.	260 frb.
<b>BRAZYLIA:</b> Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Hanna Lekszycka, rua Guará 139, vila Pompeia, Sao Paulo .....	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
<b>BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda),</b> Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya .....	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
<b>FRANCJA:</b> „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4 <sup>e</sup> ) .....	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
<b>HOLANDIA:</b> J. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z., Tel.: 716080 .....	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
<b>KANADA:</b> K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; Janique Trading Co., 835 Queen St. W. Toronto 3, Ont.; St. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; H. R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybata, 1039 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec”, 700 Queen St. W. Toronto/Ont. ....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>MEKSYK:</b> Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin. ....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>NIEMCY:</b> „Ostatnie Wiadomości”, Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 13, Gablonzerstr. 7/I .....	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
<b>NORWEGIA:</b> Br. Lubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
<b>SZWAJCARIA:</b> Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92 .....	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
<b>SZWECJA:</b> Red. Norbert Żaba, Kallskärgatan 3/IV, Stockholm .....		15 kor.	28 kor.
<b>U.S.A.:</b> Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, „Gryf Publ.”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; L. Duda-rew Ossetyński, 1818 N. Sierra Bonita Av., Hollywood 46, Calif.; S. Dziarczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 27, Aberdeen Ave, Cambridge, Mass.; T. Konopacki, 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; A. Pleszczyński. 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. ....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>W. BRYTANIA:</b> „Gryf” Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London. S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
<b>WŁOCHY:</b> Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632. ....	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)  
Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka + 50%)



*Wydawnictwa Biblioteki  
"Kultury"*

*Nowa książka*

**CZESŁAWA MIŁOSZA**

**ZDOBYCIE WŁADZY**

(PRIX EUROPEEN 1953)

Książka liczy 160 stron. Cena egzemplarza: frs 650 (13 sh., 2 dol.).

◆  
*Nakład książki*

**STEFANA KORBOŃSKIEGO**

**W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ...**

*jest na wyczerpaniu*

Pozostałe egzemplarze można jeszcze nabywać w administracji „Kultury” i w przedstawicielstwach.  
Cena egzemplarza : 1.250 fr. (25 sh., dol. 3,50).

◆  
**JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO**

**ZŁOTA HRAMOTA**

*to poetycka próba rozrachunku polsko-ukraińskiego zarówno w płaszczyźnie historiozoficznej jak moralnej.*

Cena egz. 700 fr. (14 sh., 2 dol.).

◆  
**DOLINA ISSY**

Po zakończeniu druku w odcinku „Kultury” ukaże się w wydaniu książkowym, w ograniczonym nakładzie.

Zamówienia i przedpłaty (700 frs, 14 sh., 2 dol.) można już zgłaszać do Administracji „Kultury” i do przedstawicieli.